

ALFRED HITCHCOCK

**TAJEMNICA
KASZLĄCEGO SMOKA**

PRZYGODY TRZECH DETEKTYWÓW

(Przełożył: JAN JACKOWICZ)

Wstęp Alfreda Hitchcocka

Jeżeli nigdy dotąd nie spotkaliście Trzech Detektywów, ta książka daje wam szansę zapoznania się z ich wyczynami.

Trzej Detektywi tworzą prywatną firmę wywiadowczą, która ma już godny uwagi dorobek w rozwiązywaniu tajemniczych zagadek.

Jej szefem jest Jupiter Jones, prawdziwy mistrz dedukcyjnego myślenia. Najsprawniejszy fizycznie z całej trójki jest Pete Crenshaw. Do obowiązków Boba Andrewsa należy prowadzenie dokumentacji i analiz. Wszyscy trzej doskonale się rozumieją i tworzą dynamiczny, zgrany zespół.

Miejscem zamieszkania chłopców jest małe miasteczko Rocky Beach, położone w Kalifornii, niedaleko Hollywoodu, tuż nad brzegiem Oceanu Spokojnego. Za Kwaterę Główną służy im przerobiona przyczepa kempingowa, stojąca w składzie złomu Jonesów, który jest własnością wuja i ciotki Jupitera. W przyczepie znajduje się małe biuro, laboratorium i ciemnia fotograficzna, a także mnóstwo różnych urządzeń, wykonanych przez samych chłopców ze złomu, znalezione na terenie składowiska. Do Kwatery Głównnej można się dostać tajemnym przejściem, które jest zbyt wąskie i trudne do przebycia dla dorosłych.

To tyle wstępnych informacji. Czas na prawdziwą zabawę, której życzy wam szczerze

Alfred Hitchcock

Rozdział 1

Zagadki pod psem

- Zastanawiam się - powiedział któregoś ranka Jupiter Jones - czy udałoby się nam dokonać największego napadu, jaki kiedykolwiek miał miejsce w tej okolicy?

Pytanie zaskoczyło jego dwóch przyjaciół. Bob Andrews upuścił na podłogę plik małych karteczek, które wkładał właśnie pod starą prasę drukarską. Zajęty naprawianiem zepsutego radia Pete Crenshaw podskoczył tak, że śrubokręt wyśliznął mu się z nacięcia na śrubie i zatoczył jakiś zygzakowaty, wariacki łuk.

- Coś ty powiedział? - zapytał Pete, starając się wygładzić postrzępioną ryś, pozostawioną przez ostrze śrubokrętu na tylnej płycie drewnianej obudowy radia.

- Powiedziałem, że zastanawiam się, czy udałoby się nam zrobić największy napad, jaki kiedykolwiek wydarzył się w tych stronach - powtórzył Jupiter. - To znaczy, gdybyśmy byli wyspecjalizowanymi przestępcami.

- Jak już się nad tym zastanawiasz - powiedział Pete - to spróbuj też wyobrazić sobie, co by się z nami stało, gdyby nas złapali. Słyszałem gdzieś, że ten proceder nie popłaca.

Bob Andrews pozbierał rozrzucone kartki.

- Nie wydaje mi się, abyśmy mieli szansę opanowania tego fachu. Co do mnie, to nie jestem w stanie opanować nawet sztuki podkładania kartek pod tę prasę.

- To tylko taka sobie myśl - powiedział Jupiter. - Ostatecznie jesteśmy przecież detektywami. Przyszło mi do głowy, że gdyby się nam udało wyobrazić sobie dobrze obmyślane przestępstwo, mielibyśmy o wiele łatwiejsze zadanie przy jego wykrywaniu. Trzeba by było odwrócić tylko sposób myślenia i wczuć się w psychikę przestępcy, wyspecjalizowanego w tym rzemiośle.

Pete kiwnął potakująco głową.

- To doskonały pomysł. Ale wiesz, Jupe, najpierw muszę odwrócić sposób myślenia ostatniego właściciela tego odbiornika. Próbował widocznie sam go naprawić i pomieszał ze sobą wszystkie przewody. Dopiero jak to zrobię, będę gotów wziąć udział w twoich wyspecjalizowanych machinacjach.

Cała trójka, nazywająca siebie Trzema Detektywami, znajdowała się w warsztacie Jupitera, położonym w kącie składnicy złomu jego wuja Tytusa. Tu, pod daszkiem przylegającym do wysokiego ogrodzenia składu, chłopcy zajmowali się w odosobnieniu naprawą różnych starych gratów, kupowanych przez Tytusa Jonesa. Część zarobionych w ten sposób pieniędzy przeznaczali na drobne wydatki, resztę - na takie luksusy, jak na przykład telefon w ich dobrze zamaskowanej Kwaterze Głównej.

Pete wkręcił ostatnią śrubę i z dumną miną wręczył Jupiterowi do przejrzania naprawione radio.

- Ta robota powinna kosztować twojego wuja co najmniej trzy dolary - powiedział. - Teraz może je dobrze sprzedać. Kiedy się tu znalazło, było zwykłą kupą szmelcu.

Jupiter uśmiechnął się.

- Wuj Tytus nie jest taki chętny do wyrzucania pieniędzy w błoto. Może byś je lepiej włączył, żeby się przekonać, czy rzeczywiście działa. Pete wzruszył ramionami i przekręcił małą gałkę.

- Jasne, że działa. Posłuchaj.

Dał się słyszeć szum i po kilku drobnych trzaskach radio ożyło. Z głośnika popłynął głos spikera, najwyraźniej kończącego lokalny serwis informacyjny.

- Władze zaniepokojone są tajemniczymi przypadkami, jakie powtarzają się w miasteczku Seaside. W ciągu ostatniego tygodnia zaginęło tam pięć psów. Właściciele zaintrygowani są zniknięciem swych ulubieńców... A teraz wiadomości ze świata, które rozpoczynamy doniesieniem z...

- Pete, wyłącz to - rzucił Jupiter.

Pete przekręcił gałkę wyłącznika.

- No i co? Pięć zaginionych psiaków. Najwyraźniej szaleje tam jakiś obłąkany miłośnik tych zwierząt.

- Zdaje mi się, że trafiliśmy na mistrza złodziejskiego procederu - odezwał się Bob, szczerząc zęby. - Ma zamiar wykraść wszystkie psy, jakie tylko wpadną mu w ręce, i opanować rynek. A potem, kiedy ludzie zaakceptują jego cennik, zrobi wyprzedaż i zbije na tym majątek.

Jupiter zaczął miętosić dwoma palcami dolną wargę - znak, że jego umysłowa maszyna działa właśnie na wysokich obrotach.

- Dziwne - powiedział w końcu.

- Co w tym dziwnego? - zapytał Bob. - Może liczba skradzionych psów? Że nie do pary?

Jupiter zmarszczył brwi i pokręcił głową.

- Nie, chodzi mi o to, że wszystkie psy zagięły w jednym tygodniu. Kiedy giną domowe zwierzęta, zdarza się to zwykle w nierównych odstępach czasu, a nie tak od razu, w przeciągu paru dni.

- No więc, musi być tak, jak powiedziałem - odparł Bob. - Jakiś doświadczony kryminalista postanowił zdobyć kontrolę nad całym psim rynkiem. Może chce wywołać obniżkę ceny mięsa na hamburgery, a przy okazji zarobić trochę na sprzedaży kradzionych psów.

Jupiter odpowiedział mu bladym uśmiechem.

- Bardzo możliwe. Ale brakuje tu odpowiedzi na moje pytanie. Dlaczego aż pięć psów w ciągu jednego tygodnia? No i druga zagadka: Dlaczego nikt nie zwrócił się do nas, żebyśmy wyjaśnili te tajemnicze zaginięcia?

- Bo może wcale nie są takie tajemnicze - powiedział Pete. - Czasami psy oddalają się od domu i wracają dopiero po jakimś czasie. Przypuszczam, że i w tym wypadku może chodzić o coś takiego.

- Zgadzam się z Pete'em - przytaknął Bob. - W dzienniku nie było mowy o tym, że to są jakieś cenne psy, tylko o tym, że zaginęło pięć sztuk.

Powoli i z ociąganiem Jupiter skinął głową.

- Być może obaj macie rację. Niewykluczone, że chodzi tu o zwykły zbieg okoliczności, chociaż tego rodzaju przypuszczenie nie bardzo mi odpowiada.

Pozostali dwaj chłopcy uśmiechnęli się. Jupiter miał zwyczaj wypowiadania się z namysłem, kiedy tylko mógł sobie na to pozwolić. I właśnie ta jego cecha, a także wyostrzona, jak u prawdziwego detektywa, zdolność dedukcyjnego myślenia, przyciągały ich do niego i czyniły niekwestionowanym przywódcą całej trójki.

- Zastanawiam się - podjął Jupe - jak rozwiążemy tę tajemnicę, jeżeli nie poprosi nas o to żaden z właścicieli zaginionych czworonogów.

Bob i Pete popatrzyli tępo na siebie.

- Jaką tajemnicę? - zapytał Pete. - Zdawało mi się, że przed chwilą ustaliliśmy, że nie chodzi o żadną tajemnicę, ale o zwykły zbieg okoliczności.

- Być może - odparł Jupiter. - Ale jesteśmy przecież detektywami. Już kiedyś udało się nam odnaleźć kilka zaginionych zwierzków. I w każdym przypadku mieliśmy do czynienia z jakąś tajemnicą.

Bob i Pete kiwnęli potakująco głowami. Przypomniało się im, że pomagając pani Banfry w odnalezieniu jej zaginionego abisyńskiego kota, rozwiązali przy okazji tajemnicę Szepczącej Mumii. A próba odnalezienia papugi, która zaginęła panu Malcolmowi, naprowadziła ich na trop niezwyklej tajemnicy jękającej się papugi.

- To Seaside znajduje się niedaleko stąd, na południe od nas - powiedział Jupiter. - Wygląda na to, że nasza sława jako detektywów nie jest wcale tak wielka, jak się nam wydawało. Powinniśmy to wreszcie zmienić.

Bob wyciągnął rękę w kierunku stosu kartek, które upychał w starej drukarskiej prasie.

- Popatrz, Jupe, właśnie się tym zajmuję. Drukuję nasze firmowe wizytówki. Będzie nowy zapas.

- Doskonały pomysł, Bob - stwierdził Jupiter. - Ale ja miałem na myśli coś innego. Będziemy musieli postarać się, aby lepiej nas znano. I żeby ludziom, kiedy zaczynają się dziać jakieś dziwne rzeczy, natychmiast przychodzili na myśl Trzej Detektywi z Rocky Beach.

Bob wyrzucił do góry obie ręce.

- Ależ, Jupe, jak chcesz to zrobić? Nie możemy przecież pozwolić sobie na płatną reklamę w telewizji ani na reklamy rysowane na niebie przez samoloty.

- Wiem o tym - stwierdził Jupiter. - Proponuję, żebyśmy poszli natychmiast do naszej Kwatery Głównej i przedyskutowali sposoby, przy pomocy których firma Trzech Detektywów mogłaby zdobyć większą popularność.

Nie czekając na odpowiedź, Jupiter podniósł się z krzesła. Bob i Pete spojrzeli na siebie i wzruszywszy ramionami, zrobili to samo.

- Wiesz, Jupe, co najbardziej u ciebie lubię? - zapytał z uśmiechem Pete. - Demokratyczny sposób rozwiązywania problemów. Mam na myśli to, że przed podjęciem jakiejś decyzji przeprowadzamy zawsze głosowanie.

Chłopcy odsunęli, niewidoczny za drukarską prasą, stary, żelazny ruszt, odkrywając wejście do szerokiej, karbowanej rury. Wpełznięli do niej, zasunęli za sobą ruszt i zaczęli zagłębiać się w nią na czworakach. Rura biegła częściowo pod ziemią, potem między jakimiś żelaznymi wspornikami. Jej wylot znajdował się mniej więcej dwanaście metrów dalej, dokładnie pod ruchomą mieszkalną przyczepą, którą młodzi detektywi przerobili na Kwaterę Główną. Wuj Jupitera, Tytus Jones, pozwolił im z niej korzystać, ponieważ w żaden sposób nie mógł znaleźć na nią amatora. Była zbyt stara i poobijana.

Doszedłszy do końca rury, chłopcy unieśli umocowaną na zawiasach klapę i wygramolili się na górę. Znajdowali się teraz w małym pomieszczeniu przypominającym biuro, wyposażonym w biurko, parę krzeseł, maszynę do pisania, regał z szufladkami i telefon. Jupiter zamontował koło telefonu mikrofon i podłączył go do głośnika radiowego,

dzięki czemu cała trójka mogła przysłuchiwać się wszystkim rozmowom telefonicznym. Pozostałą część przyczepy zajmowała miniaturowa ciemnia, maleńkie laboratorium i toaleta.

Ponieważ przyczepę otaczały stopy starego żelastwa, w jej wnętrzu panował półmrok. Pete zapalił światło nad biurkiem. W tej samej chwili zadzwonił telefon.

Chłopcy popatrzyli na siebie. Rzadko zdarzało się, aby ktoś wykrecił ich numer.

Po drugim dzwonku Jupiter sięgnął po słuchawkę, włączając jednocześnie głośnik maleńkiego radia.

- Jupiter? - zapytał jakiś męski głos. - Mówi Alfred Hitchcock.

Był to ich doradca i przyjaciel, znany reżyser filmowy i autor książek poświęconych różnym zagadkom i tajemnicom.

- Co mogę dla pana zrobić? - zapytał Jupiter, bez najmniejszego wysiłku wpadając w ton prawdziwego profesjonalisty.

- Czy ty i twoi przyjaciele jesteście w tej chwili zajęci wyjaśnianiem jakiejś sprawy?

- Nie, chwilowo jesteśmy wolni. Ale zgodnie z teorią prawdopodobieństwa powinniśmy znaleźć wkrótce coś interesującego.

Pan Hitchcock zachichotał.

- A więc, jeżeli nie jesteście zajęci, mam coś, co mogłoby was zainteresować. Pewien zaprzyjaźniony ze mną reżyser filmowy będzie najprawdopodobniej potrzebował pomocy.

- Chętnie byśmy spróbowali - powiedział Jupiter. - Ale czy może mi pan powiedzieć, na czym polegają kłopoty pańskiego przyjaciela?

Alfred Hitchcock zawiesił na chwilę głos, tak jakby zastanawiał się, jak w paru słowach wyrazić złożoność całego problemu.

- Wydaje się, że to jest sprawa, by tak rzec, pod psem - powiedział w końcu. - Nie w przenośni, tylko dosłownie. Mój przyjaciel powiedział mi niedawno przez telefon, że zaginał mu pies.

Oczy Jupitera rozbłysły.

- Czy przypadkiem pana przyjaciel nie mieszka w Seaside?

- A niech cię gęś kopnie - powiedział pan Hitchcock. W jego głosie można było wyczuć zaskoczenie. - On rzeczywiście mieszka w Seaside. Skąd, u licha, dowiedziałeś się o tym?

- Zwyczajnie, zestawilem tylko ze sobą parę dziwnych okoliczności - odparł Jupiter.

- Nie przestajesz mnie zdumiewać, Jupiterze. Cieszę się, że przez cały czas trzymasz rękę na pulsie, bez względu na to, czy prowadzisz jakieś dochodzenie, czy też nie, i nie zadowolasz się dawnymi sukcesami.

Jupiter wyszczerzył zęby do słuchawki.

- Ani trochę, proszę pana. Ale mówiąc o kłopotach pana przyjaciela, użył pan zwrotu "wydaje się". A nawet wypowiedział go pan z naciskiem. Co pan miał na myśli?

- Rzeczywiście, znowu trafiłeś w dziesiątkę. Nie uważam, że chodzi tu o jakiś zwyczajny przypadek. No bo pomyśl, czy można uważać za coś zwyczajnego sprawę, w którą zamieszany jest smok? Zgadzasz się ze mną?

Jupiter odchrząknął.

- Co takiego? Smok?

- Dokładnie. Dom mojego przyjaciela stoi tuż nad brzegiem oceanu i znajdują się pod nim jaskinie. Utrzymuje on, że wieczorem, tego samego dnia, w którym zaginął mu pies, widział dość dużego smoka, który wynurzył się z oceanu i zniknął w jednej z jaskiń.

W przyczepie zapadła głucha cisza.

- No więc, Jupe, co o tym powiesz? Jesteś gotowy, by razem z Pete'em i Bobem rozwikłać tę zagadkę?

Jupiter był tak podniecony, że zaczął się jąkać.

- Ppproszę ppppana o nnnazwisko i adddres ppańskiego pprzyjaciela. Wygląda na to, że będzie to najbardziej ekscytująca ze wszystkich spraw, z jakimi mieliśmy do tej pory do czynienia!

Zapisał podane przez pana Hitchcocka informacje, obiecał zawiadamiać go o wszystkich czynnościach i postępach w dochodzeniu, a potem odwiesił słuchawkę i popatrzył na Pete'a i Boba z triumfalnym błyskiem w oczach.

- Zgadza się, że powinno się dokładnie zbadać wszystko, co może się łączyć ze smokiem, który żyje w naszych czasach?

Bob przytaknął, ale Pete wzruszył ramionami.

- Zdaje się, Pete, że masz jakieś zastrzeżenia?

- Myślę, że popełniłeś jeden błąd - powiedział Pete. - Wygadałeś się przed panem Hitchcockiem, że ten przypadek może się okazać najbardziej ekscytujący ze wszystkich, jakie nam się trafiły.

- Rzeczywiście, tak powiedziałem - odparł Jupiter. - Nie uważasz, że to prawda?

- Niezupełnie.

- No więc, co byś powiedział na moim miejscu?

- Jeżeli rzeczywiście będziemy mieli do czynienia ze smokiem - odparł Pete - powiedziałbym, że ta sprawa może się okazać ostatnią w naszej karierze!

Rozdział 2

Strach wylania się z morza

Miasteczko Seaside, w którym mieszkał zaprzyjaźniony z Alfredem Hitchcockiem reżyser filmowy, położone było o jakieś trzydzieści parę kilometrów na południe, koło autostrady biegnącej wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. Zaraz po lunchu miał tam jechać jeden z niemieckich pomocników wujostwa Jupitera, Hans, żeby zrobić zakupy i dostarczyć towar zamówiony przez miejscowych sprzedawców. Ciotka Matylda zgodziła się, aby Jupiter i jego przyjaciele zabrali się z nim małą ciężarówką, należącą do niej i wuja Tytusa.

Po obfitym posiłku, przyrządzonym przez ciotkę Matyldę, wszyscy trzej pobiegli do samochodu, żeby poupychać się jakoś na przednim siedzeniu, obok Hansa. Jupiter podał mu adres i wkrótce potem pędzili już gładką autostradą na południe.

- Bob, miałeś trochę czasu na małe badania - odezwał się Jupiter. - Czego się dowiedziałeś na temat smoków?

- Smok - odparł Bob - jest mitycznym potworem, przedstawianym zwykle jako ogromny gad ze skrzydłami i pazurami, ziejący ogniem i dymem.

- Nie robiłem wprawdzie żadnych badań - przerwał mu Pete - ale zdaje mi się, że Bob pominął coś ważnego. Smoki nie są usposobione przyjaźnie do ludzi.

- Wspomniałbym także i o tym - stwierdził Bob - ale Jupitera interesują wyłącznie fakty. Smoki są mitycznymi stworami, co oznacza, że tak naprawdę wcale nie istnieją. Ale jeżeli nie istnieją, nie musimy martwić się tym, czy są usposobione przyjaźnie, czy też nie.

- Dokładnie tak - powiedział Jupiter. - Smoki są stworami z zamierzchłej przeszłości. Jeżeli kiedykolwiek istniały jakieś egzemplarze, zostały unicestwione w procesie ewolucji.

- Bardzo mnie to cieszy - wtrącił Pete. - Ale w takim razie, jeśli uległy wyniszczeniu, jak to się dzieje, że jedziemy właśnie, żeby prowadzić śledztwo w sprawie jednego z nich?

- Usłyszeliśmy przez radio, że w spokojnym miasteczku Seaside zaginęło podczas ostatniego tygodnia pięć psów - powiedział Jupiter. - A od pana Hitchcocka wiemy, że jego przyjaciel stracił psa i widział koło swego domu smoka. Nic ci to nie mówi?

- Tak, oczywiście - odparł Pete. - To mi mówi, że zamiast jechać na poszukiwanie smoka, powinienem być w tej chwili w Rocky Beach i ślizgać się po falach na moim surfie.

- Ależ jeśli angażuje nas Henry Allen, który jest przyjacielem pana Hitchcocka, oznacza to, że mamy przed sobą przygodę, która może się okazać bardzo korzystna dla Trzech Detektywów - oświadczył Jupiter. - Dlaczego nie chcesz popatrzeć na tę sprawę pod tym kątem?

- Próbuję, próbuję - mruknął niepewnie Pete.

- Bez względu na to, czy ten smok tam jest, czy go nie ma - powiedział Jupiter - pewne jest, że dzieje się coś bardzo tajemniczego. Niedługo poznamy fakty, z którymi będziemy musieli się zmierzyć. A tymczasem musimy podejść do całej sprawy w bardziej otwarty sposób.

Samochód minął już obrzeża Seaside i Hans zwolnił, rozglądając się za podaną mu przez Jupitera ulicą. Po przejechaniu jeszcze dwóch kilometrów ciężarówka zatrzymała się.

- Myślę, że to musi być gdzieś w pobliżu - powiedział Hans. Wszędzie naokoło widać było jedynie szpalery palmowych drzew. Jeśli były tu jakieś domy, musiały być ukryte gdzieś za nimi. Pete dostrzegł mały napis na białej skrzynce na listy.

- H.H. Allen - przeczytał głośno. - To tutaj.

Chłopcy wyskoczyli z samochodu.

- Wiesz, Hans, te wstępne czynności powinny nam zająć w przybliżeniu dwie godziny - powiedział Jupiter. - Dasz radę załatwić przez ten czas wszystkie zakupy i dostawy, a potem wrócić po nas?

- Jasne, bez problemu - odparł krzepki Bawarczyk. Zawrócił ciężarówkę, pomachał im ręką i skręcił w wąską uliczkę prowadzącą do centrum.

- Najpierw musimy się trochę rozejrzeć - powiedział Jupiter. - To może się nam przydać w rozmowie z panem Allenem. Lepiej być zorientowanym w terenie.

Domy pobudowane były na wysokiej skarpie, wychodzącej na ocean. Najbliższa okolica robiła wrażenie dość odludnego zakątka. Chłopcy skierowali się ku nie zamieszkannej parceli sąsiadującej z rezydencją reżysera i podeszli aż do krawędzi urwiska.

- Miło tu i spokojnie - stwierdził Bob, spoglądając na ciągnącą się w dole plażę i migotliwą toń oceanu.

- Niezłe warunki do surfowania - mruknął Pete, przyglądając się przybrzeżnym falom.
- Nic nadzwyczajnego, ale te metrowe bałwany morskie są w sam raz. Myślę, że wieczorem, kiedy zaczyna się przyływ i łamie się wysoka fala, ten smok może się czuć tu jak w raju. Ma się w czym chować.

Jupiter skinął potakująco głową.

- Masz rację, Pete. O ile ten smok rzeczywiście istnieje - powiedział powoli, a potem wyciągnął szyję i spojrzał w dół. - Pan Hitchcock powiedział, że tu są jaskinie. Ale stąd wcale ich nie widać. Potem, po rozmowie z panem Allenem, zejdziemy na dół i postaramy się je obejrzeć.

Bob przeciągnął oczami po bezludnej plaży, jaśniejącej daleko w dole.

- Jak się tam dostaniemy?

Pete wyciągnął rękę w kierunku niepewnie wyglądających, zniszczonych przez deszcze i wichry, drewnianych stopni.

- Bob, widzisz te schodki? Idą przez całe urwisko, aż do dołu.

Jupiter przeleciał wzrokiem wzdłuż skarpy.

- Patrzcie, łam dalej są jeszcze jedne. Z drugiej strony też. W sumie nie ma ich jednak zbyt wiele. No, dobra, myślę, że mamy już obraz tego terenu. Chodźmy teraz posłuchać tego, co ma nam do powiedzenia pan Allen.

Odwrócił się i poprowadził swych przyjaciół do ukrytej w zielonym żywopłocie bramy. Cała trójka weszła do środka. Kręta ścieżka prowadziła do, kryjącego się pośród palmowych drzew, krzewów i dziko rosnących kwiatów, domu z wyblakłej, żółtawej cegły. Ogród był raczej zaniedbany, podobnie zresztą jak i sam dom, wzniesiony na brzeżku skalnego urwiska.

Jupiter uniósł mosiężną kołatkę i zastukał nią do drzwi.

W chwilę potem na progu stanął niski, tęgawy mężczyzna. Jego opaloną, pokrytą zmarszczkami twarz okalały siwe włosy. Spod gęstych, krzaczastych brwi spoglądały posępne, piwne oczy.

- Proszę, chłopcy, wejdźcie do środka - powiedział wyciągając rękę. - Domyślam się, że jesteście tymi zuchami przysłanymi przez mojego przyjaciela Alfreda Hitchcocka dla udzielenia mi pomocy. To wy jesteście detektywami, prawda?

- Tak, proszę pana - powiedział Jupiter, a potem wyciągnął w jego kierunku firmową wizytówkę Trzech Detektywów. - Rozwikłaliśmy już sporo różnych spraw.

Starszy pan ujął kartkę w wykrzywione artretyzmem palce i podniósł ją do oczu. Zawierała ona następujące informacje:

<p style="text-align: center;">TRZEJ DETEKTYWI</p> <p style="text-align: center;">Badamy wszystko</p> <p style="text-align: center;">???</p> <p style="text-align: center;">Pierwszy Detektyw Jupiter Jones</p> <p style="text-align: center;">Drugi Detektyw Pete Crenshaw</p> <p style="text-align: center;">Dokumentacja i analizy Bob Andrews</p>

- Te znaki zapytania - wyjaśnił Jupiter - są naszym symbolem i znakiem firmowym. Symbolizują pytania, na które nie ma odpowiedzi. Nie rozwiązane zagadki, nie wyjaśnione tajemnice. Podejmujemy się ich wyjaśnienia i rozwiązania.

Starszy pan kiwnął głową jakby na znak zadowolenia i schował kartkę do kieszeni.

- Chodźcie do mego gabinetu, żeby wszystko omówić.

Trzej przyjaciele weszli za nim do dużego, zalanego słońcem pokoju. Z zapartym tchem rozglądali się po wnętrzu domu. Ściany wypełnione były od podłogi do sufitu obrazami, stłoczonymi dosłownie jeden obok drugiego. Oprócz obrazów wisiało tam także wiele pięknie oprawionych, podpisanych fotografii słynnych gwiazd filmowych i innych sławnych osobistości.

Obszerne biurko pokryte było papierami i drewnianymi figurkami. Także na półkach z książkami stało pełno różnych przedmiotów, jakichś tajemniczych staroindiańskich figurynek i małych, dziwacznych rzeźb, rodem z Afryki. Niektóre z nich wyglądały groźnie, mogły nawet budzić przerażenie.

Właściciel wskazał chłopcom krzesła, a sam usiadł za biurkiem na dużym rzeźbionym fotelu.

- Usiądźcie, proszę. Opowiem wam, dlaczego zadzwoniłem w tej sprawie do Alfreda Hitchcocka. Mówił wam już na pewno, że jestem reżyserem filmowym?

- Tak, proszę pana, wspomniał o tym - odpowiedział Jupiter.

Pan Allen uśmiechnął się.

- Powinienem być raczej powiedzieć, że byłem nim. Od wielu już lat nic nie nakręciłem. Byłem reżyserem na długo przedtem, zanim wy przyszliście na świat. I, jak sądzę, zdobyłem nawet pewną sławę. Miałem też swoją specjalność, podobnie jak Alfred, który wyspecjalizował się w kryminalnych dreszczowcach. Nasze zainteresowania były jednak zupełnie odmienne. Alfred koncentrował się na konstruowaniu logicznych zagadek osadzonych w realnym świecie, ja natomiast kręciłem filmy wykraczające poza rzeczywistość.

- Co pan ma na myśli? - zapytał Jupiter.

- To wyjaśni wam, dlaczego nie mogłem pójść z moim problemem na policję albo prosić o pomoc inne władze. Jak widzicie, lubię wszystko co udziwnione, nie z tego świata, pełne grozy. W moich obrazach znajdziecie mnóstwo potworów, wilkołaków, stworów o dziwnym i odrażającym wyglądzie, w których kipią gwałtowne emocje.

Jednym słowem, moi drodzy, byłem specjalistą od filmowych horrorów!

Jupiter kiwnął głową.

- Tak, proszę pana, teraz przypominam sobie pana nazwisko. Widziałem pańskie dzieła na festiwalach dawnych filmów.

- To dobrze. Tak więc kiedy opowiem wam o tym, co na moich oczach wynurzyło się z morza tamtej nocy, kiedy znikł mój pies, sami zobaczycie, dlaczego wahałem się, czy o tym mówić. Przy całej tej mojej "sławie" i niezdolności do znalezienia przez tyle lat pracy przy jakimś filmie naraziłbym się tylko na to, że różni głupcy posądzaliby mnie o chęć zwrócenia na siebie uwagi i zyskania rozgłosu.

Dzieło mojego życia jest już skończone. Przynajmniej oni tak to widzą... i myślą też, że nie mam już sił... Jestem wystarczająco bogaty, aby żyć w całkowitym spokoju. Nie mam żadnych zmartwień, żadnych obaw, z wyjątkiem...

- Z wyjątkiem smoka, który mieszka w jaskini pod pana domem? - zapytał Jupiter.

Pan Allen skrzywił się.

- Tak - powiedział, a potem przyjrzał się chłopcom uważnie. - Mówiłem Alfredowi, że widziałem smoka, jak wychodził z wody. Ale nie wspominałem o jednym. Że ja go także słyszałem!

W pokoju zapadła cisza.

- Słyszał pan głos wydawany przez smoka? - zapytał spokojnym tonem Jupiter. - Ale co pan dokładnie usłyszał? I gdzie pan był w tym momencie?

Pan Allen wyjął dużą, kolorową chusteczkę i otarł nią czoło.

- Stałem na krawędzi urwiska za domem i przyglądałem się falom oceanu. Wtedy właśnie ukazał się on moim oczom. Ale może było to tylko złudzenie.

- Niewykluczone - powiedział Jupiter. - A teraz niech pan opowie nam dokładnie, co pan usłyszał. To może być ważny wątek w tej tajemniczej sprawie.

- No dobrze, niech to diabli! - powiedział pan Allen. - O ile wiem, na świecie nie ma przypuszczalnie żadnych smoków, nikt ich nie widział od ładnych paru milionów lat. Ja sam robiłem o nich oczywiście filmy, wykorzystując do tego różne mechaniczne monstra. Przy nagrywaniu ścieżki dźwiękowej stosowaliśmy pewien rodzaj przytłumionego ryku motoru i przeraźliwe dźwięki różnych gwizdków, wszystko to dobrze ze sobą stopione dla uzyskania pożądanego efektu, przeważnie - dla nastraszenia widzów.

Ale to, co usłyszałem tamtej nocy, było całkowicie odmienne. Przypominało raczej wysoko nastrojone skrobanie czy tarcie, tak jakby temu potworowi z trudem przychodziło oddychać, a może raczej... tak, kasłać.

- A jak wygląda ta jaskinia pod pańskim domem? - spytał Jupiter. - Czy jest wystarczająco duża, aby pomieścić smoka, czy jakieś inne wielkie stworzenie, które można by za niego wziąć?

- Tak - odparł pan Allen. - Zresztą, pod całym urwiskiem znajduje się wiele innych, równie olbrzymich, grot. Można je znaleźć zarówno na północ, jak i na południe od mego domu, a także i w głębi łądu. W przeszłości służyły do nielegalnego pędzenia i przechowywania alkoholu, a jeszcze dawniej korzystali z nich szmuglerzy i piraci. Kilka lat temu, wskutek erozji skał, nastąpiło osunięcie ziemi, które spowodowało zasypanie większej części cypla, znanego jako Przylądek Wiedźm. Nadal jednak znajduje się tu wiele nienaruszonych jaskiń i grot.

- Hmmmm - mruknął Jupiter. - Ale choć mieszka pan tu od wielu lat, po raz pierwszy zobaczył pan, czy usłyszał smoka. Zgadza się?

Stary reżyser przytaknął i uśmiechnął się.

- Wystarczy ten jeden raz. Ale i wtedy byłbym go może nie zobaczył, gdybym nie wyszedł na dwór, żeby zawołać mojego psa Korsarza.

Chłopcy uśmiechnęli się, wymieniając spojrzenia. Jedno z tajemnych wejść do Kwatery Głównej nosiło nazwę "Czerwona Furtka Korsarza".

- Myślę, że powinniśmy omówić teraz sprawę pańskiego psa i okoliczności, w jakich zaginął. Bob, zanotuj dane - powiedział Jupiter.

Odpowiedzialny za dokumentację i analizy Bob wyjął notatnik i długopis.

Pan Allen wytrzeszczył oczy, zdumiony profesjonalizmem Trzech Detektywów. W chwilę potem jego twarz rozjaśnił uśmiech.

- Ostatnie dwa miesiące spędziłem za granicą - powiedział. - Choć nie uczestniczę już aktywnie w produkcji filmów, rozwój tej dyscypliny nadal żywo mnie interesuje. W zasadzie każdego roku objeżdżam całą Europę, żeby uczestniczyć w najważniejszych festiwalach filmowych organizowanych w różnych miastach. Ten rok nie różnił się od innych. Byłem na festiwalach w Rzymie, Wenecji, Paryżu, Londynie i Budapeszcie, żeby zobaczyć się ze starymi przyjaciółmi.

Wyjeżdżając za granicę, zostawiłem jak zwykle mego psa u jednego z miejscowych treserów i hodowców. Tydzień temu wróciłem i odebrałem Korsarza. A przy okazji - jest to irlandzki seter, bardzo piękny okaz. Ogromnie do mnie przywiązany.

Mój Korsarz lubi biegać. W nocy wypuszczałem go zazwyczaj na dwór. No i dwa dni temu nie wrócił do domu. Choć mam go już trzy lata, pomyślałem, że zdążył może przyzwycząić się do tresera i pobiegł do niego. Zadzwoiłem tam, ale powiedziano mi, że Korsarza u nich nie ma. Od tej pory czekam na jego powrót, jak dotąd bezskutecznie.

Właśnie w chwili gdy rozglądałem się za nim, zobaczyłem... tego dziwnego potwora!

- Czy zszedł pan na dół, aż do plaży? - zapytał Jupe.

Starszy pan pokręcił przecząco głową.

- Nie. To było niesamowite. Spędziłem większą część życia na robieniu filmów, które miały szokować i przerażać widzów, a teraz coś takiego przydarzyło się mnie samemu. W żaden sposób nie potrafię określić wrażenia, jakie odniosłem. Najpierw poczułem paniczny strach, że ta przerażająca kreatura mogła zaatakować i pożreć mego psa. A potem

uświadomiłem sobie ze zgrozą, że być może tracę zmysły. Wierzcie mi, nie tak łatwo przyznać się otwarcie, że się widziało wielkiego smoka!

- Ale nie podjął pan żadnych innych kroków, oprócz telefonu do pańskiego przyjaciela? - ciągnął przesłuchanie Jupiter.

Starszy pan znowu otarł spocone czoło.

- Alfred jest moim bliskim przyjacielem. Ma wielkie doświadczenie w dziedzinie tajemniczych zjawisk. Zdawałem sobie sprawę, że jeśli ktoś może mi pomóc, to tylko on. A teraz cała sprawa przechodzi w wasze ręce.

- Dziękujemy panu, panie Allen - powiedział Jupiter - za okazane nam zaufanie. Ostatnio zaginęło w tym mieście kilka innych psów. A według ostatnich doniesień dokładnie pięć, nie licząc pańskiego Korsarza.

Pan Allen skinął głową.

- Słyszałem o tym w radiowych wiadomościach, niestety, już po zniknięciu mojego pieska. Gdybym dowiedział się o tym wcześniej, nie pozwoliłbym Korsarzowi biegać na swobodzie i oddalić się od domu.

- Czy kontaktował się pan z innymi właścicielami psów? - zapytał Jupiter.

Pan Allen pokręcił głową.

- Nie. Przynajmniej do tej pory. Pomyślałem, że lepiej będzie nie mówić im o tym, co widziałem.

- Czy wszyscy pana sąsiedzi mają psy?

Pan Allen uśmiechnął się.

- Nie, nie wszyscy. Nie ma psa pan Carter, który mieszka po drugiej stronie ulicy. Ani mój najbliższy sąsiad po prawej stronie, pan Artur Shelby. Wielu sąsiadów nie znam zresztą osobiście. Prowadzę spokojny żywot w towarzystwie moich książek i obrazów. No i psa.

Jupiter podniósł się.

- To powinno na razie wystarczyć. Obiecuję, że będę pana informował o wszystkich postępach, jakie uda się nam osiągnąć.

Pan Allen uścisnął chłopcom ręce i odprowadził ich do wyjścia, rozplywając się w podziękowaniach. Chłopcy skierowali się do drewnianej furtki, którą Jupiter zamknął za sobą.

Widząc, że Jupiter stara się umieścić haczyk we właściwym położeniu, Pete roześmiał się.

- Jupe, boisz się, że ten smok może się tu zakraść?

- Bardzo wątpię, Pete, aby zamknięta furtka, a nawet drzwi mogły powstrzymać smoka - odparł Jupiter.

Drugi Detektyw zachnął się nerwowo.

- Nie podoba mi się sposób, w jaki to powiedziałeś - oświadczył, a potem rozejrzał się po ulicy i spojrzał na zegarek. - Gdzie jest Hans?

- O wiele za wcześnie na niego - powiedział Jupiter. - Mamy jeszcze mnóstwo czasu.

- Czasu na co? - spytał Bob widząc, że Jupiter przechodzi na drugą stronę ulicy.

- Na pogadanie z panem Carterem - odparł Pierwszy. - A po nim, także z panem Shelbym. Nie chciałbyś dowiedzieć się czegoś o ludziach, którzy żyją na takim odludziu i nie potrzebują psów, żeby strzegły ich domów?

- Nie, bynajmniej - skrzywił się Pete. - Ale na dobrą sprawę, zaczynam się zastanawiać, dlaczego sam nie kupiłem dotąd psa, dla ochrony własnej? Na tyle dużego, aby nie bał się smoków!

Jupiter roześmiał się, jego dwaj przyjaciele również. Przeszli na drugą stronę wąskiej ulicy. Posiadłość pana Cartera była dobrze utrzymana, a dom świeżo pomalowany.

- Zauważcie - odezwał się Jupiter, kiedy chłopcy znaleźli się koło niego na chodniku - że żywopłoty przycięte są bardzo dokładnie, trawa równiutko skoszona. Także drzewka mają poobcinane niepotrzebne gałązki i pędy, a i na kwietnikach znać rękę gospodarza. Pan Carter musi być bardzo systematycznym człowiekiem.

Jupiter nacisnął dzwonek. Prawie natychmiast drzwi otworzyły się i ukazał się w nich postawny mężczyzna, z groźnym błyskiem w oczach.

- Słucham? Czego sobie życzycie, chłopcy? - zapytał głośno.

- Proszę nam wybaczyć to najście - powiedział grzecznie Jupiter - ale właśnie przed chwilą byliśmy u pana Allena, po drugiej stronie ulicy. Jak pan może słyszał, zaginął jego pies, Korsarz. Zastanawialiśmy się, czy przypadkiem nie zna pan jakichś szczegółów, dotyczących tej sprawy.

Mężczyzna zmrużył oczy i uniósł, a potem opuścił krzaczaste brwi. Następnie skrzywił usta w pogardliwym uśmiešku.

- Więc Allenowi zaginął pies? Tak jak i innym właścicielom w tej okolicy? He? No to chwała Bogu, że tak się stało. Mam nadzieję, że się nie odnajdą. Nienawidzę psów!

Rzekłszy to, pan Carter rzucił im wściekłe spojrzenie, w którym pojawiały się obłąkańcze niemal błyski. Zacisnął pięści, tak że przez chwilę chłopcy obawiali się ataku z jego strony.

Jupiter starał się zachować niezmacony wyraz twarzy i spokój w głosie.

- Nie wątpię, sir, że ma pan poważne powody, aby nie lubić zwierząt - powiedział. - Ale gdyby zechciał pan powiedzieć nam, co one takiego robią...

- Co one robią? - powtórzył sarkastycznie pan Carter. - To, co robiły zawsze. Szczekają i wyją do księżyca przez całą noc. Tratują grządki z kwiatami. Rozdrapują trawniki. Wywracają pojemniki na śmieci, zanieczyszczają chodnik. Czy to wam wystarczy?

- Przykro mi, doprawdy - powiedział współczującym tonem Jupiter.

- Jesteśmy tu całkiem nowi. Próbujemy tylko odnaleźć psa pana Allena. Jeśli to on coś u pana nabroił, pan Allen z pewnością wyrówna wszystkie szkody. On bardzo tęskni za swoim psem, i jestem pewien, że zrobiłby wszystko...

- Zrobiłby wszystko, jesteś tego pewien? - spytał pan Carter. - W takim razie ja także. Poczekajcie no sekundę! - wykrzyknął groźnie i znikł w głębi domu.

Ledwo chłopcy zdążyli wymienić zdziwione spojrzenia, drzwi otworzyły się znowu i pan Carter pojawił się w progu.

W rękach dzierżył ogromną dubeltówkę.

- Oto co zrobię - rzucił wściekle. - Nafaszeruję go śrutem! I to podwójną porcją! Z tej strzelby strzela się największymi ładunkami, jakie tylko istnieją. Niech no tylko zobaczę na mojej posesji psa Allena, albo którąkolwiek z tych diabelskich bestii, źle się to dla nich skończy!

Wypowiedziawszy tę groźbę, pan Carter potrząsnął srogo strzelbą.

Rozdział 3

Próba strachu

Rozzłoszczony nie na żarty mężczyzna naprężył palec na spuście.

- Jestem doskonałym strzelcem i nigdy nie chybiam - oświadczył.

- Macie jeszcze jakieś pytania?

Jupiter potrząsnął przecząco głową, starając się, aby na jego twarzy nie odmalowało się podenerwowanie spowodowane bliskością wylotu lufy pana Cartera, oddalonego jakieś trzydzieści centymetrów od niego.

- Nie, proszę pana - powiedział. - Bardzo przepraszamy za zakłócenie panu spokoju. Do widzenia. Życzę miłego dnia. Mężczyzna zacisnął wargi.

- Będę mógł powiedzieć, że miałem dobry dzień dopiero wtedy, gdy zobaczę, że żaden z tych cholernych kundli nie włóczy się koło mojego domu. A teraz wynocha!

Wyrzucanym gwałtownie słowom towarzyszyły groźne dźwięczenia wielką strzelbą. Chłopcy zaczęli się powoli wycofywać.

- Odwrócić się! - warknął na pożegnanie. - Nie chodzić mi tu po moich trawnikach!

Jupiter popatrzył na kolegów i wzruszył ramionami. Czując drżenie serc, chłopcy odwrócili się plecami do rozdrażnionego mężczyzny ze strzelbą w rękach i poszli dalej po wąskim chodniku.

- Nie puszczajcie się biegiem, idźcie powoli - szepnął Jupiter.

Bob i Pete kiwnęli głowami, zastanawiając się, kiedy rozlegnie się strzał. Ze wszystkich sił starali się nie wpaść w panikę.

Nagle wszyscy trzej podskoczyli, słysząc za plecami głośny huk.

- W porządku, chłopaki - powiedział Jupiter. - Pan Carter tylko zatrzasnął za sobą frontowe drzwi.

Chłopcy obejrzeni się za siebie i stwierdziwszy, że Jupiter się nie myli, rzucili się biegiem.

Zatrzymali się dopiero na środku ulicy. Jeszcze raz popatrzyli za siebie. Nikt ich nie gonił. Wejściowe drzwi domu pana Cartera były zamknięte.

- O rany - mruknął Bob. - Niewiele brakowało!

- Dubeltówka jak armata, do tego z podwójną porcją grubego śrutu - stwierdził Pete, kładąc rękę na czole, jakby dla sprawdzenia, czy nie jest za bardzo spocone. - Jeszcze chwila i całe to paskudztwo mogło podziurawić nas jak sito!

- Nie tak prędko - powiedział Jupe. - Przez cały czas strzelba była zabezpieczona przed strzałem.

Bob i Pete wytrzeszczyli na niego oczy.

- Zauważyłeś to od razu? - zapytał Pete z wyrzutem. - Nic dziwnego, że zachowywałeś się tak spokojnie.

- Nie sądzę, aby pan Carter choć przez chwilę miał zamiar do nas strzelać - wyjaśnił Jupiter. - Wyładował tylko swoją złość. Przypadkowo doprowadziłem go do białej gorączki, poruszając temat, który go tak irytuje. Chodzi o psy.

- Zdaje się, że tego faceta doprowadzają do białej gorączki także inne stworzenia. Ludzie!

Jupiter w zamyśleniu zagryzł wargi.

- Gdybyśmy mieli się jeszcze z nim spotkać, będziemy musieli zachować większą ostrożność.

Pete potrząsnął energicznie głową.

- Nie, sir. Możesz sobie zachowywać środki ostrożności, jakie tylko chcesz, przy następnym spotkaniu z panem Carterem. Ale nie musisz martwić się o mnie, ponieważ mnie przy tym nie będzie. Zapomniałem ci powiedzieć, że mam bardzo wrażliwą skórę. Jest uczulona na gruby śrut.

- Moja też - wtrącił Bob. - Jeżeli już mam się wystawić na jakieś strzały, to wolę, żeby celowano do mnie z pistoletu wodnego, i to z odległości przynajmniej dziesięciu kroków.

- Istnieje możliwość - powiedział Jupiter - że pan Carter jest dużo lepszym aktorem, niż można się po nim tego spodziewać, i przyczynił się w jakiś sposób do zniknięcia tych psów.

- Brzmi to całkiem przekonywająco - przyznał Bob.

- Myślę, że nie będzie trudno porównać gniewnej reakcji pana Cartera z zachowaniem naszego następnego interlokutora.

- O czym on mówi? - zwrócił się Pete do Boba. Jupiter wskazał ręką dom po drugiej stronie ulicy.

- Pan Allen wspominał nam o dwóch sąsiadach, którzy nie mają psów. Jednego z nich, pana Cartera, obejrzelśmy przed chwilą. A teraz musimy zadać parę pytań drugiemu, panu Arthurowi Shelby'emu.

Drogę zagroziła im sięgająca piersi brama z litego żelaza. Ponad nią otwierał się widok na położony w głębi, duży dom pana Shelby'ego.

Pete wyciągnął szyję, aby przyrzeć się lepiej oknom na parterze i pierwszym piętrze.

- Wygląda to nie najgorzej - stwierdził Bob. - Nigdzie nie widać armaty ani czegoś w tym rodzaju.

- Nie ma śladu nikogo żywego w żadnym z okien - poinformował kolegów Pete. - Może pan Shelby gdzieś wyjechał?

Jupiter zrobił krok w kierunku bramy.

- Zaraz się o tym przekonamy. Wystarczy, abyśmy znaleźli się po drugiej stronie bramy, i...

Nagle stanął jak wryty. Także jego koledzy wytrzeszczyli oczy w zaskoczeniu. Zanim Jupiter zdążył jej dotknąć, brama otworzyła się samoczynnie.

- Jak tyś to zrobił? - spytał Pete. - Nauczyłeś się czarów?

- Może otworzyła się pod naporem wiatru - zastanawiał się Bob.

Jupiter potrząsnął głową. Następnie wyciągnął ręce na boki, aby powstrzymać swych kolegów, i zrobił krok do tyłu. Metalowa brama zamknęła się.

Jupiter postąpił krok do przodu. Brama zaczęła się otwierać.

- To proste - powiedział. - Ta brama ma wmontowaną fotokomórkę. Widzieliście to na pewno na lotniskach, w supermarketach czy w dużych biurach.

Wyjaśnwszy tę kwestię, wszedł na teren posesji. Chłopcy podążyli za nim. Trochę w bok od ścieżki, na środku trawnika, spostrzegli wielki, ozdobny zegar słoneczny. Na wprost nich znajdowała się duża, ukwiecona pergola. Wszyscy trzej śmiało zagłębili się w jej cieniste wnętrze.

Nagle pergola usunęła się ku ziemi.

Chłopcy zbili się w ciasną gromadkę. Przednia część kratownicowej konstrukcji opadła tuż przed nimi, tylna osunęła się z cichym szumem za ich plecami, odcinając drogę odwrotu.

Znaleźli się w dużej, metalowej klatce, ozdobionej kwiatami!

- Mam nadzieję, że to tylko jakiś żart - powiedział Jupiter, oblizując nerwowo wargi. - To mi przypomina ruchome kraty w średniowiecznych twierdzach.

- A jak one działały? - zapytał Pete trzęsącym się ze strachu głosem.

- Przeważnie były to wielkie i ciężkie żelazne kraty podwieszane na łańcuchach i opuszczane w pionowych prowadnicach, żeby zamknąć bramę prowadzącą do zamku albo do wnętrza murów miejskich - wyjaśnił Jupiter.

- Widziałem je na rysunkach w starej książce, którą oglądałem w bibliotece - wtrącił podnieconym głosem Bob. - Kiedy wróg przekroczył już fosę, stanowiły ostatnią linię obrony.

- Nie przypominam sobie, abym przekraczał jakąś fosę - pożalił się Pete.

Dał się słyszeć delikatny szum i tak samo niespodziewanie, jak chwilę temu opadały, ukwiecone kraty teraz uniosły się.

Chłopcy popatrzyli po sobie.

- Coś mi się zdaje, że ten pan Shelby ma oryginalne poczucie humoru - stwierdził z ulgą Jupiter. - Idziemy.

Zrobił krok do przodu, ale w tym momencie Pete chwycił go za ramię.

- Jupe, wybrałeś zły kierunek - powiedział. - Może mieszkańcy nie chcą, żebyśmy się znaleźli wewnątrz tego zamku?

Jupiter z uśmiechem pokręcił głową.

- Najpierw otwierająca się automatycznie brama. Potem elektronicznie sterowana krata schowana w kwiatach. Wydaje mi się, że pan Shelby jest zupełnie wyjątkowo zainteresowany naukowymi wynalazkami. Byłby to skandal, gdybyśmy z nim nie pogadali.

Nie zastanawiając się dłużej, ruszył śmiało do przodu. Jego dwaj koledzy niezdecydowanie poszli jego śladem. Wreszcie, szczerząc zęby w uśmiechu, pokonał parę prowadzących do drzwi schodków i nacisnął dzwonek.

- O, kurczę! - krzyknął nagle i rzucił się do tyłu, potrząsając ręką. - Ten dzwonek jest podłączony do prądu! Kopnęło mnie!

- No, dobra - odezwał się Pete. - Co do mnie, to mam już dosyć żartów pana Shelby'ego. Głosuję za tym, żebyśmy odwołali wywiad z tym dowcipnisiem. I to nie zwlekając ani chwili.

- Jestem tego samego zdania, co Pete - oświadczył Bob. - Mam dziwne uczucie, że pan Shelby próbuje zachęcić nas, abyśmy czym prędzej opuścili jego pielesze.

- Wcale tak nie uważam - powiedział Jupiter. - On po prostu poddaje nas próbie. Celowo naraził nas na tych kilka przygód, żeby nas odstraszyć.

Jakby w odpowiedzi na ten wywód drzwi łyknęły cicho, a potem otworzyły się niemal bezszelestnie.

- Klawa sprawa - stwierdził z podziwem Bob. - Cały dom naszpikowany tym chłamem.

Chłopcy ostrożnie przestąpili próg. We wnętrzu panował półmrok i spokój.

Jupiter odchrząknął, starając się nadać swemu głosowi pozory śmiałości.

- Dzień dobry, panie Shelby - powiedział. - Jesteśmy detektywami i przychodzimy z polecenia pańskiego sąsiada, pana Allena. Czy możemy wejść do środka?

Odpowiedziała mu głucha cisza. A potem wszyscy trzej usłyszeli odgłos dalekiego, ledwie słyszalnego trzepotu skrzydeł. Wydawał się przybliżać i rozlegał się coraz wyraźniej. Dochodził z górnych partii ponurego wnętrza domu. Nagle poczuli, że krew krzepnie im w żyłach. Ujrzeni jakiś wielki ciemny kształt szybujący z przeraźliwym świstem w ich kierunku.

Ostro pikując, spłynął na nich z góry wielki, czarny, przypominający jastrzębia ptak, z groźnie rozczapierzonymi szponami, zakrzywionym, spiczastym dziobem i dzikimi błyskami w oczach!...

Rozdział 4

Niesamowita dłoń

- Schylcie się! - krzyknął Pete.

Chłopcy niemal przykleili się do podłogi.

Skrzeczający ptak opadł w ich kierunku, groźnie zginając wielkie szpony.

W końcu zawisnął o kilkanaście centymetrów nad ich głowami. Ku wielkiemu zdziwieniu całej trójki, znieruchomiał w tym położeniu.

Ostre skrzeczenie ucichło.

Jupiter zasłonił dłońmi oczy, a potem ostrożnie zerknął przez szczelinę między palcami. Usiadł. Malujący się na jego twarzy strach ustąpił miejsca przygnębieniu.

- Nie pękajcie, chłopaki - powiedział. - To nie jest prawdziwy ptak.

- Co takiego? - krzyknął Pete, unosząc z niedowierzaniem głowę. Bob poszedł za jego przykładem.

Zawieszony na cienkim miedzianym drucie czarny ptak kołysał się bezsilnie, gapiąc się na nich pozbawionymi wyrazu, żółtawymi oczami.

- To zwykła zabawka - powiedział Jupiter. Wyciągnął rękę i dotknął ptaka. - Zrobiona zdaje się z plastyku i drucianej siatki dla kurczaków!

- O, kurczę! - sieknął z rozgoryczeniem Pete.

Z mrocznego wnętrza domu doszedł ich szaleńczy, upiorny śmiech. Jednocześnie nad głowami chłopców rozbłysły światła.

W pewnym oddaleniu zobaczyli wysokiego, szczupłego mężczyznę w ciemnym kombinezonie. Miał krótko obcięte, miedzianorude włosy.

- Witajcie w Zamku Tajemnic - powiedział mężczyzna głębokim, grobowym głosem.

A potem przykucnął, najzupełniej dosłownie zwijając się ze śmiechu. W końcu z jego gardła zaczęły dobywać się nerwowe spazmy, przypominające kaszel.

- Nie ulega wątpliwości, że facet ma fantastyczne poczucie humoru - mruknął Pete.

Wysoki rudzielec powoli wyprostował się. W jego wilgotnych od łez oczach tańczyły wesołe iskierki.

- Arthur Shelby, do usług. Może lepiej zabiorę tego ptaka, zanim was podziobie.

Chłopcy zaczęli się niezdarnie podnosić z podłogi. Mężczyzna podszedł do ptaka i odczepił przytrzymujące go druciki. Jupiter podniósł oczy do sufitu i uśmiechnął się.

- Ten ptaszek jeździ po linkach, poprowadzonych pod sufitem - powiedział. - Całkiem jak elektryczna kolejka linowa.

Bob i Pete przeciągnęli wzrokiem po widocznych na tle powały przewodach.

- Co do mnie, to wolę elektryczne kolejki - stwierdził Pete. - Przynajmniej się ich nie boję.

Pan Shelby uśmiechnął się szeroko.

- Daliście się nabrać, no nie? Przepraszam was za ten żarcik. Ale takie zwariowane konstrukcje to moja specjalność I hobby. - Przy ostatnich słowach obrócił się trochę, wskazując pokój za swymi plecami. Oczom chłopców ukazał się duży warsztat, wypełniony narzędziami i różnego rodzaju materiałami.

Pan Shelby postawił ptaka na stole przystosowanym do hobbystycznych robót.

- Co was tu sprowadza? - zapytał normalnym już, lekko tylko ochrypłym głosem.

Jupiter wręczył mu firmową wizytówkę.

- To może wyjaśni cel naszej wizyty - powiedział. - Lubimy wyjaśniać różne tajemnice.

Pan Shelby obejrzał kartę, nie komentując jednak widocznych na niej znaków zapytania. Potem zwrócił ją z uśmiechem.

- Przypuszczam, że tajemnice to nic innego, jak zaginione w okolicy pieski. Zgadza się?

- Kiedy poznamy wszystkie fakty związane z tą sprawą - powiedział z namysłem Jupiter - może się okazać, że chodzi o jedną tylko tajemnicę. Próbujemy pomóc panu Allenowi w odnalezieniu jego irlandzkiego setera. Ale mam wrażenie, że to zniknięcie ma jakiś związek z zaginięciem wszystkich pozostałych psów w tym mieście.

- Możliwe - stwierdził pan Shelby. - Nie utrzymuję zbyt bliskich kontaktów z sąsiadami, ale słyszałem o tym w wiadomościach. Allen ostatnio gdzieś wyjeżdżał i o jego powrocie dowiedziałem się dopiero wtedy, gdy doszła mnie wiadomość o tym, że zaginął także jego Korsarz. Mam nadzieję, że zdołacie go odnaleźć.

- Takie jest nasze zadanie - odparł Jupiter. - Może jednak będą nam potrzebne jakieś informacje. Pomyślałem, że mogłyby nam pomóc rozmowy z sąsiadami pana Allena. Przed chwilą byliśmy u pana Cartera, po drugiej stronie ulicy. Czy pan go zna?

Arthur Shelby uśmiechnął się.

- Któż by go nie znał? Ja zwracam uwagę rudymi włosami, za to pan Carter znany jest ze swojej gniewliwości. Przypuszczam, że pokazał wam tę wielką strzelbę?

Jupiter wzruszył ramionami.

- Próbował odstraszyć nas od siebie. Kiedy celował do nas, strzelba była na szczęście zabezpieczona. Powiedział nam, że okoliczne psy ustawicznie naruszają teren jego posesji. Dał nam do zrozumienia, że ich nienawidzi.

Pan Shelby uśmiechnął się szeroko.

- Carter nienawidzi wszystkiego i wszystkich.

- Pan też straszy ludzi, tyle że całkiem inaczej - odezwał się nagle Pete. - Po co właściwie zainstalował pan koło domu wszystkie te sprytnie urządzenia?

Rudowłosa mężczyzna spojrzał na niego z rozbawieniem.

- Byłem zdumiony, kiedy zobaczyłem was przed drzwiami mego domu. Nie mam nic przeciwko innym ludziom, nienawidzę tylko tego ich naprzykrzania się. Wymyśliłem więc parę rzeczy, żeby trzymać z daleka wszystkich nudziarzy i domokrażców. Wy też się przestraszyliście, co?

- Sam pan wie najlepiej - mruknął Pete.

Shelby roześmiał się znowu.

- Z wykształcenia jestem inżynierem. A z zamiłowania wynalazcą-amatorem. Znajduję przyjemność w instalowaniu takich urządzeń. Ale nikomu nie robią one nic złego. No więc, chłopaki, w czym mogę wam być pomocny? - zapytał spoglądając na zegarek.

- W odnalezieniu tych psów - powiedział Jupiter. - Czy mógłby pan podsunąć nam coś, co naprowadziłoby nas na właściwy trop?

Właściciel tajemniczego domostwa pokręcił głową.

- Przykro mi. Wszystko, co wiem, to to, że zginęły. Powinniście porozmawiać raczej z ich właścicielami.

- Na razie rozmawialiśmy tylko z pana najbliższym sąsiadem, panem Allenem - powiedział Jupiter. - Podsunął nam wprawdzie pewien ślad, ale jest to coś, w co trudno uwierzyć.

- Czyżby? - Krzaczaste brwi rudego mężczyzny uniosły się. - Co takiego?

Jupiter niepewnie zacisnął usta.

- Problem w tym, że nie jestem całkiem pewien, czy wolno mi o tym mówić.

- A czemużby nie?

- Myślę, że pan Allen mógłby się poczuć zakłopotany, gdyby taka wiadomość rozeszła się po okolicy. Przykro mi, panie Shelby.

Wysoki mężczyzna wzruszył ramionami.

- Domyślam się, że staracie się postępować tak, jak w podobnych przypadkach robią adwokaci. Czyli trzymać w tajemnicy wszystkie zwierzenia klienta. Zgadza się?

Jupiter kiwnął potakująco głową.

- Ale jest w tym coś dziwnego. Mieszka pan tuż obok niego. Trudno uwierzyć, że mógł zaobserwować w najbliższym sąsiedztwie coś tajemniczego, co uszło pana uwagi.

Pan Shelby wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- Wyrażasz się prawie jak egipska wyrocznia. Jestem pewien, że mógłbyś mówić jaśniej, gdybyś chciał.

- Pan chyba nie chce nas nabrać - odezwał się niecierpliwie Pete. - Jupe próbuje ukryć przed panem to, że tamtego wieczoru pan Allen zobaczył wychodzącego z oceanu smoka.

- Nie powinieneś być o tym mówić, Pete - powiedział Jupiter. - Musimy zachowywać dla siebie to, co klienci mówią nam w zaufaniu.

- Przepraszam - mruknął Pete. - Zdaje mi się, że już samo myślenie o tym wyprowadza mnie z równowagi.

- Smoka? - zapytał pan Shelby. - Allen naprawdę twierdzi, że go widział?

Jupiter zawahał się. A potem wzruszył ramionami.

- No cóż, skoro to już przestało być tajemnicą... Przypuszczam, że pan Allen bał się, aby ludzie nie zaczęli brać go za wariata z powodu tego smoka. Ale rzeczywiście twierdził, że go widział.

Pan Shelby potrząsnął głową.

- Niemożliwe.

- Powiedział też, że słyszał jego ryki - wtrącił Bob. - Dochodziły z jaskini pod jego domem.

Jupiter wydał policzki.

- No cóż, panie Shelby, zdaje się, że powiedzieliśmy panu dosłownie wszystko. Ale myślę, że jeżeli rzeczywiście istnieje ten smok, czy jakiś inny podobny do niego, niebezpieczny zwierzak, pan także powinien o tym wiedzieć. To znaczy, jeśli schodzi pan czasami tam na dół...

- Dziękuję za ostrzeżenie - przerwał mu pan Shelby. - Ale ja rzadko schodzę na plażę. Nie przepadam za pływaniem w morzu. A co do tych jaskiń, to już dawno temu przekonałem się, że lepiej do nich nie zaglądać. One są niebezpieczne.

- Z jakiego powodu? - spytał Bob.

Pan Shelby uśmiechnął się.

- Były niebezpieczne na długo przedtem, zanim ktokolwiek zaczął podejrzewać, że mieszkają w nich jakieś smoki. Na całym tym wybrzeżu bez przerwy zdarzają się osunięcia ziemi. Można zostać pogrzebanym żywcem.

- Słyszałem, że z tych grot korzystali przemytnicy przy szmuglowaniu alkoholu - powiedział Jupiter.

Shelby przytaknął.

- To było dawno temu. Jeśli chodzi o osunięcia, to wystarczy przejść się wzdłuż brzegu. Zobaczycie, ile takich katastrof tu się wydarzyło. Czasami zapadały się także i domy.

Przerwał na chwilę i popatrzył znacząco na chłopców. Jego oczy zabłyśły dziwnym światłem.

- Wiem, jak to jest, kiedy ma się tyle lat, co wy. Jestem pewien, że gdybym był w waszym wieku i usłyszał taką niesamowitą historię o smoku, dałbym się skusić i poszedłbym, żeby sprawdzić wszystko osobiście. Jeżeli wy też tak zrobicie, pamiętajcie o tym, że te jaskinie są bardzo niebezpieczne.

- Dzięki, panie Shelby - powiedział Jupiter. - A więc pana zdaniem ten smok jest tylko wymysłem pana Allena?

Shelby uśmiechnął się.

- A wy jak myślicie?

Jupiter uniósł niepewnie obie dłonie.

- No cóż...

Pan Shelby roześmiał się znowu.

- ... dziękujemy panu bardzo za tę rozmowę. Może uda się nam dokładnie stwierdzić, co też zobaczył pan Allen.

- Ja też mam taką nadzieję - powiedział pan Shelby. - Wiem, że Allen nakręcił w swoim czasie mnóstwo horrorów. Może ma jakiegoś przyjaciela, albo wroga, który postanowił zabawić się jego kosztem.

- Bardzo możliwe - zgodził się Jupiter.

- W takich przypadkach ludzie sięgają czasami po ekstremalne środki. Przykro mi, że nie mogę wam w niczym pomóc. Odprowadzę was do wyjścia.

Rzekłszy to, pan Shelby ruszył ku drzwiom i otworzył je na oścież. Kiedy chłopcy mijali go, zatrzymał Jupitera, wyciągając ku niemu rękę.

- Życzę ci szczęścia, chłopcze.

Jupiter uściśnął podaną mu dłoń.

- Dziękuję panu.

Drzwi zamknęły się za nim łagodnie.

W tej samej chwili Jupiter popatrzył w dół z rozdziawionymi ze zdumienia ustami. Jednocześnie poczuł w całym ciele dziwny dreszcz.

Zobaczył, że trzyma w ręku odciętą równiutko dłoń pana Shelby'ego!

Rozdział 5

Kłopoty czekają na dole

- O rany! - jęknął Jupiter, wpatrując się przerażonym wzrokiem w dłoń Shelby'ego. Miała cielistą barwę i wyglądała na prawdziwą. Była nawet miękka i ciepła!

Tego było za wiele, nawet na tak zrównoważonego chłopaka jak on. Sapnął ciężko i upuścił dłoń na ziemię.

Zaalarmowani wydawanymi przez niego odgłosami chłopcy odwrócili się.

- Do ciężkiej Anielki, co to takiego? - wrzasnął Pete.

- A niech to gęś kopnie! - powiedział Bob, przyglądając się leżącej na ziemi dłoni. - Kawalek ręki!

Jupiter odzyskał zdolność mówienia.

- Tto ddłoń ppana Shelby'ego. Odpppadła, kiedy się z nim zegggnąłem!

- Co ty wygadujesz? - spytał Pete.

- Odpadła - powtórzył głucho Jupiter. - Zupełnie nie wiem jak.

Z wnętrza domu doszedł ich uszu głośny śmiech, który stopniowo przeszedł w urywane, zduszone łkanie, przypominające napad okropnego kaszlu.

Jupiter zaczerwienił się.

- Chłopaki, ale ze mnie osioł. Zapomniałem, że mamy do czynienia z takim wytrawnym kawalarzem.

Schylił się po leżącą przed nim dłoń i wyciągnął ją w kierunku swoich kolegów. Pete odsunął się, kręcąc głową, ale Bob wziął ją do ręki.

- Ona naprawdę robi wrażenie, jakby była żywa - powiedział. - Może pan Shelby nosi protezę, która przypadkiem mu odpadła, kiedy ściskaliście sobie ręce.

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie słyszałeś, jak rechotał przed chwilą? Nie, to jeszcze jeden z jego dowcipów. Prosta sprawa. Zabawny sposób straszenia ludzi.

- Chyba tak - powiedział z przekąsem Pete. - Bardzo zabawny. Chodźmy stąd, zanim wymyśli coś jeszcze bardziej śmiesznego.

Bob rzucił sztuczną dłoń na trawnik. Cała trójka zrobiła w tył zwrot i popędziła do bramy.

- Pamiętajcie o tej pułapce! - krzyknął Pete.

Chłopcy ominęli ukrytą w kwiatach klatkę, obiegając ją bokiem. Zwolnili dopiero tuż przed zamkniętą bramą, która bezszelestnie otworzyła się, torując im drogę na ulicę.

- Te jego figle nie są nawet takie złe - powiedział Bob, kiedy biegli ulicą. - W każdym razie nie próbował przyciąć nas w tej bramie przy wyjściu.

- Nie zatrzymujmy się jeszcze - sapnął Pete. - Będzie czas na podziękowania, kiedy znajdziemy się w odpowiedniej odległości. Zdyszani od biegu chłopcy zatrzymali się wreszcie.

- I co teraz? - zapytał Bob. - Czekamy na Hansa, żeby nas zabrał do domu?

- Proponuję, żebyśmy wrócili biegiem do Rocky Beach - powiedział Pete. - Tych trzydzieści parę kilometrów to pestka, jeżeli się weźmie pod uwagę, o ile bezpieczniej jest u nas niż w tej zatraconej dziurze.

Jupiter zabrał się do skubania dolnej wargi. Jakby od niechcienia spojrzął na zegarek.

- Mamy jeszcze trochę czasu. Co byście powiedzieli na to, żeby rzucić tak jeszcze okiem na tę jaskinię przed powrotem do domu?

Pete popatrzył w kierunku krawędzi urwiska.

- Masz na myśli tę, do której prawdopodobnie schował się smok pana Allena? Odpowiem ci krótko. Zapomnij o niej, Jupe.

Jupiter przyjął to oświadczenie skinieniem głowy.

- A ty, Bob, co o tym myślisz?

- To samo, co i Pete - odparł Bob. - A poza tym, słyszałeś chyba, jak pan Shelby mówił, że jest tam niebezpiecznie? Nie mam pojęcia, co mogłoby nam grozić ze strony smoka, ale wcale nie mam ochoty znaleźć się pod zwałami ziemi.

Jupiter zaczął iść do krawędzi skarpy. Znalazłszy się nad stromym urwiskiem, położył rękę na starej, spłowiałej od wichru i deszczu poręczy, biegnącej w dół wzdłuż stromych schodków.

- Proponuję, żebyśmy rzucili tylko na nią okiem - powiedział. - Dzięki temu będziemy mieli po powrocie do domu lepszy obraz wszystkiego, z czym musimy się zmierzyć.

Wraz z ostatnim słowem zrobił krok w dół i w chwilę potem znikł zupełnie z pola widzenia.

Pete popatrzył na Boba.

- Jak on to robi, że udaje mu się zawsze nas przegłosować? Jeden głos przeciwko dwóm...

Bob wzruszył ramionami.

- Jest po prostu bardziej uparty niż my obaj. Ty i ja jesteśmy prawdopodobnie delikatniejsi.

- Tak, tak - mruknął Pete. - Dużo z tego mamy. Chodź, zejdźmy lepiej za nim, nie czekając, aż pan Shelby poczęstuje nas jakąś rakieta własnej konstrukcji. Albo ten Carter z przeciwka dojdzie do wniosku, że powinien potrenować strzelanie do żywego celu.

Wygłosiwszy to przemówienie, Pete sięgnął do poręczy i zaczął schodzić w dół. Bob ruszył tuż za nim. Stopnie były wąskie i stare. Ułożone blisko siebie, tworzyły strome zejście na plażę. Zbiegając w dół, Pete i Bob trzymali się początkowo poręczy. Potem, nabrawszy rozpędu i zaufania do własnej zręczności, dotykali jej tylko co parę stopni.

Słyszając stukot coraz szybszych kroków, Jupiter wyczuł, co się święci. Obejrzał się i uśmiechnął się do siebie. Jego koledzy gnali w dół, jakby brali udział w wyścigu.

Jupiter nie był tak zwinny jak oni, ale i jego stać było w razie potrzeby na niezły wysiłek. Przyspieszył kroku, starając się ująć pogoni.

Miał jeszcze do pokonania może piętnaście stopni, kiedy poczuł, że zaczyna się dziać coś dziwnego.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, jeden ze stopni załamał się pod nim. Siłą bezwładności jego ciało poleciało w dół. Także następny stopień zatrzeszczał groźnie i pękł. Pragnąc wyhamować upadek, Jupiter uchwycił się poręczy.

Poczuł, że nadwerężona ze starości żerdź odłamuje się pod ciężarem jego ciała. W chwilę potem z wrzaskiem poszybował w kierunku plaży.

Biegający tuż za nim Bob i Pete usłyszeli jego krzyk za późno. Pozostała do przebycia część schodów zaczęła załamywać się pod nimi, jakby były z kartonu. Jedynym ratunkiem było uchwycenie się poręczy powyżej wyrwanego przez Jupitera fragmentu. Obaj rzucili się wściekle ku niej.

Także ona została im w ręku.

Pozbawieni oparcia, osunęli się bezwładnie w dół. Połamane kawałki poręczy z hałasem staczały się za ich plecami.

Mózg Jupitera pracował w czasie upadku niczym najszybszy procesor. W ułamku sekundy przed wylądowaniem przeleciały mu przez głowę dwa ostre jak świder pytania.

Czy to, co się właśnie wydarzyło, było przypadkowe?

Czy też ktoś zadbał, aby wyłączyć Trzech Detektywów z dochodzenia tajemnicy smoka, buszującego po plaży?

Tylko na tyle wystarczyło czasu, potrzebnego do zetknięcia się z ziemią.

W chwilę potem z ogłuszającą siłą wyrznął o plażę. Tuż obok jego głowy zwały się ciała jego przyjaciół i kawałki połamanych listew i żerdzi.

Poczuł, że ciemniej mu w oczach!

Rozdział 6

W pułapce!

- Jupe, nic ci nie jest?

Jupiter zamrugał oczami i otworzył je. Zobaczył rysujące się mgliście, rozmazane twarze Pete'a i Boba.

Odchrząknął i wyprostował się do pozycji siedzącej. Poczuł, że ma na twarzy mnóstwo piasku, i zabrał się do zmiatania go palcami obu rąk.

- Jasne, że nie - powiedział w końcu. - Co nie znaczy, że dobrze mi zrobiło lądowanie was obu na moich plecach, i to jednocześnie. Nie dość, że nie mogłem złapać oddechu, to jeszcze zakopałem się twarzą w piasku.

Pete uśmiechnął się do Boba.

- Rzeczywiście, nic mu się nie stało. Może mówić.

- Nie jestem głuchy - odparł Bob. - No i jak zwykle, stara się zwalić całą winę na nas. Jeżeli dobrze pamiętam, schodki i poręcz załamały się najpierw pod nim. Więc co mieliśmy zrobić? Przefrunąć nad nim w powietrzu?

Jupiter ociężale podniósł się na nogi. W pierwszym odruchu odrzucił nogą rozrzucone beładnie odłamki poręczy, po chwili jednak schylił się po jeden z nich i zaczął mu się przyglądać. W chwilę potem podniósł jeszcze jeden i porównał go z poprzednim. Kiwnął głową, jakby na potwierdzenie swych domysłów.

- Masz rację, Bob - powiedział. - Rzeczywiście, te stopnie zaczęły się załamywać pod moim ciężarem. Ale mam powody do przypuszczeń, że ktoś mi w tym pomógł. Te stopnie zostały wcześniej nadcięte, na tyle przynajmniej, aby mogły ustąpić pod najlżejszym naciskiem.

Wyciągnął oba odłamki w kierunku swych kolegów.

- Jak widzicie, od góry drzazgi są nierówne, jak po zwykłym złamaniu. Zauważyliście, jakie te brzegi są postrzępione? Ale od dołu ślady po złamaniu nie są już takie wyraźne. Wyglądają tak, jakby przed naszym przyjściem ktoś nadpiłował lekko te schodki.

Bob i Pete przyjrzeni się odłamkom.

- Może masz rację - przyznał Bob. - Ale kto mógł wiedzieć, że będziemy tędy schodzić na dół?

- No właśnie - włączył się Pete. - Przecież to był twój pomysł, Jupe. Gdybyśmy postanowili nie schodzić na dół, wypadek mógł się przydarzyć komuś innemu z tej okolicy. Jak dotąd rozmawialiśmy tylko z panem Carterem, panem Allenem i panem Shelbym. A z tych schodów korzysta z pewnością wiele innych osób.

Stwierdziwszy to, Pete wyciągnął rękę wzdłuż plaży.

- Patrzcie, jak daleko stąd do następnych schodków. A te kolejne są jeszcze dalej. Z pewnością ktoś mógłby wybrać właśnie tę drogę, żeby zejść na plażę.

Z ciężkim westchnieniem Jupiter odrzucił połamane kawałki.

- Nie mamy wyposażenia, żeby stwierdzić bez żadnej wątpliwości, czy te poręcze i schodki zostały rzeczywiście nadpiłowane, czy też nie. Być może wyciągnąłem fałszywe wnioski.

Pete i Bob popatrzyli po sobie. Rzadko zdarzało się, aby Jupiter przyznawał się do tego, że mógł popełnić jakiś błąd.

Jupiter przybrał zdecydowaną minę.

- Jak by nie było - powiedział - ten wypadek na schodkach nie powinien zbić nas z tropu. Zeszliśmy tu głównie po to, aby zbadać plażę i rzucić okiem na jaskinię w poszukiwaniu śladów tego smoka. Zabieramy się do roboty.

Nie oglądając się za siebie, Jupiter ruszył w kierunku oceanu.

- Najpierw zobaczymy, czy nie ma śladów wychodzących z wody i prowadzących do jaskini. To coś, co widział pan Allen, przebyło taką właśnie drogę.

Bob i Pete poszli za nim. Cała trójka zaczęła powoli przemierzać piaszczyste wybrzeże. Plaża, jak okiem sięgnąć, wydawała się opuszczona. Z góry dochodziły tylko ochryple wrzaski mew, szybujących bezładnie we wszystkich kierunkach.

Pete wyciągnął rękę w kierunku jednej z nich, która wylądowała właśnie na brzegu.

- Może powinniśmy spytać ją, czy nie widziała tu ostatnio smoka. Zaoszczędzilibyśmy sobie mnóstwa kłopotów.

- Niezły pomysł - przytaknął Bob. - A gdyby nie chciała mówić, o jakieś dwa kilometry od brzegu widać holownik z wyposażeniem ratowniczym.

Mówiąc to wskazał ręką ciężko i niezgrabnie wyglądający stateczek.

- Nie robią wrażenia, że im się spieszy. Może i oni polują na smoka?

Jupiter spojrzał w tamtą stronę i potrząsnął głową.

- Nie zwracajmy sobie głowy jakimiś holownikami, które w dodatku pływają daleko od brzegu. Musimy skoncentrować się na tym kawałku plaży wokół nas. Gdzieś tu powinniśmy znaleźć jakieś ślady - stwierdził, przeciągając wzrokiem od widocznego w oddaleniu wlotu jaskini do linii zmoczonego nadbiegającymi bezustannie falami brzegu. - Proponuję, żebyśmy rozciągnęli się trochę.

Chłopcy rozeszli się i zaczęli posuwać się wolno piaszczystym pasem, wpatrując się uważnie pod nogi.

- Widzę tu tylko mnóstwo wyrzuconych przez wodę wodorostów - powiedział Bob.

- Ja też - odezwał się Pete. - Do tego trochę muszelek i jakichś odłamków drewna.

Bob zaczął w końcu kręcić głową.

- Nie ma tu żadnych śladów, Jupe. Może zmył je przyływ?

Jupiter zagryzł w zamyśleniu wargi.

- Może i tak, tu, blisko wody. Ale zostaje jeszcze mnóstwo suchego piasku od strony jaskini, na którym powinny zachować się ślady. Podejdźmy w tamtym kierunku.

- Naprawdę musimy tam chodzić? - spytał Pete. - A jeśli ten smok jest tam rzeczywiście? Czy mamy go pokonać gołymi rękami?

- Ależ, Pete, nie sędzę, abyśmy mieli z czymś czy z kimś walczyć - powiedział Jupe. - Zbliżymy się tylko ostrożnie do wlotu jaskini. I nie będziemy wchodzić do środka, jeżeli nie upewnimy się, że niczym to nie grozi.

Pete spochmurniał nagle. A potem przykucnął i wziął do ręki długi kawał jakiegoś drewna, przyniesionego przez wodę.

- Nie wiem, do czego mi się to przyda. Będę jednak czuł się dużo pewniej, mając w rękach taką maczugę.

Także Bob schylił się po leżący na piasku kawał drewna, który okazał się wiosłem z odłamanym piórem.

- Wiesz, Pete, dobrze, żeś o tym pomyślał. Przypomniały mi się obrazki ze świętym Jerzym i smokiem. Ale on nie używał jakichś odłamków wyrzuconych przez przypływ. Był bardziej rozgarnięty niż my. Trzymał w ręku piękny, długi miecz.

Wywinął na próbę odłamkiem wiosła, a potem spojrzął na Jupitera.

- A ty, Jupe, nie poszukasz sobie jakiejś broni? Możemy pójść po te połamane kawałki poręczy, jeśli masz ochotę. Zauważyłem, że z niektórych wystawały nawet gwoździe. Całkiem długie i mocne.

Jupiter uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Myślę, że nie zaszkodzi mieć coś w ręku.

Z tymi słowami pochylił się i podniósł jakąś długą i moką drewnianą deskę. Założył ją na ramię i spojrzął na swych przyjaciół.

Bob i Pete uśmiechnęli się niezdecydowanie. A potem, przybierając rezolutne miny, trzech chłopcy ruszyli z drżącymi sercami w stronę ciemnego otworu w ścianie urwiska.

Przekroczyli leciutkie wzniesienie w pobliżu linii wody i zagłębili się w piasek, przepatrując każdy jego skrawek. Nagle Jupiter zatrzymał się. W jego oczach pojawiły się radosne błyski.

- Coś ty znalazłem - powiedział cicho.

Bob i Pete popatrzyli w jego stronę. W miękkim, luźno osypującym się piasku widać było wyraźne wgłębienia.

- To jakiś smok zupełnie nowego typu - odezwał się Bob. - Wygląda to tak, jakby przejeżdżał tędy na kółkach.

Jupiter skinął potakująco głową, a potem rozejrzał się po plaży.

- Nie widać nic podejrzanego. Ale te ślady wyglądają rzeczywiście tak, jakby zostawił je jakiś pojazd. Może samochód do jazdy po wydmach. Czasami służby ratownicze do patrolowania dłuższych odcinków wybrzeża, takich, jak tutaj, używają dżipów albo lekkich samochodów do jeżdżenia po piasku.

- Możliwe - powiedział Bob. - Ale gdyby te ślady zostawił patrol, powinny prowadzić z południa na północ, tak jak ciągnie się wybrzeże. A one kierują się w stronę jaskini.

- Masz rację - stwierdził Jupiter, a potem rzucił się na kolana i zaczął przyglądać się zagłębieniom.

Bob obejrzał się z chmurną miną w kierunku oceanu.

- Nic nie rozumiem. Jeżeli widać ślady tutaj, to dlaczego nie ma ich bliżej wody?

- Przypuszczam, że mógł je zmyć silny prąd przyływu i duże, załamujące się fale - odparł Jupiter.

Pete wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- A ja przypuszczam, że oczy starego pana Allena nie zasługują na bezgraniczne zaufanie. To, co on naprawdę zobaczył, nie było prawdopodobnie żadnym smokiem, ale zwykłym dżipem czy innym pojazdem.

- Możliwe - odpowiedział mu Jupiter. - Przekonamy się o tym dopiero po wejściu do jaskini.

Ślady znikły zupełnie w odległości około dziesięciu metrów od wejścia do jaskini.

Chłopcy popatrzyli po sobie.

- Jeszcze jedna zagadka - powiedział Pete.

W chwilę potem znaleźli się u wlotu jaskini. Wydawało się, że jej wnętrze jest puste.

- To wejście jest tak duże, że można by wjechać do środka autokarem - stwierdził Bob.
- Zajrzę do środka, żeby zobaczyć, jak daleko sięga ona w głąb ziemi.

Jupiter przebiegł wzrokiem po wnętrzu jaskini.

- Dobrze, Bob. Ale nie oddalaj się poza zasięg głosu. Pete i ja dołączymy do ciebie, jak tylko obejrzymy wejście pod kątem ewentualnych śladów.

Bob machnął swą podobną do włóczni bronią i zagłębił się we wnętrzu.

- Co on się zrobił nagle taki odważny? - zapytał Pete.

Jupiter odpowiedział mu uśmiechem.

- Myślę, że wszystkim nam przybyło odwagi, jak tylko stwierdziliśmy, że te ślady pochodzą od jakiegoś pojazdu raczej niż od smoka czy innego fantastycznego potwora.

Wyciągnął szyję, jakby nasłuchując odgłosów z wnętrza.

- Być może z odbicia głosu Boba można się będzie zorientować, jak wielka jest ta jaskinia. Spróbuję go zawołać. Bob - krzyknął głośniej - co tam u ciebie?

Pete także nachylił głowę, jakby chciał lepiej usłyszeć odpowiedź Boba. Ich uszu dosięgnął jednocześnie dziwny odgłos. Coś w rodzaju ciężkiego kłapnięcia.

W chwilę potem usłyszeli głos przyjaciela. Był cienki i ledwo słyszalny. Doszło ich jedno tylko słowo, które wystarczyło jednak, aby napelnić ich przerażeniem.

- Ratunku!

Rozdział 7

Tajemnicze ostrzeżenie

Wpatrując się w mroczną czeluść jaskini, Jupiter i Pete usłyszeli znowu krzyk Boba.

- Ratunku! Na pomoc!

- Bob ma jakieś kłopoty! - wykrzyknął Pete. - Idziemy!

Najsilniejszy, najbardziej umięśniony z całej trójki Pete rzucił się do wnętrza. Jupiter starał się dotrzymać mu kroku.

- Pete, nie pędź tak szybko - syknął Jupiter. - On nie mógł odejść daleko, a my musimy uważać, żeby...

Nie dokończył. Wyrznął nagle w jakąś twardą przeszkodę niewidoczną w ciemności. Czując, że traci oddech, upadł na kolana.

Jego uszu doszedł głos Pete'a.

- Jupe, nie idź dalej! Znalazłem go!

- Gdzie jesteś, Pete? Nic nie widzę.

Zamrugnął parę razy i po chwili jego oczy dostosowały się do mroku jaskini. Zobaczył, że Pete czai się tuż przed nim na czworakach.

- Wpadł do jakiejś dziury - powiedział Pete. - Na szczęście zatrzymałem się tuż nad nią.

- Nic nie widzę - odpowiedział Jupiter, usiłujący dojrzeć coś spoza jego pleców. - Bob - zawołał głośniejszym głosem. - Gdzie jesteś?

Aż podskoczył, usłyszawszy głos kolegi tuż obok.

- Tu, na dole! - krzyknął Bob. - Wpadłem do jakiejś studzienki. Zdaje mi się, że coś mnie wciąga głębiej!

- O rany! - wykrzyknął Pete. - Ruchome piaski!

- Niemożliwe - odparł Jupiter. - Ruchome piaski spotyka się zwykle w tropikach.

Obmacując dłońmi dno jaskini, przeczłagał się obok Pete'a.

- Nadal nie mogę go dostrzec. Bob, widzisz nas?

- Tak, jestem prawie dokładnie pod wami.

Jupiter rozciągnął się plackiem koło zagłębienia i zanurzył w nim wyciągniętą rękę.

- Bob, sięgnij do góry i złap mnie za rękę. Wyciągniemy cię stamtąd. Z zagłębienia doszedł ich odgłos głuchego pluśnięcia.

- Nnnie mogę! - odpowiedział po chwili Bob. - Jak tylko robię jakiś ruch, zapadam się coraz głębiej!

- Podaj nam tę twoją dzidę. Złamane wiosło, które miałeś w rękę - zaproponował Pete.

- Wyciągniemy cię migiem.

- Nie mam go - jęknął rozpaczliwie Bob. - Zgubiłem je, wpadając tutaj.

Pete rzucił okiem na swój odłamek, znaleziony na plaży.

- To, co ja mam, jest za cienkie. Nie utrzyma cię.

Jupiter zaczął ostrożnie obchodzić zagłębienie.

- Trzymaj się Bob - powiedział. - Próbuję obejść tę studnię, żeby się zorientować w jej rozmiarach.

Ostrożnie obmacując teren zaczął pełznąć na czworakach.

- Prędejj! - krzyknął Bob. - Nie czas na robienie pomiarów!

- Muszę to zrobić - odparł Jupiter. - To jedyny sposób na wydostanie cię stamtąd.

Podpierając się rękami i kolanami, ruszył w ciemności. Ale choć starał się poruszać bardzo uważnie, do studni wpadło trochę piasku i ziemi.

- Uważaj! - wrzasnął Bob. - Spowodujesz obsunięcie ziemi!

- Przepraszam - powiedział Jupiter. - To tylko luźne kawałki, które osypują się z krawędzi.

W chwilę potem zatoczył pełne koło i znalazł się znowu obok Pete'a.

- Myślę, że powinno się udać - powiedział, a potem pochylił się nad ciemnym otworem. - Bob, powiedz nam, czy czujesz dno pod nogami?

Ze studni doszły ich jakieś głuchoe dźwięki. A potem odgłos jakby prychania czy spluwania.

- Jeszcze nie - powiedział rozdrażnionym głosem Bob. - Ale zanim moi genialni koledzy znajdą sposób na wyciągnięcie mnie stąd, na pewno do niego dotrę.

- Wiesz co, Juve? - powiedział Pete. - Gdybyś przytrzymał mnie za nogi, mógłbym do niego sięgnąć. Nie ma czasu na fantazjowanie.

Jupiter pokręcił głową.

- Myślę, że możemy wykorzystać tę moją deskę. Ale nie do wyciągnięcia go wprost, bo ten piaszczysty grunt nie da nam wystarczającego oparcia. Ale ta decha jest dość długa, aby sięgnąć przez całą szerokość studni. Zaklinujemy ją po obu stronach.

- I co nam to da? - spytał Pete. - Bob i tak nie sięgnie do niej.

- Będzie mógł dosięgnąć jej, jeśli zaklinujemy ją pod odpowiednim kątem. Myślę, że możemy wbić jeden koniec tam, z drugiej strony.

Pete przyjrzał się cienkiej listwie. A potem skinął potakująco głową.

- Warto spróbować. Jeżeli tylko nie złamie się pod jego ciężarem.

Jupiter pochylił się nad otworem.

- Będziemy próbowali wbić tę listwę nad twoją głową, Bob - wyjaśnił. - Będziesz musiał sprawdzić, czy jest wystarczająco zaklinowana, żeby cię utrzymać. Bo jeśli się ześliznie, stracimy nie tylko ją, ale i ciebie.

- Dziękuję wam, chłopaki - odpowiedział Bob. - Ale pośpieszcie się. Zdaje mi się, że znowu zapadłem się o parę centymetrów.

Jupiter przeczołgał się na drugą stronę studni. Pochylił się nad otworem i zaczął wysuwać ukośnie listwę.

- Deska już do ciebie jedzie - poinformował Boba. - Powiedz mi, czy ją widzisz. Za chwilę powinna przesunąć się nad twoją głową.

Leżąc na brzuchu, centymetr po centymetrze wsuwał listwę do czarnej dziury. Wreszcie usłyszał głos Boba.

- Widzę ją - krzyknął uwięziony. - Ale nie mogę jej dosięgnąć. Jest za wysoko!

- Zaraz ją obniżę - powiedział Jupiter. - Staram się znaleźć najlepszy kąt, pod którym trzeba ją umieścić.

Przesunął listwę o kilka kolejnych centymetrów.

- Tak jest dobrze - zawołał Bob. - Zdaje się, że będzie pasować w sam raz. Jeszcze trochę.

Deska zatrzymała się. W chwilę potem Bob usłyszał dochodzący z góry dziwny szmer, jakby szurania czy tarcia.

- Jupe, nie poddawaj się. Co cię tam wstrzymuje?

Odpowiedział mu chrapliwy głos Jupitera.

- Wysunąłem się za daleko! Zaraz sam chyba wpadnę!

- O rany, tylko nie to! - jęknął Pete, a potem poderwał się na nogi i pobiegł na drugą stronę studni.

Jupiter przebierał rozpaczliwie nogami, próbując znaleźć jakieś oparcie w niepewnym gruncie. Jego tułów ześliznął się już w głąb ciemnej studni. Pod jego ciężarem ziemia osypywała się w dół.

Pete rzucił się do przodu i całym ciałem przygniótł nogi Jupitera do dna jaskini. Potem sięgnął do paska od jego spodni i pociągnął do tyłu.

- Spokojnie, Jupe - stęknął zdyszczanym głosem. - Trzymam cię.

W chwilę potem Jupiter przestał się zapadać.

- Dzięki, Pete - powiedział ciężko dysząc. - Gdybyś mógł utrzymać mnie w tej pozycji przez parę sekund, umocowałbym porządnie tę deskę.

Z dołu odezwało się radosne wołanie Boba.

- Jupe, udało ci się!

- W porządku, Bob. Ja i Pete będziemy teraz starali się zaklinować deskę z tej strony. A potem będziesz musiał sam podciągnąć się wzdłuż niej na rękach. Dosięgniesz jej?

Odpowiedź przyszła po krótkiej pauzie.

- Mam ją!

- Dobra, Bob - powiedział Jupiter. - No to wal!

- Przyjąłem! - krzyknął Bob.

Rozległo się ostrzegawcze skrzypienie. Listwa zakołysała się.

- No, wyłaź! - wrzasnął Pete.

Jupiter z całych sił starał się przytrzymać kołyszącą się pod ciężarem kolegi deskę.

- Ona może się złamać - szepnął do Pete'a. - Bądź gotów, żeby go uchwycić.

Ze studni dochodziło ciężkie sapanie ich przyjaciela.

- W porządku - sieknął Bob. - Jestem na górze. Co teraz?

Pete pochylił się nad studnią.

- Bob, złap mnie za rękę.

Bob błyskawicznie wysunął dłoń w kierunku ręki Pete'a. Na krótką chwilę obie dłonie zwarły się w mocnym uścisku. A potem dłoń Boba wysliznęła się. Chłopiec zaczął gorączkowo łapać się mokrej listwy.

- Słuchaj, Jupe, łatwiej by było utrzymać ubłocone prosię niż jego - poźalił się Pete. - Może ty spróbujesz?

Jupiter potrząsnął głową.

- Wątpię, czy mnie poszłoby lepiej niż tobie. Musimy złapać go obaj jednocześnie.

Uwieszony kołyszącej się listwy, Bob popatrzył na nich z dołu.

- Do ciężkiej Anielki, skończycie wreszcie te konferencje i wydostaniecie mnie stąd? Mam na sobie tyle błota, że sam nie zdołam się podciągnąć. W dodatku ślizgają mi się ręce...

Jupe rozejrzał się po jaskini.

- Potrzebujemy kawałka jakiejś linki - powiedział. - Czegoś, co moglibyśmy okręcić dookoła niego.

- Nie ma tu żadnej linki - mruknął Pete. - No i nie mamy już czasu na szukanie czegoś takiego. Brakuje nam paru centymetrów. Musi być jakiś sposób...

Nagle oczy Jupitera rozjaśniły się.

- Mam!

Błyskawicznie sięgnął do sprzączki swego paska od spodni. Odpiął go i wyciągnął ze szlufek. Z otwartymi ustami Pete przyglądał się, jak Jupiter przeciąga koniec paska przez klamerkę, robiąc w ten sposób niewielką pętlę.

Z dyndającym w rękę paskiem Jupiter pochylił się znowu nad studnią.

- Słuchaj, Bob, zrobiłem z mojego paska matą pętlę. Kiedy ją opuszczę, postaraj się włożyć w nią rękę. Powinna zacisnąć się pod twoim ciężarem. A potem wyciągniemy cię razem na górę.

Powoli zaczął opuszczać pasek w ciemną czeluść, zapierając się o dno jaskini w oczekiwaniu szarpnięcia z dołu.

- Mam ją! - wrzasnął Bob. - Ciągnij!

Jupiter odetchnął z ulgą. Pete uśmiechnął się szeroko i wyciągnął rękę, aby uchwycić koniec paska. A potem obaj odchylił się do tyłu i pociągnęli.

Z ciemnego wylotu studni zaczął wydstawać się powoli jakiś czarny i mokry kształt, pokryty mułem i szlamem.

Rozdział 8

Wymuszony odwrót

Ciężko dysząc, przemoczona postać zwała się na dno jaskini.

- Dzięki, chłopaki.

- To był pomysł Jupitera - powiedział Pete, spoglądając ze smutkiem na swój własny brzuch. - Ja też noszę spodnie na pasku. Ale nigdy nie przyszłoby mi do głowy, żeby wykorzystać go do czegoś innego.

- Może dlatego, że jesteś szczupły i twój pasek jest krótszy od mojego - powiedział z uśmiechem Jupiter.

Bob zaczął ocierać twarz z błota.

- Pomysł okazał się w każdym razie skuteczny. Wiesz, Jupe, już nigdy nie będę was nabierał na temat mojej nadwagi - powiedział, a potem obejrzał się w kierunku studni. - Pomyśleć tylko, że mogłem siedzieć do tej pory, albo i dłużej - dodał z drżeniem w głosie.

- Wszystko dobre, co się dobrze kończy - stwierdził Pete. - Co teraz robimy?

- Wracamy do domu - powiedział stanowczo Jupiter. - Bob cały się zamoczył i musi zmienić ubranie. Przykro mi z powodu tego incydentu. To moja wina, bo uparłem się, żebyśmy badali tę jaskinię bez latarek.

- Pomysł nie był taki zły - powiedział Bob. - Ale głupotą było z mojej strony pędzić tak na oślep, nie będąc pewnym terenu.

Jupiter zmarszczył brwi.

- To dziwne, że taka niebezpieczna dziura znajduje się u samego wejścia do jaskini. Myślę, że powstrzymuje ona wielu ciekawskich od zapuszczenia się w głąb.

- No wiesz - uśmiechnął się niepewnie Bob - myślę, że jeżeli ci ciekawscy rozumowaliby tak jak ja, mogłaby służyć do zatrzymywania ich w środku!

- O rany - odezwał się Pete z odcieniem z troskaniem w głosie. - Może to właśnie przytrafiło się psu pana Allena i wszystkim pozostałym. Mogły wpaść do tej dziury, która wessała je głębiej.

Jupiter kiwnął głową.

- Całkiem możliwe. Ale szukaliśmy przecież śladów i nie znaleźliśmy nic.

- Och! - zawołał Pete. - Przecież tylko po to tu przyszliśmy, no nie? - zapytał rozglądając się szybko po ścianach jaskini. Wiecie co, chodźmy stąd, dopóki nic nam nie odcięło powrotnej drogi. To jest naprawdę przerażające miejsce.

Cała trójka w absolutnej zgodzie pospieszyła do wyjścia.

Już na zewnątrz Jupiter obejrzał się.

- Ciekawy jestem, jak daleko ciągnie się ta jaskinia - powiedział w zamyśleniu. - Powiedziano nam, że w przeszłości korzystali z niej przemytnicy.

- Rzeczywiście - stwierdził Pete. - Co masz na myśli?

- Ten fragment, w którym byliśmy, nie nadawał się chyba do ukrywania towarów. Był za bardzo otwarty, no i zbyt łatwo było się tam dostać.

- Może są tam jeszcze inne korytarze - powiedział Bob. - Czasami zdarza się, że woda wymywa miększe skały. Może to trwać nawet parę milionów lat. Dawno temu ten teren mógł znajdować się pod wodą. A jeśli tak, to w środku może być całe mnóstwo takich naturalnych korytarzy.

- Możliwe - zgodził się Jupiter - ale nie mamy teraz czasu na zbadanie tej sprawy. Musimy odłożyć to na inną okazję.

- Mnie to odpowiada - stwierdził z zadowoloną miną Pete. - Nie mam nic przeciwko temu, żebyśmy dziś poprzestali już na tym. Wystarczająco się wystraszyłem.

- To już ustaliliśmy - powiedział Jupiter. - Problem w tym, że mamy chyba przed sobą jeszcze jeden kłopot.

- O czym ty mówisz? - zapytał Pete.

Jupiter wyciągnął rękę w kierunku oceanu. Jego koledzy zwrócili głowy w tę stronę i zaczęli przecierać ze zdumienia oczy.

Zobaczyli jakiś ciemny, połyskujący kształt wyłaniający się z wody.

- Nie mam pojęcia, co to może być - szepnął Bob.

- Ma jakąś małą, ciemną głowę... całkiem jak smok - powiedział drżącym głosem Pete.

Koło brzegu pojawiła się ogromna fala. Zamajaczyła wysoko nad ciemnym kształtem, a potem załamała się nad nim, pograżając go całkowicie w spienionej wodzie.

Chłopcy z zapartym tchem wpatrywali się w kłębiące się odmęty.

Fala z hukiem zwała się na brzeg. Tuż za nią ukazała się następna. Kiedy wirując i sycząc, woda spłynęła do oceanu, ciemny kształt ukazał się znowu ich oczom.

A potem nagle uniósł się do góry. Miał gładką i ciemną skórę połyskującą aż po płetwowate kończyny. Powoli zaczął wychodzić na brzeg.

- To nurek z aparatem tlenowym - stwierdził z ulgą Pete. - W masce i z płetwami. Nie ma się czego bać. Chodźcie, idziemy.

Kiedy chłopcy się odwrócili, Jupiter szepnął cicho:

- Alarm bojowy! On ma kuszę!

Pete roześmiał się.

- I co z tego? Prawdopodobnie polował na ryby albo coś w tym rodzaju.

Jupiter potrząsnął głową.

- Idzie w tym kierunku.

Nagle mężczyzna w masce i czarnym, mokrym kombinezonie rzucił się na kolana. Wyciągnął przed siebie kuszę i zaczął składać się do strzału.

- Uważajcie! - wrzasnął Bob. - On celuje do nas!

- Co takiego? - zapytał Pete. - Po co miałyby to robić?

Pete obejrzał się ukradkiem i zbladł.

- Och, przepraszam, ale Bob ma rację! - rzucił obracając się na pięcie. - Tu przecież nie ma nikogo prócz nas!

Jupiter przyjrzał się mężczyźnie, leżącemu niespełna sto metrów od nich. Trzymał w rękach kuszę i zdawał się rzeczywiście celować w ich stronę.

Jupiter był logicznie myślącym chłopakiem, umiejącym błyskawicznie ocenić sytuację. W ułamku sekundy przeanalizował wszystko i zmarszczył brwi. Obecne położenie wymykało się jednak wszelkiej logice.

W takich razach mógł polegać jeszcze na wyrobionym instynkcie samozachowawczym.

- Alarm! - rzucił krótko. - Uciekamy stąd. Biegiem!

Trzej chłopcy pobiegli co sił w nogach ku zbawczym schodkom. Kiedy jednak znaleźli się niedaleko nich, uświadomili sobie, że nie zdadzą się im na nic. Zapomnieli w podnieceniu o wypadku, który zdarzył się im tutaj tak niedawno. Zobaczyli porozrzucane bezładnie odłamki połamanych schodków i poręczy. Za tym pobojuwiskiem wznosiła się skalna ściana, której stromość uniemożliwiała jakąkolwiek wspinaczkę.

Jupiter zerknął ku następnym schodkom. Znajdowały się zbyt daleko. Aby ich dosięgnąć, musieliby pokonać spory dystans po głębokim, miłkim piasku, który nie pozwoliłby im rozwinąć pełnej szybkości. Biegnąc po pustej plaży, staliby się łatwym celem.

Szybko ocenił położenie.

- Mamy tylko jedną możliwość - powiedział. - Szybko! Z powrotem do jaskini!

Chłopcy zrobili ostry zakręt i pognali w kierunku wejścia do jaskini. Biegli z duszą na ramieniu, oczekując w każdej chwili, że usłyszą świst zwolnionej strzały.

Lub raczej poczują, jak zagłębia się w nich śmiertelne żelazo.

Spod ich stóp fruwały w górę fontanny piasku.

- Jeszcze trochę! - rzucił zdyszany głosem Jupiter. - Do środka!

Cała trójka prawie jednocześnie zanurkowała w ciemnym otworze. W chwilę potem chłopcy na czworakach wpełzli za ogromne głazy, leżące tuż obok wejścia.

- Udało się! - mruknął Pete. - Co teraz?

- Na razie ukryjemy się tu - powiedział Jupiter, z trudem łapiąc oddech. - To da nam czas na obmyślenie jakiegoś planu.

- Może to jest odpowiedni moment na poszukanie tych wewnętrznych korytarzy - powiedział Bob.

Jupiter przytaknął. Jego policzki aż poróżwiały z podniecenia.

- Załatwione, Bob. Ale poczekamy na jakiś ruch z jego strony. Jeśli zacznie się tu zbliżać, znajdziemy się w położeniu wymagającym natychmiastowych działań, takich, jak wycofanie się w głąb tej jaskini.

Pete wyjrzał na dwór spoza pleców Jupitera.

- Musimy to zrobić, Jupe - powiedział pełnym napięcia głosem. - On tu idzie!

- A niech to! - krzyknął Bob. - I co zrobimy? Nie mam ochoty lądować znowu w tym dołku!

Jupiter oparł się plecami o ścianę jaskini.

- Patrzcie! - wykrzyknął nagle.

Chłopcy zobaczyli przy ścianie coś w rodzaju drewnianego oszalowania, biegnącego pionowo ku sklepieniu jaskini.

- O, kurczę - powiedział Pete. - Jak to się stało, że nie zauważyliśmy tego przedtem?

- W takich ciemnościach? Nic dziwnego - odparł Jupiter, a potem postukał w oszalowanie palcami. Odpowiedział mu głuchy odgłos. - To musi być ukryte przejście - powiedział, a następnie przywarł do najbliższych desek. - Zdaje się, że są zamocowane dość luźno. Będzie można je poruszyć. Pete, wyjrzyj jeszcze raz na dwór. Zobacz, czy ten nurek ciągle tu idzie.

Pete wysunął głowę zza głazu i szybko schował ją z powrotem.

- Mamy teraz podwójny problem - powiedział roztrzęsionym głosem. - Jest ich dwóch!

Jupiter nachmurzył się.

- Dwóch? W takim razie musimy zabrać się do roboty. Pomóżcie mi przy tych deskach.

Całą trójką zaczęli zmagać się z grubym oszalowaniem.

- To bez sensu - stwierdził Bob. - Te dechy są zaklinowane zbyt porządnie.

Jupiter nieustępliwie pokręcił głową.

- Musi być jakiś sposób - powiedział, a w chwilę potem stuknął się w czoło. - No jasne! Ale głupek ze mnie.

Zaczął energicznie odgarniać nogą piasek zakrywający dolną część szalunku.

- Musimy tylko odkopać tu trochę piasku. I odrzucić go na bok. W ten sposób poluzujemy te deski.

W jednej chwili wszyscy trzej rzucili się na kolana i zabrali się do odgarniania piasku. Przysypana nim do połowy szeroka listwa poruszyła się.

- Tak, to jest to - powiedział Jupiter. - A teraz spróbujmy odgiąć ją na tyle, żebyśmy mogli się prześliznąć na drugą stronę.

Pozbawiona oparcia listwa poddała się z łatwością. Bob i Pete w jednej chwili prześliznęli się do środka. Przyszła kolej na Jupitera, który zaparł się stopami i ze wszystkich sił zaczął wciskać się w wąską szczelinę.

- Och, nie mogę - sapał ciężko. - Ciągłe jestem... za gruby!

Bob i Pete rzucili się do odgarniania piasku z drugiej strony. Deska odchyliła się trochę więcej i Jupiter przecisnął się wreszcie na drugą stronę.

- Trzeba zostawić szczelinę do obserwacji - szepnął.

Wspólnymi siłami przyciągnęli ciężką deskę na jej dawne miejsce, starając się, aby nie przylegała zbyt dokładnie do sąsiedniej.

Nie zdążyli nawet podnieść się z kolan, kiedy usłyszeli rozmowę. Pierwszy z nurków wszedł do jaskini i zapalił latarkę.

- Mogę się założyć, Harry, że te dzieciaki wbiegły tu do środka. Szkoda, że dałeś się przewrócić tej fali, bo musiałem na chwilę stracić ich z oczu.

- Jeżeli tu są, to zaraz ich znajdziemy - odpowiedział drugi głos. - A jeżeli ich tu nie ma, zabieramy się do roboty.

Trzej Detektywi wstrzymali oddech widząc, że pierwszy z przybyszów omiata światłem latarki ściany jaskini. Jupiter, ciągle na czworakach, przyłgnął twarzą do szczeliny między listwami.

Bob i Pete przykucnęli tuż za nim, z oczami wlepionymi w wąski prześwit.

Obaj faceci w czarnych kombinezonach odeszli w głąb jaskini. Szuranie ich pętew na piasku ucichło trochę. Gdzieś od miejsca, w którym znajdował się głęboki dół, doszedł zgrzytliwy głos drugiego z nich.

- Musiało ci się wydawać, Jack. Nikogo tu nie ma.

- Przypuszczalnie uciekli na górę po tych drugich schodkach.

Uszu chłopców dobiegło jakieś niewyraźne klapnięcie, a potem zapadła cisza. Jupiter nic już nie widział ani nie słyszał, toteż odsunął się od szczeliny. Czuł, że w nosie ma pełno piasku i kurzu. Zastanawiał się, czy jego koledzy nie mają podobnych problemów. Przypadkowe kichnięcie mogłoby się okazać tragedią.

- Żadnego kichania - szepnął. - Zakryjcie sobie nosy.

Chłopcy posłusznie poddali się jego żądaniu. Cała trójka czekała w nerwowym napięciu na dalszy rozwój wypadków. W jaskini zapanował jednak znowu mrok i cisza. W końcu Jupiter podniósł się na nogi.

- Poszli - szepnął. - Wymykamy się stąd, póki to możliwe.

Odkopali osypujący się piasek i ostrożnie odsunęli poluzowaną deskę.

- Jupe, tym razem idź pierwszy - szepnął Pete. - Jeżeli ty dasz radę się przecisnąć, to nam pójdzie tym łatwiej.

Jupiter z uśmiechem poddał się jego sugestii.

W chwilę potem przemknęli do wylotu jaskini i zaczęli nasłuchiwać. Wszędzie wokół panowała cisza. Spokojnie zasunęli deskę na miejsce i zgarnęli piasek, aby ją umocować.

Jupiter wyprostował się i spojrzął na zegarek. Poczul, że serce wali mu w piersi jak młot.

- Minęły już przeszło trzy godziny - szepnął. - Hans na pewno od dawna na nas czeka.

Rozdział 9

Posłanie od ducha

- No i co o tym myślisz? - zapytał Jupiter.

Od powrotu chłopców prowadzoną przez Hansa półciązarówką wuja Tytusa minęła już cała godzina. Bob pobiegł do domu, żeby wziąć prysznic i zmienić ubranie. W Kwaterze Głównej znajdowali się tylko Jupiter i Pete.

Pete wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie wiem, kim mogli być ci dwaj nurkowie, wiem tylko, że mieli na imię Harry i Jack. Nie wiem, dlaczego ten Harry czy Jack celował do nas z kuszy. Ani dlaczego obaj szukali nas w grocie. Nie mam pojęcia, jak i gdzie oni się rozplnęli. Nie wiem nawet, w jaki sposób udało się nam ujsć stamtąd z życiem.

Jupiter zaczął skubać dolną wargę i pokiwał potakująco głową.

- Jeżeli dodać do tego zagadkową historię z podpiłowanymi schodkami, stanie się jasne, że stoimy wobec wielu pytań, na które musimy odpowiedzieć, jeszcze zanim podejmiemy próbę rozwiązania tajemnicy zniknięcia psa pana Allena.

- Mam pewien pomysł, który powinien nam pomóc - powiedział Pete.

- Naprawdę? - Jupiter obrócił się na krześle. W jego oczach tańczyły iskierki szczerzego zainteresowania. - Gadaj.

Pete wskazał ręką stojący na biurku telefon.

- Trzeba podnieść słuchawkę i zadzwonić do pana Allena. Powiedzieć mu, że postanowiliśmy zaprzestać szukania jego psa. I że omal nie zaginęliśmy sami. A w ogóle to pragniemy jak najprędzej zapomnieć o całej sprawie.

Jupiter udał, że nie słyszy.

- Przede wszystkim - stwierdził - musimy ustalić, kim byli ci nurkowie i co robili w jaskini.

Pete gwałtownie potrząsnął głową.

- Po co właściwie zawracać sobie głowę tymi dwoma podejrzanymi typami? My też tam byliśmy, a ja dotąd nie wiem, co tam robiliśmy.

- Szukaliśmy śladów smoka, którego widział pan Allen - odparł Jupiter. - No i rozglądaliśmy się za irlandzkim selerem Korsarzem.

- Tak, ale niczego właściwie nie znaleźliśmy - stwierdził Pete. - Z wyjątkiem tej studni. Odkrytej przez Boba.

- Znaleźliśmy korytarzyk zasłonięty deskami - powiedział Jupiter. - Tam może się zaczynać jakiś ukryty tunel. Albo może jest to jedna z kryjówek, używanych w dawnych czasach przez przemytników.

- Nie widzę, do czego mogłoby się nam przydać to odkrycie - oświadczył nieustępliwie Pete. - W każdym razie nie było tam psa pana Allena.

Jupiter zmarszczył brwi.

- Ponieważ jesteśmy detektywami, musimy tam wrócić i dokładniej zbadać tę jaskinię. Nie rozumiesz tego?

Pete niechętnie skinął głową.

- Rozumiem. Zastanawia mnie tylko to, dlaczego ci nurkowie nie wpadli do dziury, którą znalazł Bob? Czy to nie dowodzi, że musieli wiedzieć o jej istnieniu i umieli ją obejść?

- Możliwe, ale mieli ze sobą latarki - powiedział Jupiter. - A jeśli chodzi o to, w jaki sposób obaj znikli tak nagle, może dowiemy się czegoś, kiedy wrócimy tam także z latarkami.

W tym momencie zadzwonił telefon. Po raz drugi tego dnia. Chłopcy wybałuszili na niego oczy.

Dzwonek odezwał się znowu.

- Odbierzmy go - powiedział Pete.

- Ja to zrobię - Jupiter sięgnął po słuchawkę. - Halo?

Pochylił się ze słuchawką do mikrofonu tak, aby rozmowę mógł usłyszeć także Pete. Ale usłyszeli tylko jakieś zgrzyty.

- Halo? Kto mówi? - powtórzył Jupiter. Odpowiedziała mu cisza.

- Ktoś wykręcił zły numer - powiedział Pete.

- Wcale tak nie sędzę - odparł Jupiter. - Posłuchaj!

W słuchawce znowu ozwały się jakieś zgrzytliwe dźwięki. Brzmiało to tak, jakby ktoś próbował ciężko łapać powietrze.

Dziwne, chrapliwe dyszenie przeszło w urywany, ludzki głos, rozbrzmiewający tak, jakby mówiącego ktoś dusił za gardło.

- Trzymaj...cie się - powiedział głos przerywanym szeptem, a potem dokończył z jakimś straszliwym, niewyobrażalnym wysiłkiem - z daleka. Trzymajcie się... z daleka.

Nastąpiła cisza przerywana ciężkim dyszeniem.

- Z daleka od czego? - zapytał Jupiter.

- Od mo...jej jaskini - powiedział głos. Po nim usłyszeli jeszcze parę chrapliwych oddechów, wreszcie zapadła cisza.

- Dlaczego? - spytał Jupiter. - Proszę powiedzieć, kto mówi?

Głos w słuchawce brzmiał teraz dziwnie głucho.

- Umarli... nie opowiadają... bajek!

Rozległo się długie, przerywane dziwną drżącą westchnienie, a potem zapadła cisza.

Jupiter odłożył słuchawkę. Przez chwilę obaj chłopcy wpatrywali się w telefon. Wreszcie Pete skoczył na równe nogi.

- Przypomniałem sobie, że dziś wieczorem kolacja ma być u nas wcześniej. Może lepiej już pójść.

Jupiter także zerwał się z krzesła.

- Ja też już wychodzę. Może ciocia Matylda będzie chciała, żebym trochę zamiótł podwórze.

Obaj chłopcy szybko opuścili przyczepę.

Bez żadnych kłopotów zrozumieli to, co powiedział im upiorny głos. Informacja była jednoznaczna i precyzyjna.

“Trzymajcie się z daleka od mojej jaskini!

Umarli nie opowiadają bajek!”

Ten staruszek, pan Allen, powiedział im o smoku, który wchodził do jaskini.

Ale nie wspomniał o żadnym umarłym... ani o duchu!

Rozdział 10

Umarłe miasto

Tymczasem Bob zdążył już wziąć prysznic i zmienić ubranie. Kiedy dotarł do Biblioteki Publicznej w Rocky Beach, która zatrudniała go na godziny, czuł się już znacznie weselej.

Na jego widok bibliotekarka, pani Bennett, uśmiechnęła się.

- Och, Bob - powiedziała - jak się cieszę, że przyszedłeś. Mieliśmy dziś mnóstwo roboty. Przyszło wielu czytelników, no i teraz cała góra książek czeka na ułożenie z powrotem na półkach. Mógłbyś zabrać się do tego od razu?

- Jasne - odparł Bob.

Wziął na ręce potężny stos zwróconych książek i zaczął ustawiać je, jedną po drugiej, na właściwych miejscach. Następnie przystąpił do porządkowania stołów w czytelni. Leżało tam mnóstwo pozostawionych przez czytelników książek. Zbierając je zauważył, że jedna z nich nosi tytuł "Legendy Kalifornii". Leniwie odwrócił kilka kartek. Jego uwagę zwrócił rozdział zatytułowany: "Seaside - sen o mieście, które umarło".

- Hmm - mruknął pod nosem. - To może być ciekawe.

W zamyśleniu odłożył książkę na bok. Co za szczęśliwe znalezisko. Pragnąc jak najprędzej zabrać się do czytania jej, oczywiście po wypełnieniu obowiązków, ze zdwojoną energią rzucił się na leżące wszędzie stosy książek.

Kiedy uporał się już z rozkładaniem ich na półkach, pani Bennett poprosiła go o oklejenie paru podartych egzemplarzy. Zabrał je na zaplecze i zabezpieczył zniszczone obwoluty i okładki za pomocą przezroczystej taśmy. Niedługo potem, skończywszy robotę, zameldował się u pani Bennett.

- Wszystko gra, proszę pani, jeśli więc nie ma pani dla mnie nic pilnego do zrobienia, chciałbym sam trochę poczytać...

Pani Bennett kiwnęła przyzwalająco głową i Bob popędził do najbliższego stołu z kalifornijskimi legendami pod pachą. Zdał sobie sprawę, że tak naprawdę jego wiedza o Seaside jest mocno ograniczona. Jupiter i Pete także nie mieli więcej wiadomości na ten temat. A z pewnością żaden z nich nigdy nie słyszał o śmierci tego miasta!

Pospiesznie odszukał rozdział poświęcony Seaside. Rozpoczął się on następująco:

“Istnieją miasta, które, podobnie jak ludzi, prześladowe zły los. Marzenia Seaside o tym, że stanie się głównym ośrodkiem nadmorskim, poszły z dymem pięćdziesiąt lat temu.

Nie miały się nigdy urzeczywistnić plany tych, którzy wyobrażali sobie przyszłość Seaside jako ruchliwej, słonecznej metropolii, na rozwój której postawili swoje majątki. Wypracowane kanały i połączenia wodne, mające przypominać przyjezdnym Wenecję, rozmyły się, a na ich miejscu pobudowano fabryki. Eleganckie niegdyś hotele legły w gruzach, aby ustąpić miejsca biegnącej z północy na południe autostradzie.

Największym może nieszczęściem, jakie spotkało Seaside, było odstąpienie od budowy podziemnej kolejki, pierwszej tego typu na Zachodnim Wybrzeżu. Zarówno inwestorzy, jak i szeroka publiczność z entuzjazmem odnosili się do planów budowy szybkiego połączenia komunikacyjnego nadmorskiej części Seaside z centrum handlowym i innymi pobliskimi ośrodkami. W rezultacie nigdy nie ukończono budowy podziemnej sieci, a gotowy już, liczący kilkanaście kilometrów tunel został zabity na głucho i zapomniany. Dziś jest on tylko upiorną tajemnicą i budzącym respekt reliktem miasta, które umarło, pozbawione możliwości rozwoju”.

Ale historia! - przeleciało Bobowi przez głowę. Ta garść informacji sprawiła, że nazwa Seaside przestała być dla niego pustym dźwiękiem. Miasteczko umarło przeszło pięćdziesiąt lat temu, książka natomiast, którą Bob miał przed oczami, została wydana przed kilkoma laty. Gdyby nie natrafił na nią przypadkiem, nigdy prawdopodobnie nie poznałby historii miejsc, które dopiero co odwiedził wraz z kolegami.

Zapisał sobie parę najważniejszych danych dotyczących Seaside i odsunął książkę na bok. Zamknął oczy i zatopił się w rozmyślaniach. Miał teraz wiele ważnych rzeczy do

zakomunikowania Jupiterowi, ale postanowił zrobić to dopiero po kolacji. Był zresztą głodny, a pora wieczornego posiłku właśnie się zbliżała.

Pożegnał panią Bennett i wskoczył na rower, aby wrócić do domu. Mama krzątała się w kuchni przy kolacji, ojciec czytał z fajką w zębach popołudniową gazetę. Powitał Boba uśmiechem.

- Jak się masz, synku - powiedział. - Zdaje mi się, że wróciłeś dziś do domu z taką ilością błota, że trzeba będzie postawić naszej pralce wymagania znacznie przekraczające najśmielsze przechwałki jej producenta.

- Zgadza się, tato - potwierdził Bob. - Wpadłem do jakiejś dziury. W pierwszej chwili pomyślałem, że to ruchome piaski, ale okazało się, że to zwykła jama pełna wody i błota.

- Ruchome piaski? Kurzawka? O ile wiem, w tej okolicy nigdy nie słyszano o czymś takim.

- Ale nie chodzi o Rocky Beach - powiedział Bob. - To mi się przydarzyło w Seaside. Zajmujemy się sprawą, która zaprowadziła nas do tego miasta. Badaliśmy jedną z tamtejszych jaskiń.

Ojciec Boba kiwnął głową i odłożył gazetę.

- W dawnych czasach zapuszczenie nosa do którejś z nich mogło kosztować życie. Mnóstwo jaskiń w okolicach Przylądka Wiedźm używanych było przez przemytników alkoholu, a jeszcze wcześniej przez piratów.

- Też o tym słyszałem - powiedział Bob. - A dopiero co przeglądałem w czytelni książkę, w której jest napisane, że Seaside umarło, zanim jeszcze zaczęło się rozwijać. Słyszałeś coś o tym?

Jego ojciec był dziennikarzem, który zdawał się mieć sekretne skrytki w swej pamięci. I tym razem kiwnął potakująco głową.

- Mnóstwo ludzi, którzy źle ocenili perspektywy tego miasta, straciło ostatnią koszulę i musiało ogłosić upadłość. Po wielkim pożarze wesołego miasteczka szczęście zupełnie opuściło Seaside.

- Nie odniosłem aż tak złego wrażenia. Miasto jest takie, jak nasze Rocky Beach.

Pan Andrews uśmiechnął się.

- Mieli całe pięćdziesiąt lat na odbudowanie go i teraz jest to ruchliwe, pełne życia miasteczko. Ale daleko mu do tego, czym miało być - wielkim centrum wypoczynkowym. W tej chwili jest to jeszcze jedna miejscina, w której ludzie żyją i robią pieniądze.

- Szkoda - powiedział Bob. - Czytałem, że zaczęli nawet budowę podziemnej kolei, ale nigdy jej nie ukończyli.

Pan Andrews pochylił się.

- Jeden z głównych inwestorów, którzy planowali rozwój miasta, zapłacił życiem za decyzję o przerwaniu budowy. Popęłnił samobójstwo po stracie całego swego majątku, włożonego w budowę kolei podziemnej. - Zmarszczył brwi i puścił kłąb dymu z fajki. - Nie pamiętam w tej chwili jego nazwiska, ale był to facet dużego formatu i miał wielkie aspiracje. Gdyby wystarczająca liczba osób podzieliła jego entuzjazm i przekonanie, Seaside mogło być stać się tym, co on sobie wymarzył - największym miastem wypoczynku i rozrywki ze wszystkich po tej stronie kontynentu.

Z korytarza doszedł wyraźny i czysty głos mamy Boba.

- Kolacja gotowa!

Bob chętnie posłuchałby jeszcze tych opowieści, ale ojciec wstał z fotela i poszedł do stołu. Bob podążył za nim. Miał już zresztą wystarczająco wiele do opowiedzenia Jupiterowi.

- Twierdzą, że powinniśmy zaprzestać szukania psa pana Allena - powtarzał stanowczo Pete. - Dla niego jest to wyłącznie sprawa odzyskania ulubieńca, który mu zaginął, ale dla mnie oznacza to także narażanie się na spotkanie ze smokiem i tymi dwoma podejrzanymi typami w kombinezonach do nurkowania, którzy mają naładowane kusze i zdaje się nie lubią dzieci. By nie wspomnieć o błotnistych dziurach, wciągających ludzi, którzy w nie wpadli, ani o schodkach, które załamują się pod nogami, kiedy się po nich zbiega. Do tego jeszcze to telefoniczne ostrzeżenie od licha wie kogo, żeby się trzymać z

daleka od jego jaskini. Powinniśmy potraktować je jako dobrą radę, zwłaszcza jeżeli pochodzi od jakiegoś umarlaka!

Bob wytrzeszczył oczy ze zdziwienia.

- O czym ty gadasz?

Było już mniej więcej godzinę po kolacji. Chłopcy spotkali się znowu w Kwaterze Głównej, żeby przedyskutować dalsze kroki.

- Posłuchaj, Bob, kiedy poszedłeś do domu, żeby zmienić ubranie - wyjaśnił Jupiter - mieliśmy tu jakiś tajemniczy telefon. - Następnie opowiedział Bobowi wszystko, przytaczając słowo w słowo treść ostrzeżenia.

- To mi wygląda na jakiś głupi kawał - stwierdził Bob, krzywiąc usta. - A jak nie, to ktoś chce nam dać do zrozumienia, że nie jesteśmy mile widziani w okolicach tej jaskini.

Twarz Jupitera przybrała doskonale znaną obu chłopcom, stanowczą minę.

- Do tej pory nie znaleźliśmy nic, co by mogło mieć jakiś związek z tym tajemniczym smokiem. Proponuję, żebyśmy skoczyli tam dziś wieczorem, aby rozejrzeć się jeszcze raz.

- Przegłosujmy to - rzucił prędko Pete. - Ja głosuję za tym, żebyśmy na razie zostawili tę sprawę. Kto jest za, niech powie "tak"!

- Tak! Tak! Tak! - powtórzył trzykrotnie Czarnobrody, tresowany szpak, którego klatka wisiała nad biurkiem w Kwaterze Głównej.

- Spokój tam! - krzyknął Pete. - Nie jesteś pełnoprawnym członkiem tego klubu. Ciesz się, że możesz tu mieszkać!

- Umarli nie opowiadają bajek! - zaskrzeczał Czarnobrody, a potem zaśmiał się przeraźliwie.

Bob spojrzął na Jupitera.

- Może usłyszałeś właśnie to skrzeczenie Czarnobrodego.

Jupiter zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, Bob. Wypowiedział to ktoś, kto sprawiał wrażenie, że ma jakieś kłopoty z oddychaniem i mówieniem. Jeżeli chciał świadomie podrobić głos umierającego człowieka, albo nawet ducha, to całkowicie mu się to udało. Brzmiało to naprawdę przerażająco, prawda, Pete?

Pete wzruszył ramionami.

- Nie bardziej niż inne rzeczy, które przydarzyły się nam do tej pory. Jeżeli jeszcze nie osiwiłem - dodał odrzucając do tyłu włosy - prawdopodobnie stanie się to już jutro.

Jupiter roześmiał się szczerząc zęby.

- Co ty, Pete, przecież nie miałeś większego cykora niż my dwaj. Udajesz tylko.

- Zakładasz się?

W odpowiedzi Jupiter podniósł słuchawkę telefonu.

- Idę o zakład, że kiedy Worthington podjedzie po nas swoim rolls-roycem, będziesz chciał z nami jechać!

W niecałą godzinę potem Pete wyglądał przez szybę sunącego gładko, luksusowo wyposażonego, starego samochodu. Cała trójka z prawie niesłyszalnym mrużeniem silnika zmierzała autostradą Zachodniego Wybrzeża ku przedmieściom Seaside. Za kierownicą siedział pan Worthington, wysoki, uprzejmy Anglik, prowadzący po mistrzowsku eleganckie auto.

- Wiesz co, Jupe, czasami myślę, że lepiej by było, gdybyś nie wygrał konkursu, który dał nam prawo używania tego samochodu - powiedział Pete z odcieniem żalu w głosie. - Kiedy sobie przypomnę wszystkie kłopoty, w jakie to nas wpędziło...

- Oraz z których nas wyciągnęło - poprawił go Bob. - A kiedy upłynęło trzydzieści dni korzystania z niego, do czego mieliśmy prawo, nie byłeś, jak sobie przypominam, specjalnie tym uszczęśliwiony.

Angielski chłopiec, któremu pomogli w tym krytycznym momencie, załatwił wszystkie finansowe sprawy, umożliwiając im dalsze korzystanie z auta. Trzej Detektywi mieli więc prawie nieograniczony dostęp do rolls-royce'a i prawo do korzystania z usług jego kierowcy, pana Worthingtona.

Pete zagłębił się w skórzanym oparciu i uśmiechnął się.

- Muszę przyznać, że to jest rzeczywiście lepsze od telepania się naszym pickupem, nie mówiąc już o zasuwananiu na autobutach.

Jupiter powiedział wcześniej kierowcy, gdzie trzeba zjechać z autostrady na wąską drogę, prowadzącą do Seaside wzdłuż wysokiej, nadmorskiej skarpy. Teraz pochylił się i położył rękę na ramieniu pana Worthingtona.

- Możemy tu wysiąść - powiedział. - Niech pan zaczeka na nas.

- Doskonale, szefie - odpowiedział kierowca.

Ogromny rolls-royce, oświetlający sobie drogę wielkimi, staroświeckimi lampami, zatrzymał się łagodnie na poboczu drogi.

Chłopcy wyskoczyli z samochodu. Jupiter sięgnął po leżący z tyłu sprzęt.

- Teraz mamy przynajmniej latarki, kamerę i magnetofon - powiedział. - Jesteśmy przygotowani na różne ewentualności. Jak będzie trzeba, sfilmujemy i nagramy na taśmę tego smoka. Bob, masz tu magnetofon. Nagrasz na nim wszystkie podejrzane dźwięki, łącznie z jękami tego ducha, który się dławi przy mówieniu i oddychaniu.

Pete wziął do ręki jedną z trzech potężnych latarek. Jupe założył mu na drugie ramię zwój cienkiej linki.

- Po co ta lina? - spytał Pete.

- Lepiej mieć to pod ręką - odparł Jupiter. - Trzydzieści metrów cienkiego nylonu. Powinien nas utrzymać, gdyby się okazało, że pozostałe schody też nie nadają się do użytku i trzeba pokonać urwisko o własnych siłach.

Po krótkim marszu wzdłuż ciemnej i cichej drogi Jupiter skręcił ku schodkom, wybranym przez niego wcześniej do zejścia na dół. Cała trójka zatrzymała się na krawędzi skarpy. Plaża wyglądała na opustoszałą. Przez cienką powłokę chmur przeświecało blade światło wschodzącego księżyca. Co pewien czas cichy szmer oceanu wdzierającego się z łagodnym pluskiem na piaszczysty brzeg przerywany był rykiem załamujących się fal przyływu, wznoszących się groźnie w oddaleniu.

Pete nerwowo oblizał wargi i uchwycił poręcz schodów. Przez chwilę wsłuchiwał się nieruchomo w nocne odgłosy. Jupiter i Bob także nastavili uszu.

Oprócz szumu przybrzeżnych fal i bicia własnych serc nie usłyszeli nic więcej.

- No to powodzenia, chłopaki - szepnął Pete pełnym wewnętrznego napięcia głosem.

Już przy pierwszym kroku w dół wydało się im, że ocean szumi trochę głośniejsze i groźniej, tak jakby chciał uprzedzić ich o tym, co ich czeka tej nocy!

Rozdział 11

Przerażająca noc

Schody spowite były nocnym mrokiem. Twarze chłopców owiewał chłodny, słony wietrzyk. Piętrzące się nad ich głowami skały rzucały długie, ponure cienie na osrebrzony księżycową poświatą piasek plaży.

Tym razem żaden ze stopni nie załamał się pod ich ciężarem, toteż z większą pewnością siebie przebyli ostatnią parę schodków i z westchnieniem ulgi zeskoczyli na piasek.

Jupiter spojrzał w górę. Tylko w kilku oknach domów, stojących na skarpie, paliły się światła.

Zaczęli człapać z trudem po wilgotnym piachu i wkrótce minęli wiekowe schody, które tak ich zawiodły parę godzin temu.

Uważnie nasłuchując i rozglądając się dookoła, zbliżyli się do wejścia do jaskini. Ani w środku, ani w najbliższej okolicy nie dostrzegli żadnych podejrzanych cieni.

Jupiter znowu spojrzał w górę. Urwiste skały wystawały w tym miejscu, uniemożliwiając obserwację terenu położonego poza krawędzią skarpy. Spochmurniał czując instynktownie, że okoliczność ta ma duże znaczenie, choć sam nie wiedział, jakie. W końcu kiwnął głową.

- Nic podejrzanego.

Szybko przemknęli do wnętrza. Jupiter znowu zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Zachowywał się tak, jakby cała trójka brała udział w jakimś wypadzie drużyny komandosów. Pete poczuł się lekko tym zaintrygowany.

- Dlaczego jesteś taki czujny? - szepnął do Jupitera. - Przecież to nie miało być aż tak niebezpieczne.

- Nieostrożność nie popłaca - odszepnął mu Jupe.

Pete zapalił latarkę i zaczął omiatać strumieniem światła ściany jaskini. A potem oświetlił jej dno.

- Widzieliście, chłopaki? - zapytał podnieconym głosem. - Ta jaskinia kończy się już tutaj, zaraz za studnią. Jak ci nurkowie z niej wyszli?

Jupiter zrobił wolno parę kroków i zapalił swoją latarkę.

- Jaskinia jest mniejsza, niż myślałem - powiedział w zamyśleniu. - Rzeczywiście, Pete, trafiłeś w dziesiątkę. Jaką drogą oni się stąd ulotnili? I gdzie zniknęli potem?

Chłopcy obeszlili całą jaskinię, badając dokładnie jej ściany.

- Żadnej szczeliny - stwierdził Pete. - To jasne jak słońce!

- Co masz na myśli? - zapytał Bob.

- Nie rozumiecie? Popatrzcie, jak tu jest mało miejsca. Także ten dołek jest całkiem nieduży! Mam na myśli to, że nigdy nie zmieściłby się tu żaden smok!

Jupe spojrział na niego z zakłopotaniem.

- A jednak pan Allen twierdził, że widział smoka wychodzącego z oceanu i chowającego się w tej jaskini, pod jego domem. - Przez chwilę bacznie przyglądał się studziennie. - Ci nurkowie nie rozplynęli się przecież w powietrzu. Musimy założyć, że gdzieś tu w pobliżu jest jeszcze jedno wejście. Albo jakieś przejście ukryte we wnętrzu tej jaskini. Może są tu jakieś korytarzyki, których nie udało nam się dotąd odkryć.

- Ej! - wykrzyknął nagle Bob. - Coś sobie przypomniałem!

W paru słowach Bob opowiedział kolegom o tym, co wyczytał w książce w czytelnicy i usłyszał od swojego ojca. Jupiter zamyślił się.

- Tunel, powiadasz?

Bob kiwnął z przejęciem głową.

- Miała to być pierwsza podziemna kolejka na Zachodnim Wybrzeżu. Nie dokończono jej budowy, ale przynajmniej część została zbudowana i znajduje się gdzieś w tej okolicy. Takie widmo prawdziwej linii kolejowej.

- Wiesz, Bob, to, co mówisz, jest bardzo interesujące - stwierdził Jupe. - Ale ten tunel może się ciągnąć parę kilometrów stąd. Nie ma żadnej pewności, że został doprowadzony aż tutaj. Chyba że gdzieś tu się zaczynał.

Bob wyglądał na lekko speszzonego.

- Chyba masz rację, Jupe.

- Mimo wszystko rozejrzemy się za nim - powiedział Jupiter. - Ale najłatwiej byłoby odnaleźć ten tunel przy pomocy dobrej mapy. Przypuszczalnie moglibyśmy ją dostać w Wydziale Planowania Rady Miejskiej w Seaside.

- Po przeszło pięćdziesięciu latach? - roześmiał się Pete. - Ten, kto tę mapę opracował, z pewnością od dawna już nie żyje. A jeżeli gdzieś zachował się jakiś egzemplarz, to przykrywa go warstwa kurzu i innych starych szpargałów.

Jupiter kiwnął głową.

- Tak, Pete, to możliwe. Ale korzystając z tego, że tu jesteśmy, możemy, nie przerywając naszego dochodzenia, rozejrzeć się również za tym tunelem.

- Myślałem o tym korytarzyku, który znaleźliśmy dziś rano. Można by zacząć od niego. Chyba niczym to nie grozi.

Pete i Bob potwierdzili to przypuszczenie skinieniem głowy i podeszli do zagrodzonej deskami niszy. Jupiter odgarnął trochę piasku i ziemi, odsłaniając szeroką listwę. W pewnym momencie jego ruchy zaczęły zdradzać podniecenie.

- Jupe, co tam masz? - zapytał szeptem Bob.

- Nie jestem pewien, co to takiego - odparł Jupiter z wyrazem zaintrygowania w oczach. - Wygląda to jak sklejka.

- Sklejka? - powtórzył Bob.

- Tak mi się zdaje - stwierdził Jupiter, wodząc palcami po drewnianej powierzchni. - Ale nie mam pojęcia, jaki to może mieć związek z tą tajemnicą. Na razie odgarnijmy więcej piachu, żeby odsunąć tę przeszkodę.

W chwilę potem ta sama listwa, którą odchylali wcześniej, poluzowała się na tyle, że cała trójka mogła przecisnąć się przez wąską szczelinę na drugą stronę. Następnie chłopcy zasunęli ją dokładnie i zapalili latarki, żeby zorientować się, co kryje znana im już nisza.

Znajdowali się w małej, wąskiej pieczarze. Jej sklepienie zawieszono było tuż nad ich głowami. Panowała tu wilgoć, a tylna ściana opadała stromo ku niewielkiej skalnej półce.

- Znowu ślepa uliczka - mruknął Pete. - To wejście prowadzi donikąd.

Jupiter wzruszył ramionami.

- W każdym razie jest to doskonała kryjówka dla przemytników czy piratów. Myślę, że w przeszłości często z niej korzystano. Te stare deski wskazują, że komuś zależało na tym, aby o tym miejscu wiedzieli tylko wtajemniczeni.

Bob skierował światło latarki na podłogę.

- Masz na myśli piratów? Może zostawili nam tu z parę złotych monet.

Bob i Pete zaczęli obmacywać na czworakach dno pieczary, spodziewając się znaleźć w cienkiej warstwie piasku okruchy jakiegoś skarbu z dawnych czasów.

Pete pierwszy dał za wygraną.

- Nic tu nie ma - powiedział z nutą rozczarowania w głosie. - Jeżeli nawet ukrywali tu swoje łupy, to z pewnością zadbali, żeby pozbiierać wszystko na odchodnym.

Bob nie zniechęcił się tak łatwo i, szukając nadal, dotarł do najdalszego końca jaskini.

- Może tutaj coś przeoczyli - szepnął.

Jupiter skierował światło latarki na listwy. Zdrapał z jednej z nich trochę kurzu i błota, po czym zaczął się jej przyglądać. W tym momencie doszedł go krzyk Boba.

- Bob, co z tobą? - zapytał.

Usłyszał jakieś głucho dudnienie i odwrócił się. Ku swemu zaskoczeniu stwierdził, że Boba nie ma w pieczarze.

- Bob! - krzyknął i zrobił parę kroków w kierunku kąta, w którym przed chwilą Bob telepał się na czworakach. Zatrzymał się w osłupieniu, nie widząc nigdzie kolegi.

- Co się dzieje? - zapytał Pete wpatrując się w Jupitera.

Jupiter wyciągnął rękę w kierunku pochyłej, stromej ściany.

- Przed sekundą był tu jeszcze. Nie widziałeś, co się z nim stało? Przecież ta ściana nie mogła go połknąć.

- Co takiego? - Pete rzucił się w kierunku ściany. - Nic nie kapuję - mruknął myszkując światłem latarki po podłodze. - Tym razem nie ma tu żadnej dziury.

Nachylił się, aby lepiej się przyjrzeć dnu pieczary, i w tym momencie dudnienie rozległo się znowu. Pete wytrzeszczył oczy i mocniej uchwycił ciężką latarkę. Podniósł wzrok na Jupitera i ze zdumieniem dojrzał na jego twarzy uśmiech.

- Już dobrze - powiedział Jupe. - Znalazł się.

Pete zdążył obrócić się na czas, aby dojrzeć w ścianie jakiś ruch. Jej mały fragment okręcił się wokół niewidocznej osi. W tym samym momencie w miejscu, gdzie była gładka ściana, pojawił się otwór, z którego wypełził Bob.

- Jak wam się to podoba? - wykrzyknął. - Ale bomba! Ruchoma kamienna płyta. Przypadkiem oparłem się na niej, a ona trraach, otworzyła się!

- Co tam jest po drugiej stronie? - spytał podekscytowany Jupiter.

Bob skrzywił się.

- Nie zdążyłem rozejrzeć się tam, Jupe. Wszystko to rozegrało się za szybko. Ale zobaczę, czy da się otworzyć jeszcze raz.

Przykucnąwszy, naparł całym ciałem na dolną część ściany. Ani drgnęła, przesunął więc ramię trochę w bok. Ozwało się ostre skrzypnięcie. Ściana ustąpiła i Bob wywrócił się na plecy.

- Włazę znowu - krzyknął. - Trzeba korzystać, póki otwarte.

Przecisnął się przez wąski otwór, a w chwilę potem jego śladem poszli Pete i Jupe.

- Fantastyczne! - zawołał Pete. - To już bardziej przypomina początek czegoś większego!

Jaskinia była bardzo szeroka i wysoka. Jej kraniec ginął gdzieś poza zasięgiem światła latarek. Ciągnęła się w głąb urwiska, prostopadle do linii brzegowej.

Trzej Detektywi skoczyli na równe nogi, aby się w niej rozejrzeć.

Usłyszeli za sobą ciche dudnienie. Obrócili się do tyłu, ale było już za późno.

Sekretne przejście zamknęło się samoczynnie!

- A niech to! - mruknął Pete. - Co za technika!

- To samo przydarzyło się Bobowi. Jestem pewien, że odkryjemy później, jak działa ten mechanizm - powiedział Jupe. - Prawdopodobnie są to jakieś proste dźwignie. Zostawmy to na razie i rozejrzyjmy się, gdzie jesteśmy.

Bob przyjrzał się wysokiemu sklepieniu.

- Ho, ho! - mruknął z uznaniem. - Jupe, popatrz, jak w kościele! To może być tunel, o którym wam mówiłem!

Jupiter skinął głową.

- Całkiem możliwe. Ale zwróć uwagę na to, że ściany i sklepienie są ze zwykłej, nie obrobionej skały, jak w każdej jaskini. Tunel, o którym czytałeś w książce, miał być prawie ukończony. Jego ściany, zrobione prawdopodobnie z betonu, byłyby bardziej wykończone, a dno wyłożone jakimiś płytami. Mógłby też mieć tory albo podłoże przygotowane do ich położenia.

Potrząsnął głową i jeszcze raz objechał wewnątrz światłem latarki.

- Nie, to wygląda na zwykłą, naturalną jaskinię. Nie ma do niej wejścia z plaży ani żadnych szczelin w ścianach. Spróbujmy zobaczyć, jak ona przebiega pod skarżą. Może doprowadzi nas do tunelu, o którym wspominasz.

- Wiecie, co mi się podoba? - odezwał się Pete. - Że nie można tu wejść prosto z brzegu. A to oznacza, że nie dostanie się do niej żaden zwierz podobny do smoka!

- To znaczy, że mieliśmy szczęście - powiedział z uśmiechem Jupiter. - Bo jedna rzecz przynajmniej wydaje mi się pewna. Że ta jaskinia jest wystarczająco duża, żeby pomieścić smoka albo inną kreaturę podobnych rozmiarów.

- Dzięki za sprostowanie - mruknął Pete. - Przez krótką chwilę czułem się tu prawie bezpiecznie.

Dno jaskini było dość równe i gładkie, toteż chłopcy bez trudu przystąpili do obejrzenia jej wnętrza. Wkrótce jednak musieli się zatrzymać.

W poprzek drogi stanęła im nagle wysoka, pionowa, szara ściana.

- Koniec pieśni - powiedział Pete. - Zdaje się, że odkryliśmy największy na świecie nie używany podziemny parking!

Jupiter z zakłopotaniem zaczął skubać dolną wargę.

- Coś ci nie pasuje, Jupe? - zapytał Bob.

- Ta ściana przed nami - odparł Jupiter. - Coś mi się w niej nie podoba.

Bob i Pete obrzucili ścianę światłem swych latarek.

- Zdaje mi się, że wygląda normalnie - stwierdził Bob, kręcąc głową. - Oczywiście, jestem rozczarowany tak jak ty. Spodziewałem się...

Jupiter przymknął oczy i zamyślił się. Nie słuchał, co mówią jego przyjaciele. Przez chwilę stał nieruchomo, a potem podszedł do ściany i zaczął w nią stukać. Odszedł trochę w bok i znowu zastukał, niemal przykładając ucho do szarej powierzchni.

- Wiesz, Jupe, brzmi to dość dziwnie - powiedział Bob.

Jupiter kiwnął głową, marszcząc brwi, a potem pomaszerował na drugą stronę jaskini i jeszcze raz zastukał w skałę.

- Słyszę różnicę - powiedział w końcu. - Nie umiałbym tego dokładnie wyjaśnić, ale...

- Och, Jupe, daj temu spokój - przerwał niecierpliwie Pete. - Jeżeli nie możesz udowodnić, że to nie jest ściana, to znaczy, że ona nią jest. Chodźmy już stąd. Zaczyna mi się robić zimno.

Twarz Jupitera rozjaśniła się.

- Mam! - wykrzyknął. - Zimno! Ta ściana wcale nie jest zimna. A boczne tak. Dotknijcie sami, żeby się przekonać.

Bob i Pete pospiesznie sprawdzili jego przypuszczenia.

- Masz rację - przyznał Pete. - Ona nie jest tak chłodna jak boczne powierzchnie jaskini. Ale o czym to świadczy? Nie zapominaj, że jaskinia biegnie pod niektórymi z domów, stojących na górze. Może te domy wydzielają ciepło, które trochę ogrzewa tę ścianę.

- Ależ, Pete, ciepłe powietrze idzie do góry - powiedział Jupe.

- Tam w środku może być jeszcze jakiś inny korytarz - włączył się Bob. - Może to on doprowadza ciepło, co, Jupe?

Jupiter potrząsnął głową. Jednocześnie na jego twarzy pojawiła się dobrze im znana stanowcza mina, którą Jupiter przybierał wtedy, gdy nie zgadzał się ze swymi kolegami.

Wyciągnął scyzoryk i zaczął skrobać nim nierówną szarą powierzchnię ściany.

Pete roześmiał się.

- Zniszczysz tylko ostrze na tej skale, Jupe. Tu bardziej by się przydała laska dynamitu.

Jupiter udał, że nie słyszy uwag kolegi, i nie przestawał atakować ściany swym scyzorykiem. Popatrzył na ostrze i ujrzał przyklepione do niego szare grudki.

Dopiero teraz odwrócił się do nieufnie przyglądających mu się przyjaciół. Na jego półotwartych ustach pojawił się triumfalny uśmiech tak, jakby miał im coś ważnego do zakomunikowania. Kiedy jednak spojrzął ponad ich głowami, uśmiech zniknął z jego twarzy.

- Nie mam pojęcia jak - powiedział drżącym, chrapliwym głosem - ale jaskinia otwiera się za waszymi plecami!

Obaj chłopcy odwrócili się z niedowierzaniem. Przedtem nie widzieli żadnej rysy ani pęknięcia. W jaki więc sposób mogła się otworzyć?

Wytrzeszczonymi oczami zaczęli wpatrywać się w coś, co było absolutnie niemożliwe!

Jaskinia otwierała się powoli, nieustępliwie, coraz szerzej. W środku zrobiło się trochę jaśniej. Poczuli na twarzach lekki podmuch morskiego wietrzyku.

Jak skamieniali wpatrywali się w coraz większą szczelinę, w której pojawił się już mglisty zarys plaży i ciemniejsza wstęga oceanu.

Jupiter jako pierwszy odzyskał mowę.

- Szybko! Musimy dostać się z powrotem do tej małej pieczary! Trzej Detektywi pomknęli w kierunku niewielkiej skały, która nie tak dawno otworzyła się, aby ich wpuścić do środka.

Bob zaczął naciskać ją wściekle dłońmi, a potem przyparł do niej ramieniem. Wreszcie spojrzął na czekających obok kolegów.

- Ja... ja całkiem zapomniałem, jak naciskałem ją przedtem - powiedział drżącym głosem. - Nie umiem jej otworzyć!

- Niemożliwe - mruknął Jupiter. - Musi tu być jakaś dźwignia. Trzeba ją tylko znaleźć.

Razem z Pete'em zaczął naciskać i walić pięścią twardą skałę. Bob nadal gorączkowo szukał miejsca, na które natknął się wcześniej.

Nagle ogromna grotą wypełniła się światłem. Chłopcy zamarli ze strachu. Szczelina otwarła się już na całą prawie szerokość jaskini i poszerzała się nadal. Zobaczyli, że zbliża się ku nim jakiś kształt. Coś ogromnego i ciemnego, wylaniającego się z oceanu!

Pete złapał Jupitera za ramię.

- Ty też to widzisz? - zapytał zdyszczym szeptem.

Oszołomiony niezwykłym widokiem Jupiter potrząsnął nerwowo głową. Poczłł, że ma spierzchnięte usta i kręci mu się w oczach.

- Nie... tak... - odparł chrapliwie. - To... ten smok!

Olbrzymi, wężowaty kształt przybliżył się na tyle, że mogli dostrzec już lśnienie wody na jego ciemnej, mokrej skórze. Potwór miał małą, trójkątną głowę, kołyszącą się na końcu długiej, zakrzywionej szyi. Żółtymi oczami wpatrywał się w jaskinię, świdrując chłopców spojrzeniem przypominającym światła przeciwmgielnych reflektorów samochodowych. Parł do przodu z oszłamiającym, dziwnym dudnieniem.

W chwilę później ogromne cielsko całkiem niemal zablokowało wejście do jaskini. Głowa pochyliła się i chłopcy zobaczyli wijący się na wszystkie strony, rozwidlony język, wyglądający tak, jakby chciał posmakować któregoś z nich. Usłyszeli syk, a zaraz potem jakiś dziwny, przeciągły odgłos, przypominający ciężkie, tęskne westchnienie.

Chłopcy zaczęli się miotać jak szaleni, pragnąc jak najprędzej uciec. Napierali i walili na wszystkie możliwe sposoby odporną skałę.

- Hhrraaahh! - Potwór wtaczał się już do jaskini. Chłopcy wyraźnie słyszeli jego chrapliwy oddech. Przywarli do ściany, obserwując ogromne cielsko majaczące nad ich głowami. Długa, powyginana faliście szyja zakołysała się i potwór opuścił do ziemi swą ciemną, świecącą żółtymi oczami głowę.

Ujrzeni otwierające się długie, ociekające wodą szczęki, pełne niewiarygodnie wielkich, błyszczących zębów. Smok jeszcze raz odetchnął chrapliwie, a potem zakasłał i zatrzymał się.

Jupiter czytał gdzieś o tym, że polujące w dżungli wielkie tygrysy wydają przed rzuceniem się na zdobycz ostrzegające kasznięcie. Nigdy jednak nie zastanawiał się nad tym zbyt. Przypomniał sobie ten opis w tej właśnie chwili i wzdrygnął się.

Wbił oczy w kołyszący się niczym w jakimś hipnotycznym transie łeb potwora. Ujrzał, że nurkuje on w ich kierunku. Przytulił się do skurczonych obok kolegów, gorączkowo szukając owego czułego miejsca w nieustępliwej, upartej skale.

Ośliże szczęki potwora zakółsały się tuż nad ich głowami. Otworzyły się znowu i przerażeni chłopcy poczuli na sobie wychodzący spomiędzy nich, gorący oddech.

Nagle skała za plecami chłopców zarysowała się i zadrżała lekko. Jupiter odwrócił się i zobaczył powiększający się otwór, w którym w chwilę później znikł Bob. Pete siedział nieruchomo, wpatrzony bezradnie w potwora. Jupiter trącił go w ramię i popchnął za Bobem. Wreszcie sam wstrzymując oddech przecisnął się przez wąskie otwarcie,

Z cichym turkotem skalna płyta zamknęła się za nimi. Wszyscy trzej odetchnęli z ulgą. Spokój nie trwał jednak długo.

Usłyszeli stłumiony, wściekły ryk smoka. A potem poczuli drzenie skały, wystawionej na potężne uderzenia i szarpnięcia z drugiej strony.

Rozdział 12

W szponach strachu

- On chce nas złapać! - krzyknął Pete.

Grzmoty i ryki dochodzące z wielkiej groty były coraz głośniejsze. Od uderzeń miotającego się wściekle potwora zaczęła drżeć skalna przegroda dzieląca oba pomieszczenia. Ze sklepienia pieczary, w której schroniła się trójka chłopców, posypał się piasek i skalne odłamki. Powietrze wypełniło się suchym, gryzącym kurzem.

- Zawala się! - powiedział Pete, walcząc z atakiem kaszlu.

- To pułapka! - krzyknął Bob. - Podusimy się tu!

Jupiterowi przypomniała się przestroga dotycząca nadmorskich jaskiń: można tu zostać pogrzebanym żywcem pod zwałami piachu i skał. Uświadomił sobie, że Artur Shelby nie żartował.

Z góry sypało się coraz więcej skalnego gruzu. Natężenie hałasów także zdawało się rosnąć. Jupiter potrząsnął głową, jakby chciał się pozbyć paraliżującego mu ruchy przerażenia.

Oszołomiony, obezwładniony panicznym strachem, uświadomił sobie, że wpatruje się bezwiednie w deski, zasłaniające wylot po drugiej stronie pieczary. Oczywiście! Nie do wiary, jak bardzo przerażenie może pomieszać myśli!

- Deski! - wrzasnął z całej siły. - Wyjdziemy stąd tak samo, jak weszliśmy!

Trójka przestraszonych detektywów rzuciła się do zbawczego przejścia. Jupe i Bob zaczęli wściekle odgarniać piasek, podczas gdy Pete napierał na grube deski, próbując je poruszyć. W jednej chwili, która zdawała się trwać całą wieczność, przegroda ustąpiła. Momentalnie prześliznęli się na drugą stronę.

Wsunęli na miejsce ciężką deskę i pospiesznie zaczęli nagarniać nogami piasek, aby ją umocować. Ciężko dysząc popatrzyli po sobie.

Jupe kiwnął głową w kierunku wyjścia.

- Wiejemy!

Jupiter nie miał wcale zamiaru biec na czele. Zdecydowały o tym jego nogi. W ułamku sekundy wyniosły go z jaskini. A potem pognały po piasku wzdłuż urwiska.

Tuż za nim biegł Pete, który był najlepszym biegaczem z całej trójki. Zwykle trochę ustępował mu Bob. W normalnych warunkach ani jeden, ani drugi nie miałby najmniejszych kłopotów z wyprzedzeniem Jupitera.

Światła latarek wyczyiniały w czasie biegu jakieś szalone esy-floresy. Minęli połamane schody i dotarli do następnych. Byli pewni, że na górze czeka Worthington za kierownicą potężnego rolls-royce'a, który uniesie ich z tej niebezpiecznej okolicy. Gdzieś z tyłu został ryczący potwór, który wyłonił się z morza, a teraz szukał ich tam, miotając się gniewnie.

W połowie schodów obejrzeni się. Nikt ich nie gonił. Ani śladu po straszliwych szczękach i gorącym oddechu, dobywającym się z przerażającej paszczy. Pokonali ostatnie stopnie i zatrzymali się, z trudem łapiąc powietrze.

Daleko przed nimi migotały światła Los Angeles. A tuż blisko czekał na skraju drogi samochód, kierowany przez miłego, uprzejmego Worthingtona.

Biegiem pomknęli w stronę lśniącego rolls-royce'a, połyskującego w księżycowej poświacie złożonymi klamkami. W jednej chwili znaleźli się na tylnym siedzeniu.

- Panie Wortnington! - wysapał Jupiter. - Jedziemy do domu.

- Tak jest, szefie - odparł wysoki, dystyngowany kierowca. Samochód zamruczał cicho, a potem zaczął nabierać szybkości. Szerokim łukiem wracali na autostradę, prowadzącą wybrzeżem ku Rocky Beach.

- Nie wiedziałem, Jupe, że umiesz tak szybko biegać - powiedział ciągle jeszcze zdyszany Pete.

- Też nie miałem o tym pojęcia - odparł Jupe, łapiąc ciężko powietrze. - Może dlatego tak... prulem... że nigdy przedtem... nie widziałem... moka.

- Bombowo! - wykrzyknął Bob, rozpierając się na skórzanym oparciu. - To fantastyczna frajda móc korzystać z tego auta!

- Ja myślę! - stwierdził Pete. - Ale powiedzcie, chłopaki, co sądzicie o tym smoku? Przecież ustaliliśmy, że smoki nie istnieją.

- Jeżeli o mnie chodzi, to nie mam pojęcia - odparł Jupiter, wydymając policzki. Wciąż jeszcze nie doszedł do siebie po szaleńczym biegu.

- Jeżeli kiedyś wyrobisz sobie jakieś zdanie, możesz nie dzielić się nim ze mną - oświadczył Pete. - Będę miał dosyć kłopotów, żeby zapomnieć o tym, co dziś widziałem!

- Jakim prawem on się tam znalazł? - spytał Bob. - Według wszystkich księzek, które czytałem, smoki wyginęły już dawno temu. Takich stworów dziś już się nie widuje.

Jupiter zaczął kręcić głową.

- Sam nie wiem - powiedział marszcząc brwi, a potem zabrał się za skubanie dolnej wargi. - Właściwie trzeba by powiedzieć, że nie widzieliśmy żadnego smoka. Bo jeżeli one nie istnieją, to nie mogliśmy zobaczyć jednego z nich.

- Kpisz sobie z nas? - spytał Pete. - Jeżeli nie był to jeden z nich, to czym było to coś, co wlało do jaskini i zaczęło na nas dmuchać gorącą parą?

- W każdym razie na pewno wyglądało jak smok - stwierdził Bob.

Worthington obrócił głowę w ich kierunku.

- Bardzo przepraszam, ale nie mogłem uniknąć podsłuchania waszej rozmowy. Jeżeli dobrze zrozumiałem, młodzi panowie zobaczyli dziś wieczorem smoka. Czy to był prawdziwy, żywy smok?

- Rzeczywiście tak było - odparł Pete. - Wyszedł z morza i przyczłapał prosto do jaskini, którą właściwie badaliśmy. Czy pan widział kiedyś żywego smoka?

Kierowca zaprzeczył ruchem głowy.

- Nie, nie mogę powiedzieć, abym miał to szczęście. Ale taki przerażający potwór żyje podobno w Szkocji, gdzie paru szczęśliwców go widziało. Jest to długi, wijący się wąż morski. Nazwano go potworem z Loch Ness. Słyszałem, że wciąż jeszcze pokazuje się od czasu do czasu.

- Czy widział go pan osobiście, panie Worthington? - spytał Jupe.

- Nie, młodzieńcze - powiedział kierowca. - Ale kiedy byłem jeszcze chłopcem, przejeżdżałem koło jeziora (po szkocku jezioro to "loch"), wokół którego rozeszła się błyskawicznie wieść, że ktoś go widział. To, że nie udało mi się zobaczyć potwora z Loch Ness, uważam za jeden z największych zawodów, jakich doznałem w całym życiu. Mówiono, że miał co najmniej trzydzieści metrów długości.

- Hmm - mruknął w zamyśleniu Jupiter. - Powiedział pan, że nigdy nie widział pan żywego smoka.

- Nie, prawdziwego nie widziałem - potwierdził z uśmiechem Worthington. - Jedynie atrapy, jakie można zobaczyć przed meczem futbolowym.

- Meczem futbolowym? - zapytał Bob.

Wyprostowany z godnością kierowca przytaknął skinieniem głowy.

- Tak. A również podczas noworocznego pochodu tu, niedaleko, w Pasadenie. Mam na myśli ogromne, ruchome platformy z kwiatów. Zdaje mi się, ludzie nazywają to Świętem Kwitnącej Róży.

- No cóż, egzemplarz, który oglądaliśmy przed chwilą, nie był zrobiony z kwiatów - zauważył porywczo Pete. - Zapewniam pana o tym. Prawda, Jupe?

- Hmm - mruknął w odpowiedzi Jupe. - Zdecydowanie nie z kwiatów. To chyba jednak musiał być prawdziwy smok. A przynajmniej wszyscy stwierdziliśmy zgodnie, że wyglądał na prawdziwego - dodał po krótkim wahaniu.

- Cieszę się, że przynajmniej raz zgodziłeś się z nami - powiedział Pete.

Jupiter nachmurzył się. Jeszcze energiczniej zabrał się do miętoszenia dolnej wargi między kciukiem i palcem wskazującym, zdradzając tym naprawdę głębokie zamyślenie. Odwrócił tylko głowę, aby wyrzeć przez okno pędzącego samochodu. Ostatnia uwaga jego przyjaciela pozostała bez odpowiedzi.

Kiedy rolls-royce zatrzymał się przed składem złomu Jonesów, Jupiter podziękował Worthingtonowi dodając, że zadzwoni, gdyby potrzebny mu był znowu ten luksusowy środek transportu.

- Będzie mi ogromnie miło - powiedział Worthington. - Muszę powiedzieć, że dzisiejsze zlecenie sprawiło mi wielką przyjemność. Mogłem się choć na chwilę oderwać od wożenia bogatych dam w starszym wieku i majątnych biznesmenów. Ale zanim pojedę, czy wolno mi zadać jedno pytanie, które mam na końcu języka? Dotyczące smoka.

- Oczywiście, panie Worthington. A więc?

- Można by powiedzieć, że mieliście tego wieczoru szczęście oglądać prawdziwego, żywego smoka, we własnej, by tak rzec, osobie. Czy widzieliście go z bliska?

- Tak, aż za bardzo - odparł bez namysłu Pete. - Praktycznie znalazł się on prosto nad naszymi głowami.

- Dobrze - powiedział kierowca, z którego zachowania znikła gdzieś właściwa mu powściągliwość i rezerwa. - Może więc młodzi panowie zwrócili na to uwagę. Czy to prawda, że, jak podają wszystkie legendy, smok wyrzuca z siebie dym i ogień?

Jupiter zawahał się, a potem powoli pokręcił głową.

- Nie, proszę pana. Ten smok tego nie robił. To, co widzieliśmy, mogło być co najwyżej dymem.

- Ach, tak - powiedział Worthington. - Szkoda. Bardzo bym się cieszył, gdybyście panowie byli świadkami pełnej, że tak powiem, prezentacji wszystkich efektów.

- Pan może by się i cieszył - powiedział Pete - ale proszę mi wierzyć, nam w zupełności wystarczyło to, co zobaczyliśmy. Będę pamiętał te efekty do końca życia. Już na myśl o nich dostaję gęziej skórki.

Pan Worthington skinął głową i odjechał. Jupiter poprowadził przyjaciół na teren złomowiska. Wuj Tytus i ciocia Matylda spali już w małym domku, stojącym tuż obok składu. Paliło się tylko blade światelko nad wejściem, włączone specjalnie z myślą o Jupiterze.

Pierwszy Detektyw odwrócił się do Pete'a i Boba.

- Nie wiem, czy spodoba się wam ten pomysł, ale musimy wrócić do tej jaskini, choćby nawet siedziało tam dziesięć smoków.

- Co takiego? - jęknął Pete. - Nie wydaje ci się, że mało brakowało, abyśmy nie uszli stamtąd z życiem?

Jupe kiwnął potakująco głową, a potem uniósł ręce i pokazał puste dłonie.

- Mam wprowadzić moją latarkę, bo była przypięta do paska, tak samo jak Boba i twoja. Ale w czasie tej panicznej ucieczki z jaskini zostawiliśmy tam całe nasze wyposażenie. Kamerę, magnetofon i linę. To jest pierwszy powód, żeby tam wrócić.

- No, dobra - powiedział niechętnie Pete. - To ma trochę sensu, choć nie za wiele. A drugi powód?

- Chodzi o tego smoka - stwierdził Jupiter bez pośpiechu. - Nie wierzę w to, że on był prawdziwy!

Dwaj przyjaciele wybałuszyli na niego oczy.

- Nie był prawdziwy? - spytał Pete. - Próbujesz nam wmówić, że potwór, który napędził nam tyle strachu, nie był żywym smokiem?

Jupiter kiwnął głową.

- Jeżeli ten smok nie był prawdziwy, jestem gotów pożreć moją koszulę - oświadczył Bob, potrząsając czupryną.

- Przyznaję, wyglądał jak żywy - powiedział Jupe.

Pete wydawał się lekko poirytowany.

- W takim razie o czym ty mówisz?

- Przyznaję, że ten smok wyglądał jak żywy - powtórzył Jupe. - Ale nie zachowywał się jak prawdziwy, żywy smok! Jest już za późno, żeby dyskutować o tym teraz - dodał po chwili. - Jutro rano powiem wam dokładnie, dlaczego nie wierzę w to, że on był żywy. A jeżeli przy następnej wizycie w jaskini okaże się, że się pomyliłem, sam zrobię to, czym ty się odgrażałeś, Bob. Osobiście zjem moją koszulę.

- Nie będziesz się musiał tym trudzić - powiedział Pete. - Zrobi to za ciebie ten smok. A przy okazji pożre też wszystko, co będzie miał pod ręką.

Rozdział 13

Błazeński żart

Bob źle spał tej nocy. Wyczerpany przeżyciami w jaskini, długo przewracał się z boku na bok. W męczącym półśnie uciekał z jednej jaskini do drugiej przed dymiącym gorącą parą smokiem, za każdym razem cudem ratując się z opresji. Ostatni obraz był szczególnie męczący. Smok prawie dopadł całej trójki w jakimś kącie, z którego nie było ucieczki. Bob obudził się czując, że wciąż jeszcze dygoce ze strachu.

Leżąc z otwartymi oczami, zaczął zastanawiać się nad tym, co powiedział Jupe. Czy rzeczywiście ten smok mógł nie być prawdziwy? Nie, to niemożliwe. Trudno by było wyobrazić sobie coś bardziej rzeczywistego.

W końcu zapadł na dobre w sen, z którego zbudził go głos mamy wołającej na śniadanie. Zaczął się powoli ubierać, jeszcze raz analizując wypadki zeszłej nocy. Próbował przypomnieć sobie jakiś szczegół, który wskazywałby, że smok był tylko sztucznie spreparowaną atrapą. Z przykrością stwierdził, że nie pamięta nic takiego. Wciąż jeszcze miał przed oczami obraz przerażającego potwora, słyszał jego sapanie, a nawet czuł jego zapach. Żaden sztuczny mechanizm nie mógłby robić tylu rzeczy naraz. Jupiter z pewnością się pomylił.

Kiedy Bob znalazł się przy stole, ojciec kończył już śniadanie. Powitał Boba skinieniem głowy i spojrzał na zegarek.

- Jak się masz, synku - powiedział. - Dobrze się bawiłeś z kolegami wczoraj wieczorem?

- Tak, tatusiu. Nie najgorzej.

Ojciec podniósł się i położył serwetkę koło swego nakrycia.

- To świetnie. Nie wiem, czy to może ci się do czegoś przydać, ale wydawało mi się, że interesuje cię ten tunel w Seaside, i po twoim wyjściu przypomniałem sobie nazwisko człowieka, który stracił na jego budowie cały swój majątek.

- Udało ci się? I kto to był?

- Nazywał się Labron Carter.

- Carter? - Bob natychmiast pomyślał o porywczym panu Carterze, właścicielu ogromnej strzelby, z którym rozmawiali wczoraj.

- Tak. A przy okazji, kiedy Rada Miejska Seaside odstąpiła od realizacji jego projektu przekształcenia miasta w wielki ośrodek wypoczynkowy, stracił też żelazne zdrowie, którym się wcześniej cieszył. No i wszystko to razem - utrata zdrowia, pieniędzy i dobrej opinii - doprowadziło go w końcu do samobójstwa.

- Fatalna historia. Nie wiesz przypadkiem, czy miał rodzinę?

Pan Andrews kiwnął głową.

- Zaraz po nim umarła jego żona. Przeżył jedynie syn. To znaczy - dodał po chwili wahania - nie wiem, czy żyje dotąd. Musisz pamiętać, że wszystko to wydarzyło się przeszło pięćdziesiąt lat temu.

Bob pomachał ojcu, który pospieszył do pracy w redakcji miejscowego dziennika. Dopisał podane mu przez tatę informacje do wczorajszych notatek, zastanawiając się, co też mógłby powiedzieć Jupe na temat tych zupełnie nowych okoliczności. Że być może żył ciągle ktoś, kto wiedział o istnieniu tunelu. Ktoś, kto żywił głęboką urazę do miasta, które złamało przed laty jego ojca. I miał bardzo złe skłonności.

Bob nie miał pojęcia, w jaki sposób pan Carter mógłby próbować wyrównać dawne rachunki. Schował swe notatki do kieszeni, dokończył śniadanie i biegiem opuścił dom.

Może Jupiterowi uda się wyciągnąć z tego wszystkiego jakieś rozsądne wnioski.

- Bycza sprawa! - wykrzyknął z uznaniem Pete Crenshaw. - To, co Bob powiedział o rodzinie Carterów, ma z pewnością sens, Jupe. Bardziej niż twoja uwaga, że smok był fałszywy.

Trzej Detektywi spotkali się znowu w Kwaterze Głównej. Na początek Bob odczytał swoje notatki na temat Labrona Cartera. W zapasie miał jednak więcej niespodzianek.

- Ciągle chodziło mi po głowie to, co powiedziałaś wczoraj o smoku. Dziś rano poszedłem więc prosto do biblioteki, żeby poszperać trochę w różnych książkach.

Jupiter rzucił okiem na kartki w ręku Boba.

- Wiesz, co, Bob, zdaje mi się że byłoby lepiej, gdybyś od razu przeszedł do sedna sprawy - powiedział. - To znaczy, czy w dzisiejszych czasach żyją prawdziwe smoki, czy nie?

Bob potrząsnął głową.

- Nie. Nie ma żadnych smoków. Nie znalazłem ani jednej książki, która zawierałaby jakieś dowody na ich istnienie.

- Czyste kretynstwo! - wybuchnął Pete. - Ci faceci, którzy je piszą, nie mają pojęcia, gdzie szukać smoków. Znaleźliby przynajmniej jeden okaz, gdyby posiedzieli w nocy parę minut w pobliżu pewnej jaskini w Seaside. I to jaki!

Jupiter podniósł rękę.

- Proponuję, żebyśmy najpierw pozwolili Bobowi dokończyć czytania jego notatek. A potem je przedyskutujemy. Mów dalej, Bob.

Bob zagłębił się w swych notatkach.

- Najbardziej podobnym do smoka zwierzęciem, jakie znalazłem, jest wielka jaszczurka, zwana Smokiem z Komodo. Jest bardzo duża jak na jaszczurkę, bo osiąga do trzech metrów długości, ale nie umywa się nawet do smoka, którego widzieliśmy.

- Może jedna z nich dostawała więcej witamin - odezwał się Pete.

- A my natrafiliśmy właśnie na nią.

- Nie - stwierdził Bob. - Smok z Komodo nie zieje dymem, a poza tym żyje tylko na jednej małej wyspie na Dalekim Wschodzie. I nie jest specjalnie podobny do tego stwora z jaskini. Myślę, iż możemy z całym spokojem przyjąć, że w naszych czasach nie ma na świecie żadnych smoków.

Ale znalazłem mnóstwo żyjących obecnie zwierząt, które atakują, zabijają, a nawet zjadają ludzi! Chcecie, żebym czytał dalej? - zapytał spoglądając na swych przyjaciół.

Jupe kiwnął głową.

- Oczywiście. Powinniśmy jak najwięcej wiedzieć o naszych naturalnych wrogach, a także o tych, którzy udają ich, żeby nas nabrać. Nie przerywaj, Bob.

- Proszę bardzo. Każdego roku umiera milion ludzi od ukąszenia owadów, roznoszących choroby; czterdzieści tysięcy traci życie od ukąszenia węża; dwa tysiące zabijają tygrysy; tysiąc osób ginie w paszczy krokodyla, a jeszcze tysiąc zjadają rekiny.

Bob przerwał na chwilę, jakby chciał spotęgować wrażenie wywołane tą statystyką.

- Zauważ, Pete - odezwał się Jupe - że nie ma jak dotąd ani słowa o wpływie smoków na populację ludzi. Wal dalej, Bob.

- To były dane na temat masowych przypadków - powiedział Bob.

- Ale ludzie giną też od słoni, hipopotamów, nosorożców, wilków, lwów, hien i lampartów. Czasami dzieje się tak przez przypadek. Rozróżnia się bestie, które zabijają, i bestie, które pożerają ludzi. Wiele z nich zabija tylko dla zabawy.

Ale według książki Jamesa Clarke'a "Człowiek - ofiarą drapieżników", przesadza się często w ocenie zagrożenia ze strony niektórych zwierząt, na przykład takich, jak niedźwiedzie polarne, pумы, orły i aligatory. Autor twierdzi, że tarantule są zupełnie niegroźne, niedźwiedzie grizzly czynią niewielkie tylko szkody, a pszczoły są na tyle inteligentne, aby trzymać się z dala od człowieka. Píše też, że jeśli ktoś chce zostać zjedzony, powinien pojechać do Afryki Środkowej albo na Półwysep Indyjski. Według niego najbezpieczniejszym krajem jest Irlandia, gdzie najgroźniejszymi zwierzętami są trzmiele!

Bob zamknął swój notes. W małym pomieszczeniu zapadła cisza.

- No i co o tym powiesz? - zapytał Jupe Pete'a.

Pete potrząsnął czupryną.

- Po tym, co usłyszałem, Seaside wydaje się najbezpieczniejszym miejscem na ziemi zaraz po Irlandii - powiedział z uśmiechem. - Zostało wam już tylko przekonać mnie, że wczoraj nie widzieliśmy tam żadnego smoka.

- No więc, na początek - zaczął Jupe - ani przez moment nie widzieliśmy...

Rozległ się dzwonek telefonu. Jupiter wyciągnął rękę po słuchawkę, potem jednak zawahał się.

- Nie bój się. Podnieś ją - zachęcił go Pete. - Może znowu dzwoni ten umarlak czy duch. On prawdopodobnie próbował przekonać też tego smoka, żeby się trzymał z dala od jaskini.

Jupiter roześmiał się i podniósł słuchawkę.

- Halo?

Jak zwykle pochylił się ze słuchawką do mikrofonu, aby Bob i Pete także mogli słyszeć całą rozmowę.

- Halo - odezwał się znajomy głos. - Mówi Alfred Hitchcock. Czy to ty, Jupiterze?

- Tak. Witam pana. Domyślam się, że dzwoni pan, żeby się dowiedzieć, jak nam idzie dochodzenie w sprawie psa pańskiego przyjaciela?

- Tak. Powiedziałem Henry'emu Allenowi, że rozwiążecie tę zagadkę szybko i sprawnie. A teraz chciałbym tylko zapytać, czy udało się wam odkryć już coś do tej pory. Znaleźliście jego pieska?

- Jeszcze nie, proszę pana - odrzekł Jupiter. - Musimy wyjaśnić najpierw inną tajemnicę. Chodzi o kaszlącego smoka.

- Nabieracie mnie - odpowiedział pan Hitchcock. - Myślicie, że tam naprawdę jest smok? Do tego kaszłący? Życie płata czasami dziwaczne figle. Tak się szczęśliwie składa, że jesteście w kontakcie z największym w świecie żyjącym ekspertem od smoków.

- O kim pan mówi? - spytał Jupiter.

- No jak to, oczywiście o Henrym Allenie - oświadczył pisarz, specjalizujący się we wszystkich tajemniczych zjawiskach. - Dziwi mnie, że sam nie powiedział wam o tym. Ani przedtem, ani potem nikt nie dał zatrudnienia tylu smokom, co on w swoich filmach.

- Rzeczywiście, wspominał nam o tych swoich filmowych potworach - powiedział Jupiter - ale widocznie nie spodziewał się mimo to zobaczyć smoka na plaży pod swoim domem. Dziękuję panu za telefon. Myślę, że powinniśmy raczej zdać raport o postępach dochodzenia panu Allenowi. Zadzwoń później do niego.

- Nie ma takiej potrzeby - stwierdził niespodziewanie pan Hitchcock. - Mam go tu właśnie na innej linii. Zadzwoił do mnie przed chwilą, aby mi powiedzieć, że zrobiliście na nim duże wrażenie. Poczekaj chwilkę, zaraz przełączę go na twoją linię. Mam nadzieję, że poradzę sobie z tymi przyciskami w mojej centralce.

Przez chwilę telefon milczał, potem ozwało się ciche kliknięcie, wreszcie chłopcy usłyszeli głos starego reżysera.

- Halo, czy mówię z Jupiterem Jonesem?

- Tak, proszę pana. Przykro mi, że do tej pory nie wpadliśmy na ślad pańskiego psa. Ale nie poddajemy się jeszcze.

- Zuch z ciebie - powiedział pan Allen. - W gruncie rzeczy nie spodziewałem się wyjaśnienia sprawy tak prędko. Może mojego psa złapał po prostu jakiś nieznajomy i zabrał ze sobą. Jak ci mówiłem, piesek jest bardzo łagodny i nie boi się obcych.

- Wzięliśmy pod uwagę taką możliwość - powiedział Jupiter. - Czy znalazł się może któryś z zaginionych psów pana sąsiadów?

- Nie - odparł pan Allen. - Domyślam się, dokąd zmierzasz, młodzieńcze. Dziwny zbieg okoliczności, prawda? Że wszystkie te psy znikły mniej więcej w tym samym czasie.

- Tak - powiedział Jupiter.

- Czy rozmawialiście z którymś z moich sąsiadów?

- Tylko z tymi, którzy, jak pan wspomniał, nie mieli psów. Z panem Carterem i z panem Shelbym.

- Czy powiedzieli wam coś ciekawego?

- Ma pan dość niezwykłych sąsiadów, panie Allen - stwierdził Jupiter. - Pan Carter był bardzo zły, że mu przeszkadzamy, i postraszył nas strzelbą. On nie lubi psów. Zdaje się, że za często biegały po jego ogrodzie. Dał nam do zrozumienia, że jest gotów je powybijać.

Pan Allen roześmiał się.

- To tylko przechwałki. Carter robi zawsze dużo szumu. Ale nie przypuszczam, aby posunął się do tego, żeby strzelać do bezbronnego zwierzęcia. A jak wam poszło z moim przyjacielem Shelbym?

- Nieźle - odparł Jupe. - Pan Shelby był bardziej uprzejmy, ale tylko trochę. Znalazł inny sposób, żeby nas przestraszyć.

Stary reżyser roześmiał się znowu.

- Ach, masz na myśli urządzenia przed jego domem, zainstalowane w celu odpędzania domokrażców i innych nieproszonych gości? Powinienem być was uprzedzić, że Arthur Shelby jest wielkim kawalarzem.

- Powiedz mu, że sami się tego domyśliliśmy - szepnął Bob.

- Być może Shelby próbuje dać mi w ten sposób do zrozumienia, że nie jestem jedynym człowiekiem w tych stronach, który umie straszyć ludzi - ciągnął pan Allen. - Oglądał pewno horrory, które nakręciłem dawno temu, i chce mi się zrewanżować tym samym. - Przez chwilę chichotał do słuchawki. - I w rzeczy samej, to jego specyficzne poczucie humoru kosztowało go kiedyś utratę zamówienia ze strony miasta na poważne prace. Ojcowie miasta nie docenili tej cechy jego charakteru.

Jupiter popatrzył znacząco na swych przyjaciół. Obaj przysunęli się, aby lepiej słyszeć rozmowę.

- A co takiego się stało? - spytał Jupe, starając się mówić obojętnym tonem.

- Miało to miejsce kilka lat temu - powiedział pan Allen. - Shelby jest inżynierem. Współpracował z miejskim Biurem Planowania. Można by powiedzieć, znał od podszewki wszystkie sprawy w tym mieście. Pewnego dnia postanowił wykorzystać tę wiedzę.

- W jaki sposób? Co takiego zrobił?

Pan Allen zachichotał.

- Wydarzyło się to w dniu jego urodzin. Shelby postanowił zażartować sobie w ten sposób. Właściwie nie stało się nic wielkiego. Wyłączył tylko jednocześnie wszystkie światła na skrzyżowaniach. Powiedział potem, że chciał mieć tort urodzinowy bez świeczek. Nie muszę chyba mówić o tym, że ruch w całym mieście został całkowicie sparaliżowany. Przedsiębiorcy spóźniali się na posiedzenia, wszyscy przyjechali z opóźnieniem do pracy i później wrócili do domu.

Było to tylko czasowe wyłączenie, trwające parę godzin. Ale wzbudziło wielkie oburzenie, że coś takiego mogło się wydarzyć w naszym ruchliwym, nowoczesnym mieście. Mnóstwo ważnych osobistości rozgniewało się nie na żarty. Postanowiono znaleźć winnego. Dziwna rzecz, ale Shelby przyznał się. Oświadczył, że chciał w ten sposób uczcić swoje urodziny - po prostu dla żartu.

- W jaki sposób go ukarano? - zapytał Jupiter.

- Został zwolniony, to jasne. Zabezpieczono się też, aby już nigdy nie mógł zatrudnić się w miejskich służbach. Znalazł się w podobnej sytuacji, jak ja, to znaczy człowieka pozbawionego środków utrzymania.

- Chce pan powiedzieć, że nie jest w stanie zarobić na życie? - zapytał Jupiter.

- W każdym razie nie było mu łatwo - przyznał starszek. - Czasami wykonuje jakieś prace dla handlowych firm, potrzebujących reklamy. Elektryczne tablice świetlne, które

pracują w bardzo wymyślny sposób. Tego rodzaju rzeczy. Ale niezbyt często. Do tej pory, jak widzisz, płaci za tamten żart.

- A jeżeli chodzi o pochód w czasie Święta Róży? - zapytał Jupiter. - Czy pan Shelby przygotowywał im kiedykolwiek te ruchome platformy?

Zapadła krótka cisza. Po chwili pan Allen zaczął znowu mówić, lekko się wahając.

- Nic mi o tym nie wiadomo. To są zresztą konstrukcje z kwiatów. A Shelby sporządza raczej różne mechanizmy. Poza tym ci, którzy organizują wielkie pochody, traktują to bardzo poważnie. Mnóstwo ludzi kupuje bilety na miejsca na trybunach, żeby obejrzeć barwny korowód w Pasadenie, który jest pokazywany w telewizji. Nie, młody człowieku, bardzo wątpię, aby ktoś o ustalonej opinii żartownisia został zatrudniony przy tego rodzaju imprezach.

- Szkoda - powiedział Jupiter. - No cóż, w każdym razie pan Shelby sporządza mnóstwo takich rzeczy dla własnej rozrywki. Powiada, że nikomu nie robią one krzywdy.

- Niektórzy nie lubią tego rodzaju figlów, mój chłopcze. Uważają to za przejaw prostactwa. A więc, do widzenia...

- Chwileczkę, jeszcze tylko jedno pytanie - powiedział Jupiter. - Chodzi o smoka, którego widział pan tamtego wieczoru. Czy jest pan pewien, że słyszał pan jego kasłanie?

- Z całą pewnością - odparł reżyser. - Brzmiało to tak, jakby ten smok kasłał.

- I oglądał go pan ze szczytu skarpy przed pana domem, jak wchodził do jaskini?

- Tak, synku. Jestem tego pewien. Było wprawdzie późno, ale mimo braku sponsorów i zamówień na filmy w ostatnich latach, nie utraciłem jeszcze władz umysłowych. A jeśli chodzi o oczy, to nadal widzę wystarczająco dobrze.

- Dziękuję panu, panie Allen. Będziemy w kontakcie z panem.

Jupiter odłożył słuchawkę, a potem odwrócił się do kolegów.

- No i co powiecie? - zapytał. Bob i Pete wzruszyli ramionami.

- Dowiedzieliśmy się, że Shelby jest kimś w rodzaju błazna czy żartownisia - powiedział Pete. - I bez pomocy pana Allena mógłbym dojść do takiego samego wniosku. Ten ptak przestraszył mnie tak samo, jak smok w jaskini.

- Która to okoliczność pozwala mi dojść do pewnej konkluzji - stwierdził Jupe. - A ściślej, jestem zdania, że pan Allen, dla którego, jak mi się wydaje, pracujemy ostatnio, niezupełnie zasługuje na nasze zaufanie, przynajmniej jeśli chodzi o prawdziwość twierdzeń.

- Nie mógłbyś wyrażać się jaśniej? - skrzywił się Pete.

- On chciał nam powiedzieć, że staruszek Allen kłamie - wyjaśnił Bob.

- No to dlaczego nie mówi tego wprost? - zapytał z rozżaloną miną Pete, a potem spojrzał na Jupitera. - Spróbuj wyjaśnić mi w zrozumiały dla mnie sposób, na czym polegają jego kłamstwa.

Jupiter wyrozumiale kiwnął głową.

- Twierdził, że oglądał smoka wchodzącego do jaskini, stojąc na brzegu urwiska.

Pete wydawał się zaintrygowany.

- No i co tu jest nie w porządku?

Jupiter poruszył się na krześle.

- Nie rozumiesz? W tym miejscu skała wystaje mocno nad przepaścią. Jest niemożliwością, żeby ktoś, kto stoi na krawędzi, mógł widzieć jaskinię albo coś, co do niej wchodzi. Zauważyłem to zeszłej nocy.

Pete z zakłopotaniem podrapał się po głowie.

- Sam nie wiem. Być może racja jest po twojej stronie. Możesz to udowodnić?

Jupiter wyprostował się uroczyście.

- Mam zamiar to zrobić. Dziś wieczorem, kiedy pojedziemy tam znowu. Być może uda mi się odsłonić nie tylko oszustwa pana Altena, ale przy okazji także całą mistyfikację ze

smokiem w roli głównej. Nie zapominajcie, że w tej sprawie jest kilka podejrzanych osób. Są to ludzie, którzy mogli mieć informacje na temat tunelu oraz jakieś dawne urazy wobec innych. Zarówno Allen, jak i Shelby stracili zajęcie i odsuwano ich od pracy. Pan Carter, jeżeli jest rzeczywiście synem budowniczego tunelu, mógł także wiedzieć o jego istnieniu, a poza tym chciał się może odegrać na wielu ludziach. Nie wiem jeszcze, jak to wszystko łączy się ze sprawą smoka i z jaskinią, którą odkryliśmy. Ale dziś wieczorem dowiemy się może czegoś więcej na miejscu.

- Chcesz powiedzieć, że wracamy dziś wieczorem do jaskini? - spytał Pete. - Znów mamy się tam znaleźć? I narazić na spotkanie sam wiesz z czym?

Jupiter nie odezwał się. Zajęty był pisaniem czegoś na leżącej przed nim kartce. W chwilę potem sięgnął po słuchawkę telefonu.

- Przede wszystkim muszę się jeszcze czegoś dowiedzieć - stwierdził sucho. - Powinienem był pomyśleć o tym wcześniej.

Rozdział 14

Zaczyna się polowanie na smoka

- Mam nadzieję, że jesteście w odpowiednim nastroju, aby pójść do kina - zwrócił się Jupiter do swych dwu przyjaciół. - Bo jeżeli wszystko dobrze pójdzie, niedługo zobaczymy fajny film.

Bob i Pete popatrzyli na siebie obojętnie, a potem przenieśli wzrok na Jupitera. On zaś, nie zwracając uwagi na ich pytające spojrzenia, jedną ręką podniósł słuchawkę i wybrał numer, drugą zaś notował coś w dalszym ciągu.

W chwilę później usłyszeli głos Alfreda Hitchcocka.

- Ale jesteś szybki, Jupe. Rozwiązałeś już zagadkę zaginionych psów z Seaside?

Jupiter uśmiechnął się.

- Nie do końca, proszę pana. Dzwonię do pana w związku z tym, co mi pan powiedział przed chwilą. Wspomniał pan, że pański przyjaciel, pan Allen, był specjalistą od smoków i wykorzystywał je w swoich horrorach.

- Oczywiście. Robił filmy z nietoperzami, wilkołakami, wampirami, upiorami, duchami, smokami... Były tylko widzowie odchodzili od zmysłów ze strachu! Szkoda, że jego filmy powstały tak dawno, zanim wy pojawiliście się na świecie. Mogę cię zapewnić, że miłośnicy filmów Henry'ego do dziś dostają gęsiej skórki na samo tylko wspomnienie potworów, które w nich grały.

- Ja też o tym słyszałem - powiedział Jupiter. - Domyślam się, że aby osiągnąć takie efekty, pan Allen dbał, żeby jego potwory i bestie wyglądały całkiem jak żywe.

- Masz absolutnie rację, Jupe. Ludzie nie boją się kiepskich imitacji rzeczy, które powinny przerażać. Muszą one wyglądać i poruszać się jak prawdziwe.

Jupiter kiwnął głową.

- A kto je wytwarza?

Alfred Hitchcock roześmiał się.

- W każdym studiu filmowym są bardzo zręczni i pomysłowi rekwizytorzy, którzy konstruują te monstra. Czasami taki przerażający stwór poruszany jest motorem ukrytym sprytnie w środku, albo przy pomocy korby i specjalnych przekładni. Za każdym razem stosuje się inną technikę, zależnie od roli, jaką wyznaczono potworowi w filmie. Można na przykład przesuwając takiego potwora po trochu i za każdym razem robić oddzielne zdjęcie, i tak bez końca, aż wypełni on wszystkie zadania przewidziane w scenariuszu. Ta technika nosi nazwę animacji. Kiedy wszystkie klatki na taśmie filmowej wyświetli się w szybkim tempie, powstaje wrażenie płynnego ruchu.

- Rozumiem - powiedział Jupiter. - A co się dzieje z tymi maskarami po nakręceniu filmu?

- Czasami odstawia się je do magazynu, z myślą o wykorzystaniu w innym filmie, albo przekazuje do sprzedania domowi aukcyjnemu. Albo po prostu niszczy. Masz jeszcze coś?

- Rzeczywiście, mam - powiedział Jupiter, któremu rzadko zdarzało się, aby nie wiedział, co powiedzieć. - Nie wie pan przypadkiem, w jaki sposób moglibyśmy obejrzeć jakiś film pana Allena, w którym występowały smoki?

- Dziwne, że pytasz mnie o to teraz. Właśnie wypożyczyłem kopię klasycznego filmu tego gatunku w reżyserii pana Allena. Nosi on tytuł "Potwór w jaskini" i opowiada prawie wyłącznie o smoku. Rozmawiając z Henrym, zatęskniłem za przeżyciami, których dostarczały mi zawsze jego filmy. No i wypożyczyłem jeden z nich, żeby przypomnieć sobie te dawne strachy.

- Ojej, strasznie by nam to pomogło, gdybyśmy obejrzeli ten film - powiedział prędko Jupiter. - Bardzo bym chciał zobaczyć, jak naprawdę powinien wyglądać i zachowywać się prawdziwy smok. Czy nie moglibyśmy obejrzeć tego filmu razem z panem?

Pan Hitchcock nie wahał się ani chwili.

- Oczywiście, przyjedźcie do mnie za godzinę. A więc do zobaczenia. W słuchawce zapadła cisza. Jupiter odłożył ją bez pośpiechu, a potem odwrócił się do Pete'a i Boba.

- Pamiętajcie - powiedział. - Będziemy oglądać coś, co uważa się za możliwie najwierniejszą imitację prawdziwego smoka. Starajcie się uważnie przyjrzeć wszystkiemu, co będzie się ukazywać na ekranie. Być może zobaczycie coś, co będzie mogło później uratować nam życie.

- Co by to mogło być - zapytał Bob.

Jupiter wstał z krzesła i przeciągnął się.

- Opieram całą rozgrywkę na założeniu, że smok z Seaside to zwykła podróbka. Ale nie jest wykluczone, że się mylę. W takim przypadku nasz smok jest prawdziwy!

W godzinę potem, rozparci na miękkich siedzeniach ogromnego rolls-royce'a z Worthingtonem za kierownicą, Trzej Detektywi zajechali z godnością pod dom Alfreda Hitchcocka, położony na przedmieściach Malibu.

Pan Hitchcock powitał chłopców na progu i zaprowadził ich do przestronnej kuchni. W jego domu była kiedyś restauracja o nazwie "U Charliego", toteż kuchnia musiała mieć odpowiedni metraż.

- Pomyślałem, że będzie to najlepsze miejsce na projekcję filmu. Nie ma tu wielkich okien, które rzucają dużo światła, jak na przykład w salonie. A ta oto biała ściana posłuży nam za ekran. Rozgośćcie się, bardzo proszę.

Kiedy chłopcy zajęli miejsca, gospodarz zgasił światła i włączył projektor. Zabrzmiało charakterystyczne terkotanie aparatury.

- Chciałbym zwrócić waszą uwagę na to, że film ten powstał dawno temu - wyjaśnił pan Hitchcock. - Będziemy oglądać jedną z bardzo już nielicznych kopii, jakie się zachowały. Jest trochę prześwietlona i miejscami będą się zdarzać ciemne, niewyraźne plamy. Na nieszczęście, nie da się temu zaradzić. To tyle tytułem wytłumaczenia jej niedoskonałości. Zabieramy się do oglądania!

W chwilę potem chłopcy nie pamiętali już, gdzie się znajdują. Pan Hitchcock nie przesadzał. Film wciągnął ich już od pierwszych scen. Z zapartym tchem śledzili rozwój akcji, poprowadzonej sprawną ręką reżysera ku przerażającej kulminacji.

Na ekranie ukazała się jaskinia. Chłopcy znaleźli się w jej wnętrzu, a zaraz potem, czując, że serca skaczą im do gardła, zobaczyli wielkiego smoka.

Wkraczając do jaskini, zappełnił sobą cały ekran. Jego ogromna, groteskowa figura rysowała się groźnie na tle wylotu jaskini. Małe skrzydła unosiły się i opadały, ukazując grę potężnych mięśni, kurczących się i rozprężających jak u żywego smoka pod mokrą, pokrytą łuskami skórą. Po chwili jego mała, ciemna głowa na długiej, kołyszącej się szyi obróciła się w ich kierunku.

Potężne, wielkie szczęki rozwarły się i usłyszeli wściekły ryk.

- Ojej! - szepnął Pete, wciskając się bezwiednie w oparcie krzesła. - On jest naprawdę jak żywy!

W miarę przybliżania się straszliwego potwora Bob zaczął coraz mocniej zaciskać dłonie na poręczach fotela.

Jupiter, nieruchomy, koncentrował się na każdym ruchu smoka.

Jak zahipnotyzowani siedzieli aż do ostatniej sceny filmu. Kiedy mroczną kuchnię zalał niespodziewanie potok światła, jeszcze przez długą chwilę nie opuszczało ich napięcie, wywołane oglądanymi obrazami.

- O, holender! - wykrzyknął Bob. - Ale miałem cykora. Całkiem jak wczoraj w nocy. Zapomniałem, że to tylko film!

Jupiter kiwnął głową.

- Mieliliśmy tu dowód na to, jakie efekty może osiągnąć prawdziwy mistrz horroru. Pan Allen potrafił narzucić nam, co tylko chciał, każąc wierzyć we wszystko. Przy pomocy dobrze podrobionego smoka na celuloidowym filmie przeraził nas do utraty zmysłów. Postawił sobie taki cel, a my poddaliśmy się sugestywnej sile jego obrazów. To jest coś, o czym powinniśmy zawsze pamiętać.

- A więc - powiedział pan Hitchcock - wiecie już, dlaczego mój przyjaciel Henry uważany był kiedyś za króla filmów grozy?

Jupiter odpowiedział skinieniem głowy. Miał ochotę zasypać gospodarza mnóstwem pytań, zorientował się jednak, że pan Hitchcock jest bardzo zajęty i jak najprędzej chce wrócić do swego biurka. Podziękował więc tylko za projekcję filmu.

- Cała przyjemność po mojej stronie - oświadczył Alfred Hitchcock. - Obejrzelście filmowego smoka, będę więc tym niecierpliwiej czekał na wieści o potworze z Seaside.

Odprowadził chłopców do drzwi, za którymi czekał na nich błyszcząca rolls-royce z panem Worthingtonem.

Usadowili się na skórzanych siedzeniach i powoli ruszyli dojazdową aleją w kierunku autostrady.

- Kazałeś nam dobrze przyjrzeć się temu smokowi - odezwał się po chwili Bob. - Wytrzeszczałem gały, jak tylko mogłem, i nie dostrzegłem żadnej różnicy między naszym smokiem i tym na filmie. A ty Pete?

Pete przejechał ręką po włosach.

- Zauważyłem tylko, że ten filmowy smok trochę ładniej ryczał.

- Nie wydaje mi się - odparł Bob. - Nasz po prostu bez przerwy kaszle.

Jupiter uśmiechnął się.

- Tak, dokładnie tak.

- Jupe, co masz na myśli? - spytał Pete.

- To, że nasz smok z Seaside jest najwidoczniej bardziej wrażliwy na złą pogodę. Zdaje mi się, że musiał się przeziębić.

Bob ukradkiem przyjrzał się Jupiterowi, który siedział z najwyraźniej zadowoloną miną. Ogarnęły go wątpliwości. Z doświadczenia wiedział już, że kiedy Jupiter ma taki wyraz twarzy, oznacza to, że odkrył coś ważnego. Coś, co umknęło uwagi ich obu.

- Jakim cudem nasz smok mógł się przeziębic - spytał Bob. - Przecież wszystkie smoki żyją w wilgotnych jaskiniach i w wodzie.

Jupiter przytaknął.

- Właśnie to mam na myśli. Za parę godzin, kiedy znajdziemy się tam znowu, rozwikłamy tajemnicę tego kaszlu. Jeśli moja teoria jest prawidłowa, wyjaśni się też, dlaczego mogliśmy wydostać się stamtąd i nie stracić życia.

Pete zamyślił się i zmarszczył brwi.

- To, co mówisz, Jupe, wygląda dość obiecująco. Ale co się stanie, jeżeli twoja teoria okaże się błędna?

Jupiter wydał policzki.

- Lepiej, żeby się sprawdziła. Ostatecznie stawiam na tę kartę i moje, i wasze życie.

Rozdział 15

Pytania i odpowiedzi

- Może byś wreszcie przestał być tak tajemniczy, Jupe - wybuchnął nagle Pete - i powiedział nam, co się szykuje. Stworzyliśmy zespół Trzech Detektywów, aby rozwiązać różne zagadki i wyjaśniać tajemnicze sprawy. Nie było mowy o tym, że mamy zamienić się w jakichś kamikadze. Lubię życie, które prowadzę, Bob prawdopodobnie także wolałby nie rozstawać się z tym światem. Bob, co o tym myślisz?

Bob uśmiechnął się i kiwnął głową.

- Oczywiście, że nie. A gdybym się przypadkiem rozstał, kto zająłby się dokumentacją i badaniami? Pete ma rację, Jupitku. To nie miałyby sensu.

Jupe wzruszył ramionami.

- Nie mam jeszcze całkowitej pewności. Nie miałem oczywiście zamiaru narażać bez potrzeby siebie i was na utratę życia. Ale czasami po prostu trzeba podjąć ryzyko.

Pete poruszył się niespokojnie.

- Och, nie pójdzie ci tak łatwo. Jeżeli o mnie chodzi, to najpierw będziesz musiał mnie przekonać do tego. Dwa dni temu oglądałem film, który tata przyniósł do domu. Było w nim mnóstwo specjalnych efektów. A główny bohater, naukowiec, podjął takie właśnie ryzyko. Wolałbym nie opowiadać ci, co się z nim stało.

Jupe spochmurniał.

- Zapomniałem na śmierć, że twój ojciec jest ekspertem od specjalnych efektów filmowych, Pete. O czym to było?

- O owadach - odparł Pete szczerząc zęby.

- O owadach?

- Tak, o mrówkach i chrząszczach, które przejęły władzę nad światem - wyjaśnił Pete.
- Jeden z tych fantastycznonaukowych horrorów. Wierz mi, to było tak samo przerażające, jak ten stary film o smoku, który dopiero co obejrzelśmy. Owady miały po piętnaście, a nawet trzydzieści metrów. Były wielkie jak domy.

- Jak oni to nakręcili?

- Wykorzystali prawdziwe mrówki i robale.

- Daj spokój, Pete - zachnął się Bob. - Prawdziwe mrówki wielkie jak domy?

Pete skinął głową.

- Tata wytłumaczył mi to. Technika jest trochę inna od tej, o której mówił nam pan Hitchcock. Najpierw fotografuje się prawdziwe owady przez specjalny pryzmat, podobny do obiektywu, a potem powiększa i nakłada na siebie, wreszcie fotografuje jeszcze raz na tle zdjęć budynków. Wyglądają jak żywe i budzą przerażenie, ponieważ rzeczywiście są żywe. Tak samo zostało nakręconych wiele filmów o potworach, które przybyły z kosmosu.

Jupiter znów zaczął się bawić dolną wargą.

- Masz ten film jeszcze w domu? - zapytał w zamyśleniu.

- Będzie jeszcze przynajmniej przez tydzień - powiedział Pete. - Tata powiedział nawet, że na pewno spodobałby się tobie i Bobowi. Zapraszam was, kiedy tylko chcecie. Wstęp wolny!

Jupiter poruszył się niespokojnie.

- Obawiam się, Pete, że skorzystamy z niego prędzej, niż myślisz. - Spojrzał na zegarek, a potem znowu na Pete'a. - Czy twój projektor może działać na baterie?

Pete kiwnął głową.

- Jasne. I na baterie, i na prąd z sieci.

Jupiter zacisnął usta.

- Ale jest waszą własnością, tata nie wypożyczył go z wytwórni?

- Oczywiście, że jest nasz. To znaczy, mojego taty. Ale dlaczego właściwie tak się dopytujesz?

- Chodzi o to, żebyśmy nie stracili życia... a przy okazji wyjaśnili tę zagadkę. Jak myślisz, czy twój tata wypożyczyłby nam projektor razem z tym filmem, który oglądałeś? Jeszcze na dziś wieczór?

Pete dostał prawie oczopląsu.

- Chcesz go tam zabrać?

- Tak, chcę go tam zabrać - powtórzył Jupe. - Pomysł jest tak samo fantastyczny, jak film, który chciałbym komuś pokazać.

Pete potarł czubek nosa, a potem wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia, Jupe. Ale myślę, że tata się zgodzi. Musiałbym oczywiście zadzwonić do niego, żeby mi udzielił pozwolenia.

- To wspaniale - powiedział Jupe.

- Tak, tak, wspaniale - odparł Pete. - Ale zanim zabiorę się do przekonywania taty, że wszystko będzie dobrze, chciałbym wiedzieć, dokąd jedziemy dziś wieczorem, i po co. Mam już dość tego wodzenia za nos po omacku.

Bob kiwnął głową na znak swego poparcia.

Obaj utkwili wzrok w twarzy Jupitera. On zaś przez chwilę próbował zignorować ich surowe spojrzenia. W końcu wzruszył ramionami i rozłożył ręce.

- Dobrze, skoro tak wam zależy - powiedział. - Miałem nadzieję, że uda mi się utrzymać moje domysły i wnioski w sekrecie. Przede wszystkim dlatego, że nie jestem całkowicie pewien ich poprawności. A nawet jeżeli są poprawne, nie bardzo wiem, dokąd one mogą nas zaprowadzić. Zaczęliśmy to dochodzenie od próby odnalezienia psa, który zaginął. Ale potem wyłoniły się inne tajemnicze zagadki. Żadna z nich nie wydaje się łączyć ze sprawą zaginionego psa, czy też raczej pięciu psów z Seaside. Pan Allen zlecił nam

odszukanie jego psa, Korsarza. Od samego początku czułem, że znalezienie tego psa pozwoli wyjaśnić też zagadkę zaginięcia pozostałych. Ale to było przedtem, zanim zetknęliśmy się ze smokiem.

- No właśnie, co z tym smokiem? - spytał Bob. - Dałeś nam jasno do zrozumienia, że uważasz go za podróbkę. A więc?

- Tak - przyznał Jupe. - Mimo że miałem takiego samego pietra i uciekałem jak i wy obaj, sądziłem, że jest sporo powodów, żeby wątpić w prawdziwość tego smoka z jaskini.

- No to zdradź nam chociaż jeden - powiedział Pete. - Dlaczego pomyślałeś, że on nie może być prawdziwy?

- Z wielu względów. Nieprawdziwa była jaskinia. Nieprawdziwy stary tunel. Nieprawdziwe wejście do niego. Jeżeli wziąć to wszystko pod uwagę, podejrzenie o nieautentyczność smoka nasuwa się samo.

- Nie zauważyłem ani jednej z tych rzeczy - przyznał się Bob.

- Zacznijmy od pierwszej jaskini - powiedział Jupe. - Znalezliśmy tam jakieś podejrzane deski. Odsunęliśmy jedną z nich i ukazało się wejście do przemysłowej pieczary.

- Pamiętam, że przyglądałeś się im z trochę dziwną miną - powiedział Bob. - Co tam było nieprawdziwego?

- Miała to być stara jaskinia, kryjówka przemysłowców i piratów. Deski były wprawdzie stare, ale tylko niektóre.

- Niektóre? - zapytał Pete.

Jupiter kiwnął głową.

- Na przykład deska, którą odsunęliśmy. Ale był też długi i szeroki kawał sklejki. Nie muszę wam chyba przypominać, że sklejka jest dość niedawnym wynalazkiem. Nie mogli posługiwać się nią piraci ani nawet przemysłowcy.

- Sklejka? - powtórzył Pete, marszcząc brwi. - No, może i tak. Ale nie jest to żaden istotny szczegół, który by czegoś dowodził.

Jupiter wrócił do swego wywodu.

- Przejdźmy do następnej jaskini, tej, którą odkryliśmy, kiedy Bob znalazł tę ruchomą kamienną płytę. Nadal nie wiemy, kto zainstalował ten mechanizm. Jak pamiętacie, posuwając się w głąb tej jaskini, szliśmy w kierunku łądu, ponieważ nie było innej drogi. Żadnego wyjścia na plażę, żadnego otworu, jak w pierwszej.

Niedługo potem musieliśmy się zatrzymać. Natknęliśmy się na coś, co z pozoru wyglądało na masywną ścianę skalną. Mieliśmy nadzieję, że ta jaskinia doprowadzi nas do tunelu, o którym dowiedział się Bob w czytelniku.

Obaj partnerzy Pierwszego Detektywa kiwnęli głowami.

- Pamiętam, że zacząłeś skrobać ścianę scyzorykiem - powiedział Pete, śmiejąc się. - Czego się dowiedziałeś oprócz tego, że na litej skale można zepsuć najlepsze nawet ostrze?

Jupiter sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej swój scyzoryk i otworzył go.

- Widzicie te szare drobinki na ostrzu? - zapytał. - Powąchajcie je.

Pete i Bob pochylili się i pociągnęli nosami.

- To farba! - wykrzyknęli jednocześnie.

Jupiter przytaknął, zamknął scyzoryk i schował go do kieszeni.

- Nikt nigdy nie malował ścian starych jaskiń - powiedział. - A kiedy zdrapałem farbę, ostrze zostawiło ryse na powierzchni ściany. Według mnie, ta ściana nie była wcale skałą, ale jakąś konstrukcją wyłożoną płytami pilśniowymi albo gipsowymi, a potem pomalowaną szarą farbą, natryśniętą po wymieszaniu z piaskiem i grubym żwirem, który nadawał powierzchni wygląd przypominający naturalną skałę. A płyty pilśniowe i gipsowe zostały, jak wiecie, wprowadzone do użytku całkiem niedawno i są powszechnie stosowane do wykładania ścian w domach albo robienia ścianek działowych w biurach. Jest ich wiele rodzajów, niektóre wyglądają na przykład jak mur z cegły.

Uważam, że ten, kto postawił tę ścianę, próbował ukryć to, co jest za nią, być może coś cennego i godnego uwagi.

- Na przykład? - spytał Bob.

- Na przykład, jak podejrzewam, ten stary tunel, w którym miała jeździć szybka kolej miejska!

- To możliwe - wykrzyknął Pete. - Ktoś odkrył ten stary tunel i zamknął go, żeby inni nie mogli go znaleźć! Bo nawet jeśli komuś udałoby się dotrzeć do tej ściany, ona zawróciłaby go na pewno.

- Chyba że - wtrącił się Bob - tunel został zamknięty w ten sposób przez tych, którzy go budowali.

- Prefabrykowane płyty nie mogą pochodzić sprzed pięćdziesięciu lat - stwierdził Jupe.

- Może i nie - upierał się Bob. - Ale nie wiemy dokładnie, kiedy postawiono tę ścianę. Mogli zrobić to później, żeby nie wchodziły tam dzieci i zwierzęta.

Jupe zamyślił się.

- Wiesz, Bob, to możliwe, choć osobiście w to wątpię. Ale teraz musimy przeanalizować trzecie tajemnicze wydarzenie. Znajdowaliśmy się koło ściany. Właśnie ją badałem i odwróciłem się do was, żeby pokazać wam te drobinki na ostrzu noża, kiedy...

Pete skinął głową i przełknął ślinę.

- ...nagle jaskinia otworzyła się i zrobiło się w niej dużo jaśniej, a potem wszedł do niej smok. Choć już wiem, co masz na myśli. - Pete podrapał się w głowę. - A przynajmniej tak mi się wydaje. Może jednak lepiej ty to powiedz.

- Jak chcesz - zgodził się Jupe. - Jaskinia otworzyła się. Ale w jaki sposób? Czy to w ogóle było możliwe? Na zewnątrz nie było żadnych widocznych wrót ani szczelin. Gdyby były, weszlibyśmy najpierw raczej do tej jaskini, a nie do tej pierwszej, gdzie Bob wpadł w tę błotnistą studnię.

- No dobra - przyznał Bob. - My nie znaleźliśmy żadnego wejścia. Ale smok musiał wiedzieć o jego istnieniu, ponieważ udało mu się je otworzyć. Być może jest dużo sprytniejszy od nas.

Jupiter uniósł rękę.

- Widzicie, moja teoria jest oparta na przypuszczeniu, że wszystko było nieprawdziwe i dobrze podrobione. Dlatego nieprawdziwy był także i smok. A jeżeli on jest od nas sprytniejszy, to tylko dlatego, że wcale nie jest smokiem, lecz jakimś urządzeniem kierowanym ludzką ręką.

Pete zamrugał oczami, a potem obrócił się do Boba.

- Co on właściwie wygaduje?

Bob odrzucił do tyłu włosy.

- Zdaje się twierdzi, że nasz smok jest zwykłym robotem, a nie smokiem. Prawda, Jupe?

- Nie jestem jeszcze całkiem tego pewien - przyznał Jupe.- Być może jest robotem albo jakąś konstrukcją podobną do smoka, który grał w tym starym filmie pana Allena. Dowiemy się tego we właściwym czasie.

Mam za to absolutną pewność co do tego wejścia do jaskini. Także ono nie było prawdziwe. Na nieszczęście, nie mogliśmy tego zbadać ani przyjrzeć mu się z zewnątrz. Jestem pewny, że kiedy to zrobimy, okaże się, że jest to wejście zrobione z jakiegoś lekkiego materiału, jak pierwszy lepszy filmowy rekwizyt, wykończony i pomalowany z zewnątrz tak, aby wyglądał na coś prawdziwego. Ktoś mógł zbudować tam podrabianą skałę. I ukryć w ten sposób pierwotne wejście do jaskini. Kiedy sam chciał do niej wejść, albo wprowadzić do niej smoka, zwyczajnie rozsuwał na boki ukryte w ten sposób wrota.

Jestem pewien, że obaj zgodzicie się ze mną - dodał Jupe - że gdyby miasto Seaside chciało zamknąć dostęp do wielkiej jaskini albo do tunelu, nie używałoby do tego takich lekkich materiałów, jak pomalowane płyty w środku i imitacja skały na zewnątrz. Zrobiłoby to w bardziej solidny sposób - przy pomocy betonu!

Pete wyjrzał przez okno sunącego gładko rolls-royce'a. Zmarszczył brwi, a potem pokiwał głową.

- Być może masz rację, jeżeli chodzi o te rzeczy. Jeżeli pojedziemy tam dziś wieczorem, zbadamy skały w pobliżu wejścia do pierwszej jaskini. Ale ja nie boję się skał. Chciałbym mieć raczej pewność co do tego smoka. Dlaczego on miałby być podrabiany?

Jupiter oparł się wygodniej i założył ręce.

- Wszyscy trzej zobaczyliśmy go mniej więcej w tym samym momencie. Byliśmy w takiej samej odległości od niego. Mamy jednakowy wzrok i słuch. Powiedzcie mi, co właściwie usłyszeliśmy? I zobaczyliśmy?

Pete i Bob zastanawiali się przez chwilę w milczeniu.

- Ja usłyszałem jakieś buczenie - powiedział Bob. - A potem zobaczyłem go.

- A ja zobaczyłem najpierw jasne światełka... i zorientowałem się, że to błyszczą jego oczy - powiedział Pete. - A jeżeli chodzi o to buczenie, to zdaje mi się, że też je słyszałem. A zaraz potem usłyszałem ryk.

Jupe skinął głową.

- A jak on się poruszał?

Jupe obrócił się do Boba.

- A ty, co powiesz na ten temat?

- Zastanawiam się - stwierdził Bob, pocierając dłonią czoło. - Tak, zgadzam się z tym, co powiedział Pete. On wszedł bardzo szybko. Tak, jakby wśliznął się do środka.

Jupe świdrował go wzrokiem.

- Może tak, jak ten smok na filmie u Alfreda Hitchcocka? Czy poruszał się tak samo?

Bob zaczął kręcić głową.

- Nie. Smok pana Allena zdawał się kroczyć na nogach. A nasz raczej się ślizgał.

- Też odniosłem takie wrażenie - powiedział Jupe. - On ani nie leciał w powietrzu, ani nie poruszał kończynami. Ślizgał się. Dlatego wyciągam stąd wniosek, że został tylko zbudowany na podobieństwo smoka. Po ty, aby straszyc i wywoływać przerażenie. A to jego niby ślizganie się można wyjaśnić bardzo łatwo. Nasz smok poruszał się samoczynnie, albo był jakoś tam napędzany, na kołach! Nie pamiętacie tych śladów na piasku, które widzieliśmy za pierwszym razem?

Pete i Bob wybałuszyli na Jupitera oczy.

- Smok na kółkach? - zapytał z niedowierzaniem Pete. - Chcesz nam wmówić, że coś takiego zdołałoby nas tak nastraszyć?

- Przypominam sobie coś jeszcze - powiedział Bob. - Rozmawialiśmy już zresztą o tym. Smok pana Allena ryczał. A nasz wydawał się kaszleć, i to dość często.

- Dokładnie tak! - roześmiał się Jupiter. - To właśnie miałem na myśli mówiąc o tym, że musiał wspomagać go jakiś człowiek.

- Coś ty tu jeszcze wymyślił? - jęknął Pete.

Jupiter uśmiechnął się.

- Pomocnik, który siedział w naszym smoku, musiał być przeziębiony.

Dystyngowany głos Worthingtona przerwał nagle dyskusję.

- Jesteśmy w składzie złomu Jonesów. Czy mam czekać?

Jupe przytaknął.

- Tak, panie Worthington. Pete musi teraz wykonać szybki telefon. Potem mam nadzieję, pojedziemy do niego do domu, żeby coś zabrać. A wieczorem pojedziemy znowu do Seaside. Chyba się nie mylę, co, chłopaki?

Peta wyszczerzył zęby.

- Chciałbym bardzo, abyś się nie mylił... Ale to da się sprawdzić dopiero wtedy, gdy przyjrzymy się temu kaszłacemu smokowi!

Rozdział 16

Znowu w niebezpieczeństwie

Ojciec Pete'a, pan Crenshaw, jeszcze bardziej urósł w opinii Jupitera, kiedy bez żadnych zbędnych pytań udzielił chłopcom pozwolenia na zabranie projektora razem z nowiutkim, wypożyczonym z wytwórni filmem.

- Nie prosił nawet, abyśmy dobrze się z nim obchodzili - powiedział Jupiter. - Domyślam się, że ma do nas pełne zaufanie.

- Może i tak - oświadczył Pete. - Ale to ja tu mieszkam, i jeśli coś się stanie projektorowi albo taśmie, wszystko skrupi się na mnie!

Chłopcy znajdowali się w mieszkaniu Pete'a, w pomieszczeniu wykorzystywanym przez pana Crenshawa na domowe seanse filmowe. Pete przewijał taśmę z powrotem na podającą szpulę. Zamierzali obejrzeć nowy film na prośbę Jupitera, który chciał się przekonać, że rzeczywiście jest tak przerażający, jak zapewniał Pete.

- Gotowe! - krzyknął Pete. - Bob, pogaś światła! Kiedy w pokoju zrobiło się ciemno, Pete włączył projektor i seans się zaczął. Ściana udająca ekran ożyła i już po chwili chłopcy mogli stwierdzić, że Pete nie przesadzał. Powiększone wielokrotnie owady wyglądały rzeczywiście straszliwie.

Nagle odgłosy ze ścieżki dźwiękowej ucichły i obraz rozpląnął się w ciemności.

- Bob, zapal światło! - krzyknął Pete. - Przepraszam was, ale założyłem nie tę szpulę. To jest jeden z dalszych fragmentów. Przypuszczam, że tata musiał oglądać to jeszcze raz, żeby sprawdzić, czy wszystko się udało.

Zabrał się do przeszukiwania stosu cylindrycznych pojemników oznaczonych cyframi, ale Jupe chwycił go za rękę.

- Słuchaj, Pete, nic nie szkodzi. Nie mamy oglądać teraz całego filmu. A ten kawałek z powiększonymi owadami zawiera dokładnie to, o co mi chodziło.

- Ale to jest szpula numer sześć - odparł Pete. - To tylko scena z przeszłości, pokazująca same mrówki na jakichś wzgórzach i wzdłuż wybrzeża, przygotowujące się do ataku na nasze miasta. - Wziął do ręki inną szpulę. - Tutaj za to można zobaczyć całą inwazję. To jest część, na której mrówki są wielkie jak wieżowce.

Jupiter potrząsnął głową.

- Nie możemy pokazywać miast ani wieżowców. Chciałbym, żeby to wyglądało tak, jakby ogromne mrówki atakowały jaskinię!

Pete i Bob spojrzeli na Jupitera z wyrazem zaskoczenia.

- Masz zamiar wyświetlić ten film w jaskini?

Jupe kiwnął głową.

- Będziemy mieli wszystkie efekty dźwiękowe, ponieważ w tym projektorze zamontowany jest głośnik. Także obraz będzie super, bo zauważyłem szerokokątne soczewki. Ale najważniejsze jest to, że projektor może pracować na bateriach, dzięki czemu będziemy mogli uruchomić go tam, na miejscu.

- Pod tym względem mieliśmy kupę szczęścia - stwierdził Pete - bo tata specjalnie przerobił ten projektor tak, żeby można było z niego korzystać również w czasie pracy w plenerze.

- Wiecie co - wtrącił się Bob. - Obejrzyjmy do końca szpulę, która jest założona w tej chwili. A Jupe i ja wpadniemy tu któregoś wieczoru, żeby zobaczyć resztę.

Pete wzruszył ramionami.

- Wszystko mi jedno. Jeżeli wolicie zacząć oglądanie filmu od końca, to nie mam nic przeciwko temu.

Bob zgasił światła i na ekranie znowu pojawiły się monstrualne owady. Chłopcy oglądali kolejne sceny w milczeniu, reagując tylko od czasu do czasu cichymi pomrukami na

szczególnie zaskakujące albo przerażające zwroty akcji. Kiedy film się skończył, przez dłuższą chwilę siedzieli nieruchomo z wyiekami na twarzy, wciśnięci w oparcia foteli.

- Ale bomba! - przerwał milczenie Bob. - Naprawdę fajowe obrazki. Nie będę mógł się doczekać obejrzenia całości.

Pete zaczął przewijać szpulę z powrotem.

- Czy to wystarczy, jak myślisz? - spytał, spoglądając na Jupitera.

Jupiter uśmiechnął się.

- Powinno doskonale spełnić swoje zadanie.

- To świetnie - powiedział Pete. - Ciągle jednak nie rozumiem, po co chcesz to zrobić. Komu chcesz to pokazać w tej jaskini? Temu umarłakowi czy duchowi, który do nas telefonował?

- Być może - przyznał Jupe. - Przede wszystkim jednak chciałbym się dowiedzieć, jak się zachowa pewien żartowniś, kiedy zobaczy, że to jemu splełano figła.

- Żartowniś? - spytał Bob. - Nie wydaje mi się, aby pan Carter żartował, strasząc nas strzelbą.

- Nie miałem na myśli pana Cartera - oświadczył spokojnie Jupiter.

- Nie? - upierał się Bob. - Zapomniałeś może, że on mógłby być tym żyjącym potomkiem starego Cartera, o którym wam mówiłem. Labrona Cartera, który stracił majątek, budując tunel w Seaside, a potem popełnił samobójstwo, ponieważ był zrujnowany. Sam powiedziałeś, że on z pewnością wie o istnieniu tunelu i jaskini. No i mógł także próbować odegrania się na ludziach z Seaside za bankructwo ojca. Poza tym, mając taki charakter, jest idealnym typem faceta, który mógłby się porwać na coś takiego!

Jupiter zrobił kwaśną minę.

- Nie, pan Carter nie jest człowiekiem, który wymyślił tego smoka w jaskini.

- Czemuż to? - wtrącił się Pete. - Skąd masz tę pewność?

- To proste - odparł Jupe. - Kiedy poszliśmy do pana Cartera, narobił on mnóstwo krzyku. Ale nie wyglądał na faceta, który złapał przeziębienie. A potem rozmawialiśmy z człowiekiem, który wyspecjalizował się w konstruowaniu urządzeń, służących straszeniu ludzi. Jeżeli dobrze pamiętacie, był przeziębiony. Jego osoba kojarzy mi się więc ze smokiem, ponieważ ten smok kasłał!

Bob zamrugał oczami.

- Myślisz, że tym żartownisiem, który zrobił smoka, jest Arthur Shelby? To znaczy... jeżeli w rzeczywistości nie jest to żywy smok, tylko sztuczna konstrukcja.

Jupe kiwnął głową.

- Można by także podejrzewać o to pana Allena. On dużo wie na temat smoków. Ale przypuszczam, że to jednak Shelby.

- Ale dlaczego właśnie on? - spytał Bob. - Robi te swoje straszaki, żeby ludzie nie zawracali mu głowy w jego domu. Ale co może mieć wspólnego z jaskinią? Ona nie jest przecież jego własnością.

- Tego właśnie spróbujemy dowiedzieć się dziś wieczorem - powiedział Jupe, a potem spojrzał na zegarek. - Proponuję, żebyśmy zaczęli się przygotowywać.

- Zapominacie jeszcze o kimś - powiedział Pete. - Wymieniliście tylko Cartera, Allena i Shelby'ego. A było tam przecież jeszcze dwóch ludzi. Widzieliśmy ich na własne oczy!

- Masz rację! - dodał Bob. - Dwóch nurków! Przed zniknięciem wspomnieli o tym, że muszą zabrać się do roboty.

Pete poklepał wielkie pudło, służące projektorowi za futerał. Potem spojrzał na Jupitera.

- No więc? - zapytał. - Co myślisz o tych dwóch facetach? Nie wydaje ci się, że oni mogą mieć coś wspólnego z tą sprawą?

Jupiter przytaknął ruchem głowy.

- Oczywiście, tak. Gdyby się pokazali dziś wieczorem, proponuję wyświetlić ten twój film właśnie dla nich, żeby się trochę rozerwali.

- A jeżeli pokaże się smok? Co wtedy? - spytał Pete.

Jupe znowu kiwnął głową.

- W takim razie powinno być jeszcze ciekawiej. Słyszeliście chyba o tym, że zwykła mysz może przestraszyć słonia. Pozostaje nam tylko sprawdzić, czy mrówce uda się przerazić smoka!

Nadbrzeżne urwisko w Seaside okryte było mrokiem nocy. Kierowany sprawną ręką pana Worthingtona rolls-royce łagodnie wyhamował i zatrzymał się przy krawężniku wąskiej i cichej uliczki.

Bob wyskoczył pierwszy i rozejrzał się po spokojnym zaułku.

- Jupe, dlaczego stanęliśmy tak daleko? - zapytał. - Mamy stąd jeszcze kawał drogi do schodków.

- Lepiej być ostrożnym - odparł Jupe. - Nasz rolls-royce mógł zwrócić już czyjąś uwagę. Szkoda, że Hans był dziś wieczorem zajęty, bo jego pickup nie przyciągałby niczyich oczu.

Z auta wygramolił się Pete. dźwigający oburącz pudło z projektorem. Rzucił okiem na pozostały do przebycia dystans i jęknął.

- Wam to dobrze. Zanim doniosę ten ciężar na miejsce, będę miał ręce do samej ziemi.

- To by nie było takie złe - powiedział Bob chichocząc. - Mógłbyś udawać neandertalczyka. Może ten smok zwałby na twój widok?

Pete burknął coś w odpowiedzi, a potem dźwignął ciężkie pudło na ramię.

- Poczekaj, Pete - odezwał się Jupe. - Pomożemy ci to nieść.

Rosły, muskularny Drugi Detektyw potrząsnął głową.

- Dzięki, nie trzeba. Dam sobie radę. Ostatecznie osobiście odpowiadam za ten sprzęt. Coś mi się zdaje, że będę musiał go pilnować przez całą noc, bo tylko ja wiem, jak go uruchomić.

Jupe uśmiechnął się.

- Wiesz, Pete, to może zadecydować o powodzeniu całego przedsięwzięcia. Miejmy nadzieję, że zadziała.

Poleciwszy Worthingtonowi, aby czekał w samochodzie, chłopcy puścili się opustoszałą uliczką ku schodom. Noc była ciemna, księżycowe światło ledwo przebijało się przez grubą warstwę chmur. Z dołu dochodziło do ich uszu dudnienie fal, z łoskotem rozbijających się o skalisty brzeg.

Pete rozejrzał się nerwowo po nisko wiszących chmurach.

- Wolałbym, żeby dzisiejsza noc nie była taka czarna.

- Wszyscy jesteśmy trochę podenerwowani - przyznał Jupe. - Ale w tych ciemnościach łatwiej będzie przemknąć się do jaskini. Kiedy byli już niedaleko schodów, usłyszeli kroki.

- Prędko! Na ziemię! - rzucił Pete.

Cała trójka odskoczyła w bok i przyłgnęła do ziemi za wąskim pasem zarośli, oddzielających od ulicy nie zamieszkaną, piaszczystą parcelę.

Kroki przybliżyły się, ciężkie i agresywne, zdradzające pewność siebie idącego. Były już całkiem blisko i ucichły nagle, tak jakby ktoś zaczął się skradać. Chłopcy jeszcze bardziej przyłgnęli do ziemi. Zdali sobie sprawę, że ktoś ich śledzi!

Zerkając z ukrycia, ujrzeli rysującą się coraz wyraźniej postać, która w chwilę później znalazła się niemal naprzeciw nich. Wlepili w nią przerażone spojrzenia.

Gdzieś już widzieli tę otyłą, potężną sylwetkę. Machinalnie obrzucili ją wzrokiem. Rozpoznali przylegający do niej, rysujący się wyraźnie, długi przedmiot.

Tak, to była ta sama, groźna strzelba, strzelająca potężnym ładunkiem śrutu. Dwulufowa strzelba pana Cartera, człowieka nienawidzącego psów, dzieci i prawdopodobnie wszystkiego w ogóle, co się rusza.

Niesympatyczny, skory do gniewnych wybuchów facet coraz bardziej zwalniał kroku. Wyraźnie widzieli, jak rozgląda się na boki, starając się przebić wzrokiem ciemności. Dostrzegali gniewne błyski jego oczu i zaciśnięte mocno, zdradzające złośliwy upór usta.

- To dziwne - mruknął do siebie. - Założyłbym się, że widziałem tu jakieś ruchy.

W zakłopotaniu potrząsnął wielką głową i ruszył dalej. Dopiero kiedy jego kroki całkiem rozplynęły się w mroku, skuleni za krzakami chłopcy unieśli głowy.

- O rany! - westchnął z ulgą Bob. - Dobrze, że nas nie zauważył!

- Napędził nam stracha - powiedział Pete. - On chyba kładzie się z tą strzelbą do łóżka. Ciekawe, na kogo on tu polował?

- Idziemy - szepnął Jupiter. - Odszedł wystarczająco daleko. Musimy to wykorzystać i prześliznąć się do schodów. Schylcie się.

W jednej chwili cała trójka znalazła się na krawędzi urwiska.

- Droga wolna! - powiedział Pete.

Starając się stąpać możliwie jak najciszej, zaczęli zbiegać po drewnianych stopniach długich schodów. Rozluźnili się dopiero wtedy, gdy znaleźli się tuż nad piaszczystym brzegiem. Byli pewni, że odgłos ich kroków utonie w łoskocie rozbijających się o plażę fal.

Jako pierwszy zeskoczył na piasek Pete.

- Jak dotąd, wszystko idzie dobrze. Nie mogę się doczekać widoku tego smoka. Ciekawe, czy on lubi filmy fantastycznonaukowe.

- Niedługo się dowiemy - powiedział Jupe. - O ile jest w domu.

- Nie martwiłbym się zbytnio, gdyby go nie było - odezwał się Bob.

- Właściwie to interesuje mnie tylko ten tunel. Smoka oddaję do waszej dyspozycji.

W chwilę potem znaleźli się u wejścia do pierwszej jaskini. Ku zdziwieniu obu jego partnerów, Jupe nie zatrzymał się przy nim.

- Pssst! Minąłeś wejście! - szepnął za nim Bob.

Jupe kiwnął głową w kierunku urwistej skały, widocznej o parę kroków dalej.

- Gdzieś tu jest wejście do wielkiej jaskini. Zobaczmy lepiej, czy jest otwarte, czy zamknięte.

Całą trójką okrążyli skaliste wybrzuszenie wysokiej skarpy. Na wysokości ich głów zamajaczyły w ciemności trzy ogromne, wiszące nad plażą głazy.

- Prawdopodobnie są to sztuczne skały, które maskują tylko wejście - szepnął Jupe. - Zdaje się, że w tej chwili wlot jest zamknięty.

Pete podszedł do największego z głazów. Przyłożył do niego ucho i postukał palcami.

Usłyszeli głuchy, stłumiony oddźwięk.

Pete uśmiechnął się.

- Masz rację, Jupe. To nie jest skała, ale coś takiego jak filmowe dekoracje. Zrobione z lekkiej balsy, oklejonej plastrami z tektury i gipsu, może tylko wzmocnione siatką na kurczaki.

Jupe zawrócił do wejścia mniejszej jaskini.

- Wiesz co, Pete, pomożemy ci teraz zainstalować się w środku, a potem ja i Bob rozejrzemy się tu trochę.

- Co takiego? - zaprotestował Pete. - Chcicie mnie tam zostawić, żeby sobie tu...

- Będiesz tam o wiele bezpieczniejszy niż my dwaj - wyjaśnił Jupe, zagłębiając się w ciemnym wnętrzu. - Będziemy musieli zrobić trochę niebezpieczniejszych badań. A twoim

zadaniem będzie tylko siedzieć tam bez ruchu. I mieć przygotowane wszystko do puszczenia filmu.

Pete miał ciągle zaintrygowaną minę. Rozejrzał się dookoła.

- Komu mam pokazać ten film? Jest tam choć z parę nietoperzy, które mogłyby udawać widzów?

Jupe odsunął deskę, zagrządzając drogę do bocznej pieczary. Przepchnął się na drugą stronę i pociągnął za sobą obu kolegów. Następnie ustawił deskę na miejsce.

Odwrócił się i gwizdnął z cicha.

- Patrzcie, są nasze rzeczy, które zostawiliśmy wczoraj! Bob, spróbuj znaleźć ten przycisk, który uruchamia wejście do dużej jaskini. Pozbieramy te kłamoty, jak będziemy stąd wychodzić.

Bob przylgnął całym ciałem do skalnej ściany.

- Udało się! - powiedział wesoło.

Kamienne drzwiczki obróciły się z cichym dudnieniem na niewidzialnej osi.

- Pete, zostaniesz tutaj - powiedział Jupe. - W tej małej pieczarze. Wykorzystasz ten otwór do wyświetlenia filmu. Spróbujesz zablokować te drzwiczki, żeby się nie zamknęły. Jak usłyszysz sygnał, puść film na tę wielką, szarą ścianę, którą znaleźliśmy w środku poprzednim razem.

Pete zabrał się do przygotowania projektora. Wziął do ręki pudełko ze szpulą i poświecił na nie latarką.

- W porządku - powiedział. - Na jaki sygnał mam to puścić w ruch?

Jupe zamyślił się przez krótką chwilę.

- Zdaje mi się, że najlepszy byłby krzyk: "Na pomoc!" - powiedział, a potem podszedł do wąskiego otworu w skalnej ścianie.

Rozdział 17

Tajemnica starego tunelu

Pozostawiwszy kolegę w ciasnej pieczarze, Bob i Jupe powoli zagłębili się w ogromną, wysoko sklepioną grotę. Powietrze było wilgotne i zimne. Poczuli, że przenika ich chłodny dreszcz.

Już po kilkunastu krokach Bob szepnął nagle:

- Tu jest całkiem inaczej!

- Co? Gdzie? - spytał Jupe wytrzeszczając oczy.

Bob skierował światło latarki do przodu, a potem na boki.

- Ta wielka ściana... jest otwarta w środku!

Jupe z zaciekawieniem podążył wzrokiem za świetlną smugą latarki Boba. Szeroka szczelina w szarej ścianie ciągnęła się od ziemi aż po sklepienie.

- Bob, zdaje mi się, że znaleźliśmy ten twój tunel! - zawołał cicho Jupe.

Obaj chłopcy ostrożnie przeszli na drugą stronę.

Tunel rozszerzał się stopniowo. Jego gładkie ściany ginęły gdzieś w przedzie, w nieprzeniknionym mroku. Nagle chłopcy stanęli jak wryci, czując, że oblewa ich zimny pot. Serca skoczyły im do gardła.

Naprzeciw nich wyłonił się nagle z ciemności jakiś ogromny kształt, nieruchomy i groźny.

Wydawało się, że zagadkowy kolos czeka na nich!

Chłopcy rzucili się na ziemię. Leżąc bez ruchu, powoli podnieśli oczy ku majaczącej w mroku dziwnej postaci. Odczekali dłuższą chwilę, nic jednak się nie poruszyło.

Jakby przyczajony tuż przy ziemi, zgarbiony, długi i groźny, leżał przed nimi smok. Przy końcu długiej, grubej szyi zwisała jego trójkątna głowa.

- Mmmmoże on śpi - szepnął Bob.

Jupiter pokręcił przecząco głową.

- Pamiętaj - szepnął Bobowi do ucha, starając się zrobić to z chłodnym spokojem - że to nie jest żywy smok.

Bob odpowiedział mu leciutkim skinieniem głowy.

- Wiem. Już nam to wcześniej mówiłeś. Miejmy nadzieję, że się nie mylisz.

Odczekawszy jeszcze chwilę, Jupe zapalił latarkę, a potem przeciągnął smugą światła po ziemi.

Uśmiechnął się, całkiem już uspokojony.

- Popatrz na nogi tego smoka i powiedz im, co widzisz.

Bob podążył wzrokiem za plamą żółtego światła i zamrugał z niedowierzaniem.

- Szyny - powiedział. - Dokładnie pod smokiem. Wyglądają jak kolejowe.

Jupe odetchnął z ulgą.

- Obaj mieliśmy rację. Smok jest, jak widzisz, zwykłą podróbką. A ty znalazłeś podziemną kolej szybkiego ruchu, którą Labron Carter budował przeszło pięćdziesiąt lat temu! Ale myliłeś się, Bob, co do jednej rzeczy. Powiedziałeś, że nie była ona nigdy używana!

- Co masz na myśli?

- Miała przynajmniej jednego użytkownika. Tego smoka - odparł Jupe.

- Ale po co mu to? Niczego nie pojmuję - odparł z zakłopotaniem Bob.

Kto i po co zbudował smoka, a potem umieścił go w tunelu podziemnej kolejki, nie używanym od pięćdziesięciu lat? Na torach, które prowadziły donikąd. I prawdopodobnie miały na zawsze pozostać nie wykorzystane? Nie byłoby w tym odrobiny sensu.

Dlaczego? - zastanawiał się Bob.

- Zaraz dowiemy się wszystkiego - powiedział Jupe, ciągnąc go za rękaw koszuli. - Chodźmy, zanim oni powrócą.

Bob z ociąganiem ruszył za przyjacielem.

- Jacy oni?

Jupiter nie odpowiedział. Szedł nie zwalnając kroku. Podeszli do monstrualnej maskary, zgarbionej w samym środku tunelu. Zaintrygowany czymś Jupiter zmarszczył brwi.

- Co ci się nie podoba? - spytał szeptem Bob.

- Nie potrafię sobie tego wytłumaczyć - odparł Jupe. - On jest skierowany głową w drugą stronę. Ku plaży. Wewnętrzne przejście jest wprawdzie otwarte, ale zewnętrzne wrota do jaskini są zamknięte. Co o tym myślisz?

Bob wzruszył ramionami. Nieczęsto zdarzało się, aby Jupe czuł się przyciśnięty czymś do muru i pytał go o zdanie na temat jakiejś niejasnej sytuacji.

- Wygląda to tak, jakby ci, którzy się tym bawią, mieli zamiar stąd wyjechać... może aż do wody. No a na razie nie przewidują, aby coś wjechało tu do środka - powiedział Bob.

Jupiter przytaknął. Jego twarz rozjaśniła się.

- Wiesz, Bob, myślę, że przeprowadziłeś doskonale wnioskowanie. Przyjrzyjmy się temu wspaniałemu smokowi już teraz, zanim go stąd zabiorą.

Kiedy ostrożnie okrążali potężne cielsko smoka, jego głowa zwisała bez ruchu. Oczy wydawały się zamknięte i bez życia.

Jupe przesunął po nich światłem latarki.

- Mmmm - mruknął. - To wcale nie są oczy, ale małe reflektorki! Pamiętasz, jak po jego wejściu cała jaskinia rozjaśniła się? A my byliśmy pewni, że jego oczy połyskują naturalnym blaskiem. - Jupiter zachichotał cicho. - To bardzo proste. Wystarczyło tylko zainstalować tu migające światła, jak na okręcie albo w samolocie czy w samochodzie.

Znajdowali się teraz z boku zwalistego cielska. Jupe wyciągnął rękę. Jego palce namacały coś, co połyskiwało dziwnie na tle ciemnej, pokrytej łuskami skóry.

- Klamka - mruknął. - Dziwna sprawa. Nie widzę tu żadnych drzwi.

Bob spojrzął ponad jego ramieniem.

- Tam wyżej jest następna - powiedział. - A nad nią jeszcze jedna.

Jupe zaśmiał się krótkim chichotem.

- Znowu dałem się nabrać. To nie są żadne klamki od drzwi. To są metalowe stopnie do oparcia stopy. Włazę na niego.

Tuż za nim wdrapał się Bob. Znalazłszy się na górze, Jupe podniósł jakąś klapę i przytrzymał w tym położeniu, a potem spojrzął na dół. W najwyższym zdumieniu, bezwiednie rozdziawił usta.

- To jest luk - szepnął do Boba. - Zostań tu na straży, a ja zejść na dół, żeby się rozejrzeć, co tam jest w środku.

Zaskoczony tym odkryciem Bob machinalnie kiwnął głową. W jednej chwili Jupe znikł we wnętrzu smoka. Pokrywa luku zamknęła się za nim powoli.

Uszu Boba doszło jakieś głuchoe tąpnięcie. Chłopiec wzdrygnął się mimo woli. Przeleciało mu przez głowę, że smok połknął w końcu jego przyjaciela.

Ukradkiem zerknął w kierunku ciemnego wnętrza tunelu. Zapalił latarkę i w jej świetle zobaczył, że tunel zakręca łagodnie w pewnym oddaleniu. Widoczne wyraźnie tory zakreślały również krzywiznę i ginęły z pola widzenia. Ściany tunelu były gładkie, tu i ówdzie widać było jedynie stalowe ozebrowanie sięgające sklepienia, przedzielone płytami betonu.

Usłyszał jakiś szelest i drgnął.

Pokrywa luku uniosła się.

- Bob, chodź rzucić okiem - powiedział cicho Jupe.

Szybko podszedł do wjazdu, w którym jeszcze raz znikła czupryna jego kolegi. Wymacał stopami szczebelki wąskiej drabinki i zaczął po nich schodzić. Kiedy znalazł się na dole, Jupe omiół całe wnętrze światłem latarki.

- Fajowo tu, no nie? Z zewnątrz wygląda jak smok. Jeździ po szynach jak pociąg. Ale popatrz, co tu jest. Peryskop! A tam iluminator. Jeżeli się nie mylę, to wiesz, Bob, ten smok jest w rzeczywistości miniaturowym okrętem podwodnym!

Bob postukał knykciami palców w zaokrąglone ścianki smoka.

- Nie wiem, z czego to może być zrobione - powiedział pocierając palce wnętrzem dłoni drugiej ręki - ale twarde jak diabli.

Jupe kiwnął głową.

- Powinno być z żelaza albo stali, żeby mogło się zanurzyć. Ale przypuszczam, że to jakiś inny materiał. Chodź, zajrzemy do maszynowni.

Obaj chłopcy przeszli przez wąskie drzwi do przedniej części smoka.

- Dźwignia skrzyni biegów, tablica rozdzielcza, hamulce, pedały! - wykrzyknął Bob. - Co to za podwodny wehikuł!

Jupe strzelił palcami.

- Pamiętam opis jednej z pierwszych łodzi podwodnych, jakie kiedykolwiek zbudowano. Jeździła ona po dnie oceanu jak samochód. Wynalazca umieścił w bocznych ściankach iluminatory, żeby pasażerowie mogli wyglądać na zewnątrz, i pobierał od nich opłatę za udział w rejsie. Były tam też specjalne komory powietrzne, dzięki którym łódź mogła wytrzymać ciśnienie wody.

Konstruktor tego smoka mógł wzorować się na niej albo na platformach ze Święta Róży, które są montowane na podwoziu samochodu i pokryte kwiatami. Mogą jechać na niskim biegu, prowadzone przez kierowcę ukrytego w środku.

Bob zatarł w podnieceniu ręce.

- Właśnie w ten sposób smok posuwał się po piasku, nie wykonując pozornie żadnych ruchów. Mam na myśli to, że nie przebierał nogami jak smok na filmie pana Allena.

- To zrozumiałe - powiedział Jupe. - Do reżyserowanego przez siebie filmu pan Allen potrzebował smoka mającego bardziej realistyczny wygląd. A konstruktor tego tutaj chciał osiągnąć tylko pewne podobieństwo. Takie, aby wystarczyło do nastraszenia widzów. Chciałbym wiedzieć, w jakim celu i kogo zamierzał straszyć.

Nagle we wnętrzu smoka rozległ się niesamowity dźwięk.

- Aaaaaa... ooooo... ooo!

Przestraszeni chłopcy aż podskoczyli.

- Co to było? - zapytał szeptem Bob.

Jupiter zawahał się.

- Ten dźwięk dochodził gdzieś z tyłu.

Bob spojrzał na przyjaciela.

- Jesteś tego pewien? Wolałbym nie siedzieć w jego brzuchu, gdyby nagle postanowił wykapać się w oceanie.

Przeciągły, przejmujący dźwięk, przypominający jęczenie, ozwał się znowu.

- Aaaaaaaaaa... oooooooooo... oooo!

Bob zadygotał ze strachu.

- Nie podoba mi się to zawodzenie.

Ku jego zaskoczeniu Jupe odwrócił się i pobiegł wąskim przejściem ku tylnej części smoka. Zatrzymał się. Dziwny jęk dał się słyszeć znowu. Jupe zamienił się w słuch, pochylając głowę nisko nad podłogą.

- Co to może być? - spytał zdenerwowanym głosem Bob, podchodząc bliżej.

Jupiter nie odpowiedział. Odwrócił się i zaczął wodzić światłem swej latarki po wewnętrznej ścianie działowej. Wreszcie, ku zaskoczeniu Boba, uśmiechnął się.

- Zdaje mi się, że rozwiązaliśmy w końcu tę tajemniczą zagadkę - powiedział chichocząc.

- Naprawdę?

- Posłuchaj - powiedział Jupe, a potem uniósł rękę i uderzył w ścianę. Odpowiedziało mu znowu tajemnicze zawodzenie.

- Aaaaaaaaaa... oooooo!

Bob pochylił głowę, starając się wsłuchać w dziwne dźwięki.

- Słyszę to wyraźnie - powiedział - ale wciąż coś mi się nie podoba w tych jękach.

- To dlatego, że strach przed smokiem zdominował twoje zmysły - Dowiedział śmiejąc się Jupe, a potem otworzył wąskie drzwi i rzucił snop światła do pomieszczenia, przypominającego dużą szafę, albo schowek.

Zawodzenia przybrały na sile.

Bob zamrugał nagle oczami.

- Ej! Zaczekaj chwilę! To brzmi jak...

Wyciągnął szyję i zajrzał do środka. To, co zobaczył, zatkało go po prostu.

- Psy! - wykrzyknął. - O rany! Cały schowek pełen psów!

- To jest właśnie rozwiązanie zagadki - powiedział Jupe. - Zagadki zaginionych psów.

- Co im się stało? - spytał Bob. - Wyglądają tak, jakby były na wpół śpiące. Albo chore...

Jupiter pokręcił przecząco głową.

- Nie, nie są chore. Może rzeczywiście chce im się spać. Przypuszczam, że zostały uspokojone!

- Uspokojone? - powtórzył jak echo Bob. - Dlaczego?

Jupe wzruszył ramionami.

- Może przeszkadzały komuś. A on nie chciał robić im krzywdy. Naukowcy oszłamiają często zwierzęta przy pomocy uspokajających zastrzyków albo strzał, tak aby dały się zbadać i nie rzucały na nikogo.

Jeden z uwięzionych w schowku psów zawył znowu.

- Aaaaaaa...ooooooooo... oo!

- To irlandzki seter - powiedział Bob drżącym z podniecenia głosem. - On na pewno jest psem pana Allena!

- Korsarz!

Kasztanoworudy piesek przeciągnął się i ziewnął. A potem stanął na nogach i potrząsnął łbem, wymachując na wszystkie strony długimi uszami.

- Korsarz! Korsarz! - zawołał Jupe. - Chodź tu, piesku. Chodź.

Wyciągnął rękę dłonią do góry. Pies popatrzył na nią, powąchał i zaczął merdać długim ogonem. Zrobił parę niepewnych, chwiejnych kroków, wreszcie, poczuwszy się pewniej na nogach, wybiegł ze schowka. Otarł się pyskiem o kolana Jupe'a i cicho zaskomlał.

- Dobry piesek - powiedział Jupe, głaszcząc go po głowie. - Dobry, dobry!

Bob uśmiechnął się.

- Pan Allen mówił prawdę, ten piesek jest rzeczywiście bardzo łagodny. - Przyklęknął i wyciągnął rękę. Rudy seler zostawił Jupitera i, machając powoli ogonem, podbiegł do niego.

- Dzielny, dobry piesek - powiedział Bob, drapiąc go za uchem, a potem spojrzął na Jupitera. - Znaleźliśmy go. Co teraz zrobimy?

Jupe wyciągnął z kieszeni jakiś świstek, złożył go kilkakrotnie i wsunął pod obroże irlandzkiego setera. Następnie pochylił się i ujął w obie dłonie jego głowę.

- Biegnij do domu, piesku! - powiedział mu prosto do ucha. - Do domu!

Pies uniósł pytająco głowę i wesoło pomerdał ogonem.

- Do domu! - powtórzył Jupe, wyciągając rękę.

Pies zaszczekał radośnie. Jakby w odpowiedzi na to ze schowka dobiegły przejmujące zawodzenia i skowyty. Jeden po drugim zaczęły wychodzić z niego pozostałe psy. Stapały powoli i sztywno, merdając ogonami.

Bob wyszczerzył w uśmiechu zęby.

- O rany! ... cztery, pięć, sześć! Znaleźliśmy wszystkie, co do jednego!

Jupe kiwnął głową. Nachylał się nad każdym z mijających go chwiejnym krokiem psów i wsuwał im za obroże złożone kartki.

- Po co to robisz? - zapytał Bob.

- Przygotowałem krótkie notki do każdego z właścicieli. Na wszelki wypadek, gdyby się nam udało odnaleźć te zwierzaki - odparł Jupe. - Myślę, że nasze stowarzyszenie powinno, wzorem innych wielkich firm, dbać o reklamę i powiększać zaufanie klientów do naszych usług.

Rudy Korsarz zaskowytał cicho.

Jupe odwrócił się i przyklęknął przy nim.

- Już dobrze, piesku. Pobiegniesz do domu jako pierwszy.

Wziął Korsarza na ręce i zaczął wspinać się z nim po drabince.

- Do domu, Korsarz. Biegnij do domu! - szepnął mu do ucha.

Rudy seter wydał radosny skowyt i zsunął się po szorstkiej skórze smoka, a potem wielkimi susami popędził do szerokiej szczeliny w przegradzającej tunel ścianie.

Jupe uśmiechnął się szeroko.

- Obudził się już na dobre. Bob, podaj mi po kolei następne. Może jak się znajdują na dworze, świeże powietrze otrzeźwi je do reszty.

Wszystkie psy, jeden po drugim, znalazły się na górze. Wracały szybko do życia i, uwolnione przez Jupe'a, wybiegały z tunelu śladem setera.

Bob zatarł ręce.

- Pete pomoże im wydostać się na dwór. W ten sposób wypełniliśmy nasze zobowiązanie. Ja też jestem gotów zrobić to samo, co one.

Jupe opuścił jednak pokrywą wjazdu i zszedł z powrotem na dół.

- Nie możemy stąd wyjść - powiedział do Boba, który wpatrywał się w niego z rozdziawioną gębą, zaskoczony takim obrotem sprawy.

- Czemuż to? - spytał Bob.

- Zobaczyłem właśnie jakieś cienie poruszające się na tle ścian tunelu. Ktoś tu idzie.

- Och, tylko nie to! - wykrzyknął Bob. - Jesteśmy w pułapce! Gdzie się tu ukryjemy?

Jupe zrobił parę kroków wąskim korytarzykiem ciągnącym się prawie przez całą długość smoka. A potem otworzył małe drzwiczki od schowka, dopiero co opróżnionego z czworonożnych więźniów.

Pete roztarł ręce zeszywniałe od chłodu. Przed chwilą uporał się z ustawieniem projektora. Aby zapobiec zamknięciu się obrotowej kamiennej płyty, zaklinował ją

znalezionym na ziemi skalnym odpryskiem. Szpula z przewiniętym filmem gotowa była do odtworzenia, i Pete przykucnął tuż koło aparatu, z niecierpliwością oczekując umówionego sygnału. Wystarczyło przekręcić gałkę wyłącznika, aby film ukazał się na wielkim, szarym ekranie.

Jeszcze raz upewnił się, że obiektyw nakierowany jest pod właściwym kątem, a potem znowu zamarł w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Nagle usłyszał za sobą jakieś szmery. Obejrzał się z niepokojem, czując, że dostaje gęziej skórki.

Nastawił uszu. Szmer powtórzył się.

Ktoś musiał wejść do pierwszej, niedużej jaskini z wylotem na plażę. Pete wyraźnie słyszał dochodzące stamtąd szuranie. Po krótkiej przerwie kroki ozwały się znowu.

Jego uszu doszedł odgłos odgarniania piasku. A potem zobaczył coś, co przyprawiło go o prawdziwy dreszcz strachu. Szeroka deska zakrywająca wejście do małej pieczary poruszyła się.

Pete zagryzł wargi. Ze złością i żalem chwycił ojcowski projektor i odciągnął go na bok, a potem, nie podnosząc się z kolan, zaczął zastanawiać się gorączkowo, co robić. Mógł jeszcze precyzyjnie przejść przez wąski otwór do wielkiej groty, odblokować kamienną płytę, aby wróciła na swoje miejsce, i dołączyć do kolegów.

Zdawał sobie jednak sprawę, że ich los zależy od tego, czy on wytrzyma na swoim posterunku. Jupe zostawił mu wyraźne instrukcje.

Wielka deska poruszyła się znowu, a potem odchyliła na bok. Pete wcisnął się w najciemniejszy kąt pieczary, opierając się plecami o skalną ścianę. Wpatrzony w ukryte pod oszalowaniem wejście, czekał na ukazanie się nieznanego intruza.

Zaczął rozpaczliwie obmacywać ręką dno pieczary w poszukiwaniu czegokolwiek, co mogłoby posłużyć mu do obrony. Przypomniał sobie, że ma przecież latarkę, i mocno ścisnął ją w dłoni. Mrok panujący w pieczarze mógł się okazać niewystarczającą ochroną.

Jakieś mocne ręce odstawiły szeroką deskę, a na jej miejscu pojawiła się barczysta postać, wyraźnie rysująca się na tle sączącej się z zewnątrz bladej poświaty. Była tak potężna, że aby precyzyjnie się przez wąskie otwarcie, musiała ustawić się bokiem.

Pete wziął głęboki oddech.

Rozpoznał charakterystyczną sylwetkę wiecznie rozdrażnionego pana Cartera, dzierżącego w ręku nieodłączną strzelbę.

Pieczara była nisko sklepiona, toteż pan Carter, wchodząc do niej, musiał się schylić. Zgięty wpół, zrobił krok do przodu. A potem zaczął nasłuchiwać.

Także Pete usłyszał dochodzące z oddali, dziwne zawodzenie. Poczul, że serce skacze mu do gardła.

- Aaaaaaaaaa... oooooo... oo!

Przykleił się do ściany, jeszcze mocniej zacisnął dłoń na swej jedynej broni i uniósł się powoli na wyprostowanych nogach.

Jego uszu doszedł jakiś nowy odgłos, przypominający stłumiony tupot bosych stóp. Towarzyszyło temu jakby łapczywe łapanie powietrza do płuc. Tajemnicze odgłosy zaczęły się przybliżać. Usłyszał tupanie jeszcze jednej pary stóp, a potem następnych. I znowu pojawiło się takie samo płaczliwe zawodzenie.

- Aaaaaaaaaa... oooooo... oo!

Przeleciało mu przez głowę, że to bieżą jego dwaj przyjaciele. I że coś ich goni.

Ścisnęło go w gardle. Nie mógł zamknąć teraz otworu prowadzącego do wielkiej groty. Odciałby im jedyną drogę ucieczki. Odebrałby im szansę uratowania się.

Ale czy mała pieczara była bezpiecznym schronieniem? Z tym wiecznie wściekłym panem Carterem czającym się w mroku ze strzelbą w garści o parę kroków od niego?

Nagle coś się zakotłowało i w wąskim otworze błysnęły dwa żółte ślepie.

Coś z cichym jękiem wskoczyło do pieczary. A potem mignął jeszcze jeden ciemny kształt, wydający chrapliwe pomruki. I następny, a potem znowu, i znowu.

Przyklejony do ściany Pete z osłupieniem wpatrywał się w tajemniczą kotłowanąinę.

Był przygotowany na to, że zobaczy smoka. A tymczasem u jego stóp kłębiła się sfora dzikich, włochatych zwierząt.

Pan Carter chrząknął niespokojnie, czując, że coś płącze mu się koło nóg. Zachwiał się i upadł. Pete nerwowo przełknął ślinę. Kiedy dzikie stado atakuje leżącego człowieka, przeleciało mu przez głowę, nie ma on żadnych szans na uratowanie się.

Desperackim ruchem uniósł zaciśniętą w dłoni latarkę...

Rozdział 18

W pułapce!

Bob i Jupiter skulili się w ciasnym schowku i zaczęli nasłuchiwać.

- Trzeba było sprawdzić i oczyścić spory kawał torów - odezwał się tonem skargi jakiś męski głos. - Tak, jakbyśmy nie mieli dość roboty z tym drażeniem. Ale wreszcie wszystko jest gotowe.

- Warto było się pomęczyć, Harry - odpowiedział mu inny męski głos. - Puszczamy to w ruch.

- Tak, jasne - powiedział pierwszy mężczyzna. - Ale wiesz co, Jack, on jest trochę niepewny. Myślisz, że możemy na nim polegać?

Jego partner roześmiał się.

- On jest jeden, brachu. A nas jest dwóch. Poza tym łódka jest nasza. Może to on raczej powinien zacząć się martwić, czy może nam zaufać!

Pokrywa luku uniosła się i obaj mężczyźni zeszli po drabince na dół. Bob i Jupe, siedzący z uszami przyklejonymi do cienkich drzwi, usłyszeli, że jeden z nich poszedł do przedniej części smoka.

Silnik obrócił się i zaskoczył. Poczuli nagłe szarpnięcie i lekki wstrząs. A potem zorientowali się, że suną gładko po szynach.

Bob dotknął w ciemności kolana kolegi.

- Mają podobne głosy do tych dwóch nurków. Czy jedziemy w kierunku oceanu?

- Nie przypuszczam - odparł cicho Jupe. - Ten smok nie jest wystarczająco obciążony, żeby zanurzyć się pod wodą.

- Aha! - odetchnął z ulgą Bob. - Mamy szczęście!

Smok parł do przodu, kołysząc się leciutko.

- Jedziemy w kierunku lądu - szepnął Jupe. - W głąb tunelu.

- Wiem - powiedział Bob. - Ale po co? Co oni zamierzają tam robić?

Jupiter wzruszył ramionami.

- Sam chciałbym wiedzieć. Ale co by to nie było, sprawa wygląda poważnie.

Smok zatrzymał się nagle i obaj chłopcy siłą bezwładności wyrznięli w cienką ściankę.

Mężczyzna, który pełnił funkcję maszynisty, wrócił do swego partnera.

- W porządku, Harry - zabrzmiał całkiem blisko jego chrapliwy głos. - Czas rozpocząć załadunek. Pilnuj się dobrze!

- Lepiej, żeby nie próbował z nami żadnych sztuczek - burknął tamten. - W przeciwnym razie wypróbuję na jego łbie jedną z tych sztabek.

- Tak, jasne - odparł pierwszy. - No cóż, jest tu pewne ryzyko. Ale warto je ponieść dla miliona dolców!

Jupe i Bob wytrzeszczyli oczy w ciemnym i ciasnym pomieszczeniu. Milion dolców? Zaczęli się zastanawiać, czy się nie przesłyszeli.

Dwaj faceci odeszli w kierunku wjazdu. Pokrywa otworzyła się i po chwili opadła z powrotem na miejsce.

Jupe poklepał Boba po ramieniu.

- Może byśmy zobaczyli, co oni tam robią?

Ukradkiem, starając się nie hałasować, uchylili drzwi schowka.

Ale już po paru krokach stanęli jak wryci. Usłyszeli szorstki, chrapliwy męski głos, przerywany napadami kaszlu.

- Pospieszcie się - powiedział. - Zaaplikowałem nocnemu strażnikowi specjalne kropelki. Będzie spał przez parę godzin. Powinniśmy załatwić się z tymi trzystoma sztabkami, zanim się zbudzi.

Bob szturchnął Jupitera.

- Miałeś rację. To Arthur Shelby. Rozpoznaję jego głos. No i ten kaszel.

- To wyjaśnia drugą tajemnicę - szepnął Jupe. - Tajemnicę kaszlącego smoka. Została jeszcze jedna.

- Masz na myśli to, co oni teraz robią? - spytał Bob.

- Tak. To jest tajemnica trzystu sztabek - odparł Jupe. - Trzystu sztabek czego?

Jupe klepnął Boba w ramię i ostrożnie zapaścił się w wąski korytarzyk. Wspiął się po szczeblach drabinki, uniósł pokrywę luku i wyrzwał.

Znajdował się naprzeciwko betonowej ściany, ciągnącej się równolegle do torów. Ze zdumieniem ujrzał wydrążoną w niej, wielką dziurę, wystarczająco przestronną, aby mógł w nią wejść dorosły człowiek. W tej właśnie chwili ukazała się w niej sylwetka mężczyzny, dźwigającego coś w rękach. Musiał to być spory ciężar, bo mężczyzna szedł przechylony mocno do tyłu.

- Ej! To waży chyba z pół tony! - poskarżył się mężczyzna niosący ciężki ładunek.

- A czego się spodziewałeś? - odezwał się Shelby. - Jak myślisz, dlaczego wynająłem takich dwóch osiłków jak wy? Tylko dlatego, że bracia Morganowie są właścicielami zgrabnej łódki? Do tej roboty potrzebne były niezłe muskuły. Chyba przekonaliście się o tym przy drążeniu tej dziury do piwnicy. Zadaniem twoim i twojego brata było dostanie się tam i przetransportowanie ładunku na statek.

- Tak, tak - mruknął mężczyzna. - Nie mam zamiaru się skarżyć. Ile może ważyć jedna taka cegielka?

- Około trzydziestu pięciu kilogramów - odparł Shelby. - Ułóżcie je tu, koło smoka, jedną na drugiej. Jak już wyniesiecie całe trzy setki, załadujemy je do środka, a potem nasz smoczek poniesie nas do oceanu.

Krzepki osiłek złożył ciężar na ziemi i skierował się znowu ku ciemnemu wydrążeniu. Ukazał się w nim jego brat, dyszący ciężko z wysiłku.

- Nie załamuj się, Jack - powiedział. - Mamy z głowy następne trzy sztuki.

Złożywszy sztaby na miejscu wskazanym przez Shelby'ego, odwrócił się i zniknął w dziurze.

Jupiter opuścił pokrywę luku.

- Pan Shelby powiedział, że każda z tych sztab waży około trzydziestu pięciu funtów - szepnął. - A bracia Morganowie wspomnieli wcześniej o milionie dolców. Zdaje mi się, że wiem, z czego są te sztaby. Ze złota!

- Ze złota? - wykrzyknął Bob. - Skąd oni je wynoszą?

- Standardowe, duże sztaby złota wytwarzane przez rząd ważą około trzydziestu pięciu kilogramów! Mniejsze mają ciężar około dziesięciu kilogramów i każda z nich ma wartość dziewięciu tysięcy sześciuset dolarów! Zdaje mi się, że Shelby i bracia Morganowie obrabiają właśnie Federalny Bank Rezerw!

- O rany! - wykrzyknął cicho Bob. - A ile jest warta każda z tych dużych sztab?

Jupe zmarszczył brwi, starając się policzyć jak najprędzej.

- W przybliżeniu będzie to dziewięćset sześćdziesiąt dolarów za kilogram razy trzydzieści pięć... czyli... - Jupe gwizdnął cichutko - ... ponad trzydzieści tysięcy dolarów, a dokładnie trzydzieści trzy tysiące sześćset!

- Hoolender! - wykrzyknął znowu Bob. - A Shelby powiedział, że tych sztab ma być trzysta!

- Czyli w sumie dziesięć milionów osiemset tysięcy dolarów - obliczył szybko Jupe. - Nieźle się obłowią!

- Jesteśmy więc świadkami całkiem poważnego rabunku - szepnął - Jeżeli nam życie miłe, powinniśmy wiać stąd jak najprędzej!

Jupe kiwnął potakująco głową.

Problem w tym, jak to zrobić - szepnął ochryłym głosem z podniecenia. - Shelby stoi za blisko smoka!

W zamyśleniu zrobił parę kroków w kierunku przedniej części smoka. A potem nagle skoczył przed siebie.

Bob pobiegł za nim, pewny, że Jupe znalazł jakąś lepszą kryjówkę.

Jupe zatrzymał się tak nagle, że Bob wpadł na niego z rozpędu.

- Przepraszam - mruknął - nie przypuszczałem, że...

Jego towarzysz położył palec na ustach. A potem pochylił się do przodu, wpatrując się błyszczącymi z podniecenia oczami w tablice rozdzielczą.

- Hurra! - syknął triumfalnym szeptem.

- Zostawili kluczyk w stacyjce!

Bob rozdziawił usta ze zdumienia.

- Jak to? Masz zamiar... uruchomić go? Będziesz umiał go poprowadzić? Nic nie widząc? Tu nie ma żadnej szyby!

Jupe wzruszył ramionami.

- Warto spróbować. Jestem pewien, że ten smok jeździ jak zwykły samochód, a ja się na tym znam. Wiem, jak działa nożne sprzęgło, hamulec, skrzynia biegów i pedał gazu. Aż do wylotu tunelu będziemy jechać po torach.

Zwinnie wskoczył na małe siedzenie.

- Ruszamy - rzucił krótko i przekręcił kluczyk.

Silnik obrócił się z przeraźliwym zgrzytem. A potem jeszcze raz. Wreszcie kichnął parę razy, zakasłał i zatrzymał się.

- Jupe, on kaszle! - krzyknął Bob. - To nie Shelby kastet przedtem.

Jupe kiwnął głową i zagryzł wargi.

- Tak, dławi się - powiedział z odcieniem zawodu w głosie, a potem jeszcze raz przekręcił kluczyk, tym razem przytrzymując go dłużej.

Silnik obrócił się znowu parę razy. Wreszcie zagrzmiał równym, donośnym warkotem.

Jupe westchnął z ulgą. Włączył pierwszy bieg i powoli zwolnił pedał sprzęgła.

Smok rzucił się konwulsyjnym skokiem do przodu. A potem doszedł ich jeszcze bardziej złowieszczy odgłos.

Usłyszeli, że ktoś otwiera pokrywę luku.

- Powinniśmy byli ją zamknąć! - szepnął Bob.

Jupe kiwnął głową. W jego oczach pojawił się strach.

- Wiem. Przepraszam. Nie pomyślałem o tym.

Rozdział 19

Rozpaczliwe położenie

Pete zatrzęsł się ze strachu. Oparł się mocno o skalną ścianę, gotów do zadania ciosu trzymaną w ręku ciężką latarką. Zdawał sobie sprawę, że jest w stanie unieszkodliwić jedno z włochatych stworzeń, ale nie będzie mógł podjąć walki ze wszystkimi. Było ich za wiele.

Także pan Carter, nawet gdyby zgubił w ciemności swoją strzelbę, był zbyt mocnym przeciwnikiem.

Na szczęście Carter leżał teraz na ziemi, potknąwszy się o kłębiące się we wnętrzu pieczary zwinnie zwierzaki. Pete ze zgrozą zobaczył, że rzucają się na niego. A potem zamrugął ze zdumieniem oczami.

To nie był atak. Czarne cienie przemknęły nad rozciągniętym na ziemi ciałem pana Cartera i pognały do szerokiej szczeliny, powstałej po odsunięciu deski.

Zaintrygowany tym widokiem Pete przykucnął, gotów do skoku. Usłyszał jeszcze jedno dziwne jęknięcie i odwrócił się ku przejściu do wielkiej groty. Do pieczary wpadł jeszcze jeden zwierzak świecąc dziko oczami i zanim Pete zdążył zrobić jakikolwiek ruch, przemknął ocierając się o jego wystające kolana. Zwinnie ominął leżącego mężczyznę i popędził za innymi przez dziurę w desce.

Pete nie wahał się ani chwili. Przypuszczał, że Carterowi nic się nie stało, może tylko stracił przytomność. Za chwilę mógł znowu stanąć na nogi z tą przerażającą strzelbą w garści.

Jupe polecił mu wprawdzie, aby siedział tu gotów do wyświetlenia filmu. Ale nie przewidział chyba, że Pete może znaleźć się na celowniku strzelby pana Cartera. Pete pomyślał, że znajdzie jakiś inny sposób na wypełnienie swego zadania.

Skoczył do otwartego wciąż wejścia do groty, chwycił projektor i pchając go przed sobą, przepelznął na drugą stronę. Usiadł i zaczął nasłuchiwać. Doszło go ciężkie sapanie pana Cartera.

Nie było czasu na zmaganie się z zaklinowaną przez Jupe'a kamienną płytą. Pete skoczył na nogi, chwycił projektor i bez namysłu popędził w głąb groty.

Jego oczom ukazało się nagle w świetle latarki otwarcie w ogromnej, szarej ścianie. Instynktownie przemknął przez nie na drugą stronę.

W tym momencie usłyszał za sobą jakiś dziwny szmer. Obejrzał się i poczuł, że zimny pot spływa mu po plecach.

Wielka, szara ściana zamykała się za nim!

Rzucił się, aby przeskoczyć z powrotem, lecz było już za późno. Dwie połówki ściany zetknęły się ze sobą.

Jego uwagę przykuł teraz inny dziwny odgłos. Rozejrzał się dokoła i wytrzeszczył ze zdumienia oczy. Zobaczył przed sobą szeroki i długi, nie kończący się tunel. A z jego wnętrza wylaniał się jakiś ogromny, groteskowy kształt, który wydał mu się znajomy. Coraz wyraźniej świeciły żółte oczy, wreszcie oczom Pete'a ukazała się szeroko otwarta paszcza.

Smok zbliżał się z głośnym chrzęstem i rykiem!

Pete zgasił latarkę i z przerażeniem zrobił krok do tyłu. Poczul za plecami ścianę. Dalej nie można się było wycofać.

Trzymając przed sobą projektor niczym tarczę, odsunął się powoli na bok i wcisnął do najciemniejszego kąta.

Smok zbliżał się wielkimi skokami. Pete z przejęciem obserwował jego kołyszący się łeb i otwartą paszczę. Nigdzie ani śladu po obu przyjaciółach. Pete zagryzł wargi i jęknął boleśnie.

Bob i Jupe byli już na pewno w ogromnym brzuchu potwora. Nie było żadnej szansy na ich uratowanie! Kiedy smok znalazł się całkiem blisko, Pete zaczął się zastanawiać, jaki też los stanie się jego udziałem.

W otwartym włazie smoka zagrzmiął głos Arthura Shelby'ego. Nie był to wcale głos kochającego żarty dowcipnisia. Przypominał raczej jakiś głośny ryk, dobywający się z głębi gardła.

- Wyłazić, dranie, kimkolwiek jesteście, jeśli wam życie miłe!

Bob wlepił oczy w Jupe'a. Jupe zacisnął wargi ze stanowczą miną i potrząsnął dziko głową. Jego palce zaczęły wściekle błędzić po przyciskach na tablicy rozdzielczej.

- To nasza jedyna szansa. Muszę uruchomić tego przeklętego smoka!

Nagle motor zawarczał znowu. Ogromne cielsko niepewnym ruchem skoczyło do przodu. Gruba szyja uniosła się naraz do góry.

Bob wyciągnął rękę w jej kierunku.

- Patrz, Jupe! Któryś z tych przycisków musiał ją uruchomić. Zobacz, tam się zrobił duży otwór. Będziemy widzieć drogę!

Jupe kiwnął głową i mocniej nacisnął na pedał. Smok zatrzymał się nagle. Usłyszeli odgłos dławienia się motoru i krzyk pana Shelby'ego. Z góry doszedł ich jakiś łoskot, a potem odgłos głuchego uderzenia.

- Jupe, zdaje się zgubiliśmy pana Shelby'ego. Wał dalej! - krzyknął ponagląjącym tonem Bob.

- Spróbuję... Ale robię chyba jakiś błąd. Ciągłe się zatrzymuje. Jeszcze raz włączył stacyjkę i nacisnął starter. Przez szum silnika przebijały się krzyki pana Shelby'ego, wołającego obu Morganów.

Bob skoczył do tyłu i przycisnął czoło do małego iluminatora, umieszczonego trochę z boku.

- Jupe, oni są już blisko! Wściekli jak diabli. Rób coś!

Motor zawarczał znowu. Jupe nacisnął sprzęgło, pociągnął do siebie. dźwignię zmiany biegów i wdepnął pedał gazu.

Smok skoczył do przodu jak oszalały. Po pewnym czasie zatrzymał się jednak.

Jupe nie dawał za wygraną. Jeszcze raz uruchomił silnik. Smok ruszył z miejsca. I jeszcze raz stanął z nieprzyjemnym szarpnięciem.

- Jedź! Byle do przodu! - ponaglał kolegę Bob. - Za każdym razem, kiedy ruszasz, zostają trochę z tyłu!

Jupe po raz kolejny uruchomił silnik.

- Jak daleko jest Shelby i tych dwóch osiłków? - zapytał.

Bob obejrzał się.

- O rany! - krzyknął. - Już nas mają! Jedź! Jedź!

Smok znowu popędził do przodu. Tym razem udało mu się pokonać spory odcinek drogi, w końcu jednak znowu kilkakrotnie prychnął i zatrzymał się.

Bob obejrzał się. Bracia Morganowie gonili ich wielkimi susami, wykrzywiając twarze z wściekłości. Tuż za nimi biegł Arthur Shelby, wymachując dziko ramionami.

- Zatrzymajcie ich, durnie! Bez smoka nic nie zrobimy!

Zachęceni jego krzykami bracia Morganowie przyspieszyli kroku. Bob poczuł, że zlewa go zimny pot. Za chwilę biegnący osiłkowie dosięgną długiego ogona smoka. Przypomniawszy sobie, z jaką łatwością dźwigali ciężkie sztaby. Gdyby udało się im złapać ogon, z dziecinną łatwością unieruchomiliby smoka na dobre!

Jupe usłyszał ostrzegawcze krzyki Boba i po raz kolejny zmusił smoka do jazdy. Znowu jednak, po kilku długich, konwulsyjnych skokach do przodu, narowisty zwierz zakasłał się i stanął.

Jupe nacisnął starter. Silnik obrócił się parokrotnie, ale tym razem nie zaskoczył.

- Beznadziejna sprawa - mruknął Jupe, zaciskając usta i marszcząc brwi. - Nie daje się nawet uruchomić.

- To już bez znaczenia - powiedział głucho Bob. - Złapali nas.

Nastąpiło to, czego się obawiał. Morganom udało się w końcu dopaść ogona. Zobaczył, że, odchyleni do tyłu, trzymają go z całej siły, zapierając się nogami o ziemię.

Po chwili jeden z nich pobiegł do przodu.

- Harry, wyciągnij ich stamtąd za uszy! - wrzasnął drugi.

Harry kiwnął głową i rzucił się ku metalowym klamrom, prowadzącym do otwartego luku.

- Mają nas, Jupe - krzyknął Bob. - Co robimy?

Jupe westchnął ciężko. Nie można było zrobić nic więcej. Skoczył na równe nogi i ruszył wąskim korytarzykiem.

- Może nic nam nie zrobią, jeżeli poddamy się od razu - powiedział. W tej samej chwili uświadomił sobie, że w gruncie rzeczy sam nie wierzy w taką możliwość.

Zrobił parę kroków po wąskiej drabince i uniósł ręce do góry.

- Panie Shelby! - krzyknął głośno. - Poddajemy się. Wychodzimy.

Usłyszał wściekły wrzask Shelby'ego. W tym samym momencie wewnątrz tunelu wypełniły jakieś inne, głośne dźwięki. Potężny ryk odbił się echem od jego grubych ścian.

- RRR... AAAAAA... CHHHHHHHHH!

Jupe obejrzał się szybko w kierunku źródła dźwięku i zobaczył, że tuż przed nim zamyka się wielka ściana.

Usłyszał krzyk mężczyzny wdrapującego się na smoka.

- Jack, uważaj!

Nie wierząc własnym oczom, ujrzał najpierw zaskoczenie, a potem strach malujący się na surowych twarzach obu osiłków.

- Jupe, patrz! - szepnął Bob, łapiąc przyjaciela za rękę.

Jupe kiwnął głową. Na ścianie ukazała się naraz ogromna mrówka. W pierwszej chwili wydawało się, że jest jeszcze daleko. Zdumiewająco wielkimi susami pokonała dzielący ją dystans i w następnym momencie zawisła prawie nad ich głowami.

Harry Morgan, stojący już niemal na czubku smoka, wrzasnął co sił w płucach.

- Jack! Poczwały! Atakują nas!

Jednocześnie sięgnął ręką do kieszeni. W jego rozdygotanej dłoni błysnął rewolwer. Rozległy się dwa strzały.

Nic sobie z tego nie robiąc, olbrzymia mrówka podeszła jeszcze bliżej. A za nią ukazała się następna, wypełniając prawie cały tunel swą gigantyczną sylwetką.

- Trafiłem ją przecież, przeszyłem ją na wylot! - wrzasnął pierwszy z braci Morganów.

Z głośnym rykiem mrówki posuwały się do przodu. Było ich coraz więcej, i w krótkim czasie wypełniły wnętrze, tłocząc się na ścianach tunelu.

Arthur Shelby podszedł bliżej i z zaciekawieniem, rysującym się na jego piegowatej twarzy, przyglądał się dziwnemu widowisku.

Morganowie zaczęli znowu strzelać.

- Gigantyczne mrówki wylazą ze ścian - krzyknął wyższy z dwóch braci. - Nic sobie nie robią z naszych kuł. Shelby, zabierz nas stąd!

Shelby wzruszył ramionami, nie odrywając oczu od maszerujących mrówek.

Drugi z braci złapał go za rękę, wymachując rewolwerem.

- Shelby, otwórz tę ścianę albo zmuszę cię do tego! Musimy się stąd wydostać.

Shelby popatrzył na niego chłodno. A potem, wzruszywszy ramionami, sięgnął do kieszeni. W jego dłoni błysnął jakiś cienki przedmiot, podobny do małej rurki. Shelby podniósł go do ust.

Bob i Jupe nastawili uszy, pewni, że usłyszą dźwięk ostrego gwizdka. Nic jednak nie usłyszeli. Zobaczyli za to, że ściana powoli się rozsuwa.

- Dawaj, Jack! Gazu!

Obaj bracia skoczyli ku szczelinie, strzelając dziko do mrówek, pracujących po ścianach z wściekłym porykiwaniem. W jednej chwili minęli rozsuwające się wciąż jeszcze ściany.

- Uciekajcie, durnie! - mruknął pogardliwie Arthur Shelby. A potem rzucił obu chłopcom zaintrygowane, taksujące spojrzenie.

- Sprytnie to obmyśliliście - powiedział sucho. - Ale trochę aż za sprytnie. Straciłem przez was majątek i nie widzę możliwości, abyście mogli wyjść z tego cało.

Włożył rękę do drugiej kieszeni płaszcza, ale tym razem wyjął groźniejszy przedmiot niż przedtem.

- Proszę nie strzelać! - jęknął Bob.

Shelby odpowiedział mu chłodnym skinieniem głowy.

- Złazić stamtąd, natychmiast! - rzucił. - A następnym razem, gdybyście chcieli porwać jakiś pojazd wielkości autobusu, polecam wam usilnie, żebyście przeciwiczyli podwójne wysprzęglanie przy zmianie biegów - dodał z ironicznym wyrazem twarzy, kiedy Jupe i Bob znaleźli się na dole. Potem odwrócił się w kierunku ciemnego kąta, skąd biła na ściany tunelu rozszerzająca się smuga światła.

- Ej, tam! - krzyknął. - Wyłącz ten projektor i chodź tu. No, już! Ostrzegam cię, mam w ręku pistolet!

Wypełniające tunel dzikie wrzaski ucichły. Mrówki atakujące ściany, rozplynęły się w mroku.

- Niech pan nie strzela! - krzyknął Pete. - Już idę!

Z ciemności wyłoniła się jego wysoka sylwetka. Pete podszedł powoli do stojących obok nieruchomego smoka kolegów, przyglądając się im ze zdumieniem.

- On rzeczywiście nie jest prawdziwy? - zapytał Jupe'a.

Jupe potrząsnął głową.

- Nie bardziej, niż twoje gigantyczne mrówki - rzucił ze złością Shelby. Popatrzył na chłopców, a potem na pistolet w swej dłoni. - Bardzo mi was żal, chłopcy, naprawdę bardzo. Ale nie powinniście byli wtykać nosa w nie swoje sprawy...

Urwał nagle, nieruchomiejąc z wyciągniętą przed siebie, drżącą ręką. Tunel wypełnił się dziwnymi, głośnymi zawodzeniami.

- Aaaaaaaaaa... oooooo... oooo!

- Och, nie! Dość tego! - krzyknął Shelby. A potem błyskawicznym ruchem wyjął z kieszeni cienką, podobną do trzcinki rurkę, tę samą, którą posłużył się wcześniej, i włożył ją do ust. I tym razem nie ozwał się żaden dźwięk.

Ogromna ściana zasunęła się z turkotem.

Jupiter uśmiechnął się, nasłuchując uważnie. Zapalił latarkę.

W smudze jasnego światła ukazała się gromada biegnących ku nim wielkimi skokami czarnych, podobnych duchom cieni. Coraz bliżej jarzyły się ich dzikie ślepia i błyszczały ostre zęby w półotwartych groźnie szczękach.

- Uważajcie! - krzyknął Pete. - Znowu te włochate bestie...

Urwał nagle, jakby go zatkąło, i uśmiechnął się z zażenowaniem.

- To znaczy... chciałem powiedzieć... psy - dodał spokojniejszym tonem. - O rany! Ale ze mnie naiwniak!

Arthur Shelby nachmurzył się.

- Za późno - burknął niezadowolony.

Pierwsze z nadbiegających zwierząt zakreśliło się wokół nich z radosnym szczekaniem. Jego długi, podobny do miotły ogon chwiało się szaleńczo na wszystkie strony. Kasztanoworude kędziory połyskiwały w świetle latarki.

- Korsarz! - wykrzyknął Jupe. - To ty? Wróciłeś tutaj?

Rosły seter wyminął jego wyciągnięte ręce i skoczył ku Shelby'emu. Rudowłosa mężczyzna cofnął się, wyciągając w stronę psa rękę trzymającą pistolet.

- Idź stąd, Korsarz! - warknął ostro. - Ostrzegam cię... po raz ostatni... Do domu!

Pies potrząsnął długimi uszami i zakreślił się wokół niego. Podbiegły pozostałe psy, przypierając Shelby'ego do ściany tunelu.

Merdając ogonami, zaczęły skakać ku niemu z wesołym poszczekiwaniem. Shelby jeszcze raz próbował opędzić się od nich uzbrojoną w pistolet ręką. Na jego bladej twarzy pokazały się kropelki potu.

- Panie Shelby, niech się pan nie wysila - powiedział Jupe. - I tak nie zdobędzie się pan na to, aby zacząć do nich strzelać. Za bardzo je pan lubi. A one po prostu szaleją za panem.

Shelby popatrzył na skaczące wokół niego psy i opuścił pistolet.

- Tak, tak - mruknął z markotną miną. - Szaleją za mną. Rzeczywiście, to prawda.

Spojrzał obojętnym wzrokiem na ledwo widoczny w jego dłoni, metalowy przedmiot, wzruszył ramionami i schował go w kieszeni. A potem schylił się i zaczął odruchowo głaskać łby uszczęśliwionych zwierzaków.

- I co dalej? - mruknął pod nosem, najwyraźniej kierując to pytanie do siebie.

- Gdyby zechciał mnie pan posłuchać, to mam pewien pomysł - powiedział Jupe.

- Naprawdę? - spytał Shelby, świdrując krępego chłopca swymi bladymi oczami.

Jupiter kiwnął głową.

- Tak, proszę pana. Opiera się on głównie na fackie, że w rzeczywistości nie jest pan wcale chciwym kryminalistą, ale doskonałym dowcipnisiem. Chce pan posłuchać?

Rudowłosa mężczyzna kiwnął oschle głową.

- Trzeba odnieść wszystko na miejsce. Jeżeli pan chce, możemy panu w tym pomóc. Ale mógłby pan zostawić tę dziurę w betonowej ścianie, tak jak ona teraz wygląda. W ten sposób zażartuje pan sobie z nich. Da im pan do zrozumienia, że mógł pan zabrać całe złoto, ale nie tknął go pan. My nikomu nic nie powiemy, więc nie dowiedzą się nigdy, kto to zrobił, albo raczej - kto tego nie zrobił!

Rozdział 20

Alfred Hitchcock podaje pomocną dłoń

Kiedy dwa dni później Pete, Bob i Jupiter weszli do przestronnego mieszkania Alfreda Hitchcocka, słynny reżyser siedział przy dużym, okrągłym stole i czytał gazetę. Nie odrywając od niej oczu, wskazał im wolne krzesła.

- Siadajcie, chłopcy - powiedział. - Przepraszam, że każę wam czekać, ale chciałbym doczytać do końca ciekawy artykuł.

Trzej Detektywi rozsiedli się bez słowa. W końcu pan Hitchcock uśmiechnął się i odłożył gazetę.

- I cóż, znowu się wam udało - powiedział. - Jesteście po prostu niesamowici! Daję wam prosty cynk, że zaginął pies mojego starego przyjaciela. I co się dzieje? Odnajduje się nie tylko jego piesek, ale i parę innych. A właśnie przed chwilą przeczytałem w dzienniku z Seaside doniesienie o zagadkowym obrabowaniu dużego banku. Tytuł artykułu brzmi: "Skruszeni złodzieje rezygnują z łupu! Dyrekcja banku zaintrygowana ich przekornym zachowaniem". Czy to nie jest przypadkiem wasza robota? Nie mogę się połapać w tej plątanie!

Jupe odchrząknął.

- Tak, rzeczywiście. Oni chcieli także... to znaczy... tak, w pewnym sensie my jesteśmy odpowiedzialni za to wszystko.

Pan Hitchcock roześmiał się.

- Jupe, szczerze podziwiam twoją skromność. Wolałbym poczekać jednak z wyrażeniem mojego uznania do momentu, aż całkowicie zrozumiem, w jaki sposób udało się wam rozwikłać zagadkę tych zaginionych psów.

- Tak naprawdę, proszę pana - odparł Jupe - w rozwiązaniu tej zagadki bardzo nam pomógł ten stary film ze smokiem, nakręcony przez pana Allena, który mogliśmy obejrzeć dzięki panu.

- Cieszę się - stwierdził reżyser. - Pamiętam, iż powiedzieliście mi wtedy, że rzeczywiście stanęliście oko w oko z jednym z tych fantastycznych stworzeń.

- Naprawdę tak było - odezwał się Pete. - Ale na szczęście wyszliśmy z tego cało i możemy o tym opowiedzieć. Bo mimo że smok był nieprawdziwy, znaleźliśmy się w porządnym opałach.

- Nie do wiary! - mruknął pan Hitchcock. - Prawdziwe zagrożenie ze strony smoka, który okazał się nieprawdziwy. Bardzo bym chciał usłyszeć o tym.

Bob wyciągnął swój notes. Opowiedział, jak to na początku dochodzenie utkwilo w ślepej uliczce, i w jaki sposób udało się im wpaść na trop, który w końcu doprowadził do rozwiązania wyjściowej zagadki. Pan Hitchcock słuchał z wielkim zainteresowaniem.

- Ten pan Shelby naprawdę wygląda na pomysłowego i nieszablonowego faceta - powiedział. - Nie przesłyszałem się przypadkiem? Czy on rzeczywiście tak chętnie zrezygnował z doprowadzenia do końca swego bezbłędnego planu zrabowania złota wartego parę ładnych milionów dolarów, ponieważ nie chciał zrobić krzywdy ani wam, ani tym psiakom?

- Tak - odparł Jupiter. - Przez cały czas karmił te psy i zachował wszystkie przy życiu. Musiał tylko aplikować im środki uspokajające, żeby były cicho i nie wchodziły mu w drogę. Powiedział nam, że miał zamiar je uwolnić, opuszczając na dobre jaskinię w smoku wyładowanym złotem.

Kiedy bracia Morganowie puciekali, mógł nas przecież zmusić pistoletem do udzielenia mu pomocy w wyniesieniu złota. Mógł zabrać wystarczająco dużo, żeby stać się bogatym człowiekiem. Nie musiał wcale zabierać całych dziesięciu milionów dolarów.

Przez chwilę znakomity reżyser pociągał w milczeniu swoją fajkę.

- I naprawdę planował oddalić się z pomocą tych braci Morganów w smoku, każąc mu płynąć w nocy pod wodą?

Jupe potakująco skinął głową.

- Wydawało mi się, że smok jest za lekki, ale on zaplanował wcześniej wykorzystanie złotych sztab jako balastu. Kiedy na początku testował smoka w wodzie, jako balastu użył kamieni. I to wtedy właśnie pan Allen zobaczył go na brzegu. Wyszedł rozejrzeć się za Korsarzem w momencie, gdy smok wracał z próbnego pływania.

- A przeziębienie Shelby'ego wystarczyło wam do wyciągnięcia wniosku, że musiał on maczać palce w całej sprawie?

Jupe uśmiechnął się nieśmiało.

- Kiedy rozmawialiśmy z nim w jego domu, miał okropny kaszel. Tak więc kiedy usłyszałem kaszłącego smoka, natychmiast skojarzyłem sobie te dwa przypadki. Później dopiero stwierdziłem, że smok wydaje takie odgłosy, podobne do kaszlu, kiedy dławi mu się silnik na wolnych obrotach. Było to po części spowodowane zawilgoceniem instalacji elektrycznej podczas licznych prób podwodnych.

- Ale ten tajemniczy, chrapliwy głos, podobny do ducha z zaświatów, który ostrzegał was przez telefon, należał do Shelby'ego?

Jupe kiwnął głową.

Na twarzy Alfreda Hitchcocka odmalowało się lekkie zakłopotanie.

- Mimo wszystko, Arthur Shelby nie wygląda mi na zdeklarowanego złoczyńcę. Jak to się stało, że zwąchał się z takimi typkami, jak ci Morganowie?

- Wiedział, że mają sprzęt potrzebny do ratownictwa morskiego, i znał ich jako twardych facetów, gotowych podjęcia się każdej roboty. Potrzebował ich pomocy do prac przy urządzaniu wielkiej groty, do przebicia się przez betonową ścianę tunelu do piwnic banku, no i do wyniesienia złotych sztab. Kiedy zaoferował im milion dolarów za udział w skoku, nie wahali się ani chwili.

- A w jaki sposób zamierzali przenieść złoto z pogrążonego pod wodą smoka na pokład ich stateczku?

- Mieli sprzęt do nurkowania i kiedy Shelby znalazłby się pod wodą wystarczająco daleko od brzegu, zamierzali wziąć smoka na hol i odciągnąć go ich holownikiem na pełne morze. A potem, znalazłszy się poza zasięgiem widoczności, planowali wynurzyć smoka na powierzchnię i przeładować sztaby na statek. Po czym wziąć kurs do Meksyku.

Pan Hitchcock kiwnął ze zrozumieniem głową.

- A skąd w ogóle ten pomysł ze smokiem?

- Stąd, że Shelby znał pana Allena i wiedział, że w przeszłości kręcił on filmy ze smokami, żeby straszyć widzów. Widzi pan, na początku Shelby traktował to jako oryginalny sposób na splątanie żartobliwego figla sąsiadowi. Dopiero kiedy dowiedział się o złożeniu w miejscowym banku sporej ilości złotych sztab, zdecydował się na zrobienie skoku. Pomyślał, że da się łatwo przerobić smoka na funkcjonalną łódź podwodną. Doskonale odpowiadał on jego nieortodoksyjnemu stylowi myślenia i nadawał się do realizacji zabawnego pomysłu wywiezienia bankowego złota na morze przez stary tunel. Jego plan spalił na panewce tylko dlatego, że smok wydał się nam nazbyt dziwaczny i postanowiliśmy zbadać jego tajemnicę.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że pan Shelby ma dość pieniędzy, aby zbudować coś tak skomplikowanego, jak ten smok.

Bob odwrócił kilka kartek w swym notesie.

- Przeoczyłem jedną stronicę - wyjaśnił. - Pan Shelby opowiedział nam, że paru jego przyjaciół pracuje w wytwórniach filmowych. Niektórzy z nich lubią, tak jak i on, konstruować różne dziwne urządzenia. Powiedzieli mu, że w jednym z magazynów zamierzają zniszczyć takiego filmowego smoka, żeby zrobić miejsce na inne rekwizyty. Pan Shelby wybawił ich z kłopotu. Pojechał tam i wziął go od nich, przewiózł w kawałkach na miejsce i zmontował na nowo.

Pan Hitchcock zmarszczył brwi.

- Czy on miał koła?

- Nie - odparł Bob. - Panu Shelby'emu trafiła się jeszcze jedna okazja. Znalazł w Pasadenie porzucone podwozie ruchomej platformy, pozostałej po paradzie Święta Róży.

Ojcowie miasta byli mu wdzięczni za odholowanie starego wraka. No i zamontował na nim filmowego smoka.

- Hmmmm. Sprytny facet - powiedział pan Hitchcock. - Ale jak to się stało, że Shelby dowiedział się o wielkiej grocie i o tunelu, podczas gdy mój przyjaciel Henry nie miał o nich pojęcia, mimo że jego dom stoi prawie dokładnie nad nimi?

- Shelby wiedział o istnieniu tunelu od dawna, od czasu, gdy pracował jako inżynier w Biurze Planowania. Ale to tylko początek. O wejściu do tunelu dowiedział się później, i to przez przypadek.

Wejście do wielkiej groty zostało zasypane osunięciem się skarpy podczas trzęsienia ziemi, które zdarzyło się na wiele lat przedtem, zanim zarówno pan Allen, jak i Shelby zamieszkali w tej okolicy - ciągnął Jupe. - Pewnego dnia Shelby, spacerując po plaży, zauważył pęknięcie w skalnej ścianie. Zaczął kopać w tym miejscu i odkrył grootę i tunel. Potem zatrudnił Morganów, którzy pomogli mu wybudować wewnętrzną ścianę. Zrobił to dla zmylenia przypadkowych przechodniów, którzy mogliby natrafić na wejście do groty. Nie chciał, żeby zapuszczali się dalej, do tunelu.

- Czy to Morganowie pomogli mu także zamaskować wejście podrabianymi skałami?
- zapytał pan Hitchcock.

- Tak. To też było dobrze obmyślane. Żeby nie zwrócić czyjejs uwagi, zrobili wszystko od wewnątrz. Dopiero kiedy zasadnicza konstrukcja była gotowa, usunęli ukradkiem, nocą, skalne rumowisko i wstawili maskujące wszystko głązy i odpryski skał.

Pan Hitchcock kiwnął z uznaniem głową.

- A te załamujące się schody, na które natrafiliście pierwszego dnia... to też była sprawka Morganów?

- Nie chcieli, aby ktoś przypadkiem pokrzyżował im ich plany - odezwał się Pete. - Podcięli więc schody, aby odstraszyć ludzi od schodzenia na plażę. Ze swego holownika widzieli, jak spadaliśmy z nich na dół. A kiedy stwierdzili, że wcale nas to nie zniechęciło, przyплыnęli do brzegu i zaczęli celować do nas z kuszy. Przypuszczali, że to wystarczy, aby odstraszyć nas na dobre od tego miejsca.

- Rozumiem. Ale wspomnieliście, że obaj oni zniknęli w tej pierwszej, małej jaskini. Udało się wam wyjaśnić tę zagadkę?

Bob znowu zanurkował nosem w swych notatkach.

- Weszli do tego samego dołka, do którego ja przypadkowo wpadłem. Nie była to żadna kurzawka, ale prawdziwe podziemne jezioro, trochę tylko błotniste. Dzięki skafandrom i aparatom tlenowym przedostawali się nim do innego wyjścia, które znajdowało się w wielkiej grocie w pobliżu tunelu. Tak samo, jak się pokonuje syfony przy badaniu podziemnych grot. Było to drugie wejście do grot, używane przez nich za dnia. Nie chcieli zwracać niczyjej uwagi ani ryzykować zbyt częstego wstrząsania wielkiej skały, wiszącej nad zamaskowanym wejściem. Nawiasem mówiąc, nie pokazali się więcej po ucieczce z grot ostatniej nocy. Przypuszczam, że wstydziło się tego napadu strachu, jaki ich opanował.

- Specjalnie tego nie żałuję - powiedział pan Hitchcock. - A ta cienka rurka, w którą dmuchał Shelby, żeby otworzyć albo zamknąć sztuczną ścianę? Czy ona działała na zasadzie ultradźwięków?

Jupe przytaknął.

- Ona otwierała też i zamykała zewnętrzne, zamaskowane wrota do grot. Wydawała dwa dźwięki wysokiej częstotliwości, różniące się wysokością. Ale, prawdę mówiąc, to ona właśnie spowodowała, że Shelby wpadł we własne sidła.

- Jakim sposobem?

- Jego eksperymenty z bezgłośnym gwizdkiem przyciągnęły do niego psy z całej okolicy. Psy, jak pan wie, słyszą dźwięki wysokiej częstotliwości, niedostępne dla ludzkiego ucha. Seter pana Allena przybiegł do niego pierwszej nocy, jak tylko został wypuszczony z tej psiej przechowalni. Shelby był tym zaskoczony, ponieważ przypuszczał, że Allen przebywa jeszcze w Europie. Jego powrót oznaczał, że trzeba się spieszyć. Tej samej nocy bezgłośny gwizdek Shelby'ego przyciągnął także inne psy z sąsiedztwa. Shelby nie mógł się ich pozbyć, a miał przed sobą kupę roboty - przygotowanie smoka, wydrążenie otworu z tunelu do bankowej piwnicy, no i oczyszczenie torowiska. Wolał nie ukatrupiać psów, jak chcieli Morganowie, ale uspił je, dodając jakieś środki uspokajające do pożywienia.

Pan Hitchcock zadumał się na dłuższą chwilę.

- Powiedzieliście mi, że ten smok ryczał. Czy jego ryki zrodziły się tylko w waszej wyobraźni?

Bob potrząsnął głową.

- Nie, nie całkiem. Te ryki i cała masa innych rzeczy, na przykład odsłanianie szyby w przedniej części smoka, uruchamiane były przyciskami na tablicy rozdzielczej. A Jupe, aby tylko zmusić smoka do jazdy, naciskał wszystkie guziki, jakie tylko tam znalazł.

- Wróćmy jeszcze do pana Cartera - powiedział Alfred Hitchcock. - Czy po tym, jak uciekające psy zwały go z nóg, udało mu się wydostać z jaskini?

- Tak - odparł Pete. - Kiedy poszliśmy tam, żeby pozbierać nasz sprzęt, już go nie było.

Pan Hitchcock kiwnął głową.

- Czy rzeczywiście jest on potomkiem tamtego Cartera, który zaczął budować tunel i stracił na nim swój majątek?

Jupe uśmiechnął się.

- Tak. Ale choć wiedział o istnieniu tunelu, nigdy nie udało mu się ustalić, gdzie on się znajduje. Znał tylko pierwszą jaskinię i zastawione deskami przejście do małej pieczary. Bez przerwy węszył po okolicy, toteż Shelby'ego i Morganów bardziej niepokoiła jego osoba niż my trzej. Może dlatego, iż Carter czuł, zdaje się, że dzieje się coś niezwykłego i zawsze nosił przy sobie tę wielką strzelbę.

Kiedy stwierdził, że zawały się schody w pobliżu jego domu, zaniepokoił się tym i zszedł na dół, aby wy badać, co to takiego. Właśnie wtedy omal nie rozdeptał Pete'a w małej pieczarze.

Pan Shelby powiedział nam, że wejście do niej zostało najwyraźniej zastawione deskami przez przemytników czy piratów już dawno temu. Doszedł do wniosku, że to oni urządzili także następne przejście, zasłonięte ruchomą kamienną płytą. Odnalazł je przez

przypadek, tak jak i my. Stwierdziwszy, że niektóre stare deski były spróchniałe, zastąpił je kawałkiem sklejk. Bał się, że ktoś mógłby odkryć istnienie mechanizmu otwierającego przejście do dużej groty i tunelu. Chciał zachować je wyłącznie do własnej dyspozycji, jako wyjście zapasowe, toteż nigdy nie poinformował o nim braci Morganów.

- Pomogliście więc Arthurowi Shelby'emu pozanosić złote sztaby z powrotem do piwnic banku?

- Nie - odezwał się Bob. - Nie skorzystał z naszej oferty. Podziękował nam i stwierdził, że bierze to na siebie. Nie chciał nas mieszać w jakikolwiek sposób w tę kryminalną aferę. Wniósł tylko złote sztaby do środka i porzucił je byle jak. Zrobił to dla żartu. A potem załatał wydrążoną w ścianie dziurę. Przypuszczam, że dyrekcja banku odkryje po wszystkim, że jego podziemia stykają się z tunelem. My w każdym razie nikomu o tym nie powiedzieliśmy, nawet panu Allenowi.

Pan Hitchcock skinął potakująco głową.

- Jeśli się weźmie pod uwagę inżynierskie talenty pana Shelby'ego, wszystko mogło się odbyć tak, jak mówicie. Głównie dzięki temu, że historia Seaside nie miała dla niego żadnych tajemnic.

- Tak - przyznał Jupe. - A także i to, co dzieje się w tym mieście obecnie. Przez cały czas wiedział on dokładnie, do których banków można się dostać z tunelu.

- Rzeczywiście. Wciąż jednak dręczy mnie jedna mała sprawa. Powiedzieliście mi, że mój przyjaciel Henry świadomie kłamał twierdząc, że widział smoka wchodzącego do jaskini, podczas gdy było to całkiem niemożliwe.

- Och, przepraszam za tę pomyłkę - wyjaśnił Jupe. - Pan Allen tak był przejęty utratą psa, że zapomniał, jak było naprawdę. W rzeczywistości stał wtedy nie na krawędzi urwiska, ale w połowie schodów. Czy ma pan coś jeszcze?

- Nie, moi drodzy. Bardzo bym chciał poznać kiedyś tego Shelby'ego. Człowiek na tyle pomysłowy i dowcipny, aby napędzić stracha takim trzem urwisom jak wy, byłby doskonałym kandydatem na bohatera mojej następnej książki.

- Przeczytalibyśmy ją z przyjemnością - oświadczył Jupe. Bob i Pete skinęli głowami na znak, że zgadzają się z nim całkowicie.

Pierwszy Detektyw podniósł się z krzesła.

- Może już lepiej pójdziemy. Zabraliśmy panu aż za wiele czasu.

Zadowoleni z siebie chłopcy ruszyli do wyjścia. W chwilę potem nie było po nich śladu.

- Hmm - mruknął do siebie Alfred Hitchcock. - Zastanawiam się, czy pan Shelby nie zechciałby pożyczyć mi tego wspaniałego smoka. Właśnie kupiłem z myślą o wakacjach kempingowy samochód, wielki jak autobus, i zanim wyjadę nim na autostradę Zachodniego Wybrzeża, powinienem może poćwiczyć najpierw podwójne wysprzęglanie w wielkiej grocie, za kierownicą tego potwora!